

B 201

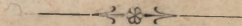
PRZĘDZIWO.



al
12

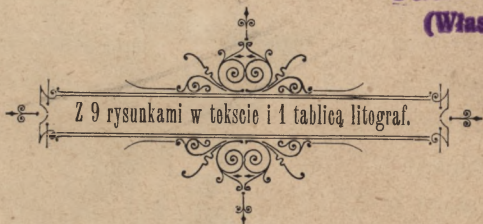
PRZĘDZIWO.

KSIĄŻKA DLA MŁODZIEŻY.



Wydawnictwo imienia Pauliny Krakowowej.

№
Z księgozbioru
Jana Białeckiego
(Własność prywatna)



WARSZAWA.

Druk Józefa Sikorskiego, Warecka 14.

—
1896.

301388



131515

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, 26-го Сентября 1895 года.

№
Z księgozbioru
Jana Białeckiego
(Własność prywatna)



⇨ STARY ⇨

RYBAK.

„Na morze!.. ja syna wam
[daję... Słyszycie!
„Pod wodzą mojego ju-
[naka
„Spokojny z was każdy być
[może o życie,
„Bezpieczną łódź każda
[rybaka!“
Tak mówił Jan stary. Wschód
[w barwach stał róży —

Rybacy ruszyli na połów...
Wtem wichur uderzył i morze się wzburzy,
 Łódź ciężką się stała jak ołów!
To skała podwodna dno łodzi rozdarła,
 Od spodu bryzgnęła fal piana;
Struchleli rybacy, pierś w tchu się zaparła,
 Nie strwożył się tylko syn Jana.
Lecz próżny wysiłek i dłoni i wiosła,
 Potworny fal wzmaga się taniec —
Grom błysnął... uderzył — zniszczenia to poseł,
 Burz morskich ognisty wysłaniec.
Popłynął szum głuchy, huragan się zrywa,
 Przepaście w głębinach wód wierci,
Do łodzi za falą wciąż fala nadpływa
 I bliższe wciąż widmo jest śmierci.
Nadeszła noc ciemna... i niebo zczerniało,
 Wichur tylko i morze grzmi kołem;
Ramionom rybackim już mocy nie stało
 Do walki z okrutnym żywiołem.
Wtem nagle wódz młody wiatr krzykiem rozporze:
 „Blask widzę — mnie oko nie zwodzi!
„Brzeg blisko — łódź tylko już płynąć nie może,
 „Trza ulżyć ciężaru tej łodzi.
„Do wiosła — z sił wszystkich!“ i skoczył w głębinę —
 Rybacy z przestachu pobladną.
„Z sił wszystkich!“ w głos krzyknął...
 „Ja płynę — ja płynę...“
I cicho usunął się na dno.
Przybili do brzegu... Strach patrzył im z czoła —
 Co mówić im w onej godzinie?...
„Gdzie syn mój? gdzie syn mój?— Jan stary zawoła...

Strwożeni odrzekli mu: „Płynie!”
Lecz pieśnią zagłady gra morska głębina —
Daremna tu wszelka rąk praca!
„O morze! — zawoła. — Wróc syna! wróc syna!”
Lecz morze swych ofiar nie wraca.
Grzmi tylko i huczy, w gwar wichrów szeleszcze,
Bezdeną przeraża głębina —
— „Ha!.. — szepnął po chwili. — Mam synów dwóch
„I oni na morze wypłyną!” [jeszcze —

Kazimierz Gliński.





SKARBY PANI SKARBNIKOWEJ.

(Z życia poetki XVIII wieku).

I.

Upraszam pokornie JW-nej Pani kasztelanowej, co ja mam robić z tą nowo przybyłą panną?

— Albo co? — odrzekła pani Sieniawska, zwracając wzrok pytający na ochmistrzynią swojego dworu.

— Bo to proszę JW-nej Pani dobrodziejki — rzekła ochmistrzyni, dygając układnie, — ta panna, to jakaś inna od drugich.

— Jakto, czy panna Kowalska nie okazuje dosyć pilności i posłuszeństwa? — zapytała pani.

— Ach, uchowaj Boże! tego powiedzieć nie mogę, owszem — pilna jest bardzo, uległa też i potulna, ba, może nawet uleglejsza i łagodniejsza od innych, — mówiła ochmistrzyni.

— A więc?...

— Trudno to nawet powiedzieć, a jednakże ja się bardzo boję, ażeby powierzonym mej pieczy pan-

nom, czego Boże broń, nie popsula w głowie lub jakiego złego ziarna na dwór JW-nej Pani kasztelanowej nie wniosła.

— Przestraszasz mnie, mościa panno Urszulo — rzekła pani, zwracając zdziwione oczy na ochmistrzynią.

Panna Urszula zrobiła minę arcypobożną i nie odpowiedziała.

— Mówże więc, czem panna Kowalska różni się od innych panien i czem mogła by im popsuć w głowie? — ozwała się pani z pewną niecierpliwością.

— Bo to — rzekła, zniżając głos i przybliżając się na paluszkach ochmistrzyni — ona proszę JW-nej Pani... ona pisze!... Jak mi Bóg miły, pisze! — dodała z wielkiem oburzeniem, nie widząc zdziwienia w oczach swej pani. — Raniutko wstaje, raniej aniżeli dzwonią na pierwsze pacierze i zaraz pisze! A czytać, to tak czyta na każdej książce — mówiła dalej, chcąc wywołać oburzenie — jak inna i na modlitewniku nie potrafi. A toż nie tylko pobożne, ale i jakieś światowe rzeczy czyta, a potem rozpowiada głośno pannom przy robocie...

— Czyż to są rzeczy niegodne? — zapytała pani.

— Broń Chryste Panie! owszem, owszem bardzo godne, a takie piękne, że panny nieraz tak się zasłuchują, że i robić zapomną; — igłę trzymają nad krosnami, a nie haftują. — A jeżeli mam się przyznać JW-jej mojej dobrodziejce, to i ja sama, Panie odpuść, tak się nieraz zasłucham, że nie zawołam nawet, żeby roboty patrzyły. A z tego oto tylko mitręga...—dodała.

— A cóż ta Elżbietka opowiada? — zapytała z uśmiechem pani Sieniawska.

— Hm... czyż to tam człowiek ma do tego głowę — mówiła ochmistrzyni — jedno mi tylko utkwiło, że nam czytała prześliczne pieśni, które jakiś ojciec po śmierci swojej małej córki napisał. — Ale to tak piękne, że mi się aż na płacz zbierało. Nawet mówiła nam, jak się ten ojciec nazywał, ba, nawet jego pieśni śpiewamy; ale jakoś nie mogę sobie jego nazwiska przypomnieć.

— Kochanowski — poddała pani.

— Tak, tak, rychtyk tak! Jak to JW-na Pani zaraz odgadła! Otóż Elżbietka okrutnie lubi książki tego Kochanowskiego. A już powiem szczerze żeć, to by mnie nie martwiło, niechby tam sobie czytała, ale to najgorzej, że Elżbietka pisze.

— No i cóż w tem złego? — spytała pani.

Ochmistrzyni zdziwionemi spojrziała oczyma, chwilę nawet nie mogła przyjść do siebie i zapomniała języka w ustach. Stała więc, wpatrując się w kasztelanową, ale gdy ta ze swoim pogodnym uśmiechem wciąż patrzyła na nią, wzięła na odwagę i rzekła:

— Ach, proszę JW-nej mojej Dobrodziejki, toć to zaraza takie pisanie, toć to bodaj despekt, nawet dla panny dobrze urodzonej, żeby jak jaki skrybent bawiła się piórem i palce sobie inkaustem *) czerniła! Toć to nie jest rzecz białogłowska, toć to bodaj nawet i grzech!.. — mówiła, nie mogąc dobrać dosta-

*) atramentem.

tecznego określenia na niezwykle zajęcie panny Elżbiety.

I byłaby może dużo jeszcze takich uwag wprawnym swoim językiem wyrzekła, gdyby pani jej nie przerwała.

— No, no, niech się panna Urszula uspokoje, krwi sobie nie psuje, a grzechów nowych nie tworzy i bez tego jest ich dosyć.

Ochmistrzyni już otworzyła usta, żeby coś jeszcze odpowiedzieć, lecz pani Sieniawska rzekła:

— Proszę mi przysłać pannę Kowalską.

Panna Urszula niezadowolona, że się nie mogła dostatecznie wygadać, westchnęła tylko pobożnie, ręce w pączek złożyła i dygnawszy układnie, wyszła z komnaty. Ciężko jej widać było na sercu, bo idąc przez długi szereg komnat i krużganków, tak sobie mówiła:

— Cóż w tem złego! cóż w tem złego! Matko Najświętsza, co w tem złego, że panna Kowalska pisze! Słychaneż to rzeczy, żeby panna pisała, jeszcze inne do pisania zachęci! Ale czy to człowiekowi pozwolą, jak się należy wygadać! Ot, Jaśnie Pani nasza, dobra jak anioł, ale takie ma już swoje uwidzenia, a na wiele rzeczy nie zważa. Ale już tego chyba jej nie przepuści! oj nie, chyba że nie!...

Tak rozumując z sobą, troskliwa o honor dworu ochmistrzyni, weszła do komnaty, gdzie całe grono panien, podniosłszy głowę od roboty, usta i oczy rozwarły i patrzyły na ową Elżbietkę, która trzymając w ręku kawałek szarego papieru, deklamowała:

„O złoty wieku w postaci dzie...“

— Jaśnie Wielmożna Pani prosi panny Kowalskiej do siebie — przerwała ochmistrzyni oschłym głosem zaraz od progu, udając, że nie słyszy deklamacyi.

Elżbietka też nie domówiła rozpoczętego wyrazu, ale pokraśniała jak wiśnia i schowała skrzątnie karteczkę do kieszeni szarego płóciennego fartuszka, potem dygnawszy przed ochmistrzynią, zabierała się do wyjścia.

— Niech panna Elżbieta włosy przygladzi i odpasze fartuszek! Idąc na pokoje, przez samo uszanowanie dla jaśnie wielmożnej pani, nie można jej się tak, jak przy robocie ukazywać.

Po twarzy Elżbietki przemknęło pewne zakłopotanie, posłuszna jednak woli ochmistrzyni, odpasała fartuch, a wieszając go na oznaczonym ku temu kolku, wyjęła z kieszeni karteczkę i skrzątnie ukryła za fałdzistym stanikiem.

II.

Przebiegając długie korytarze i liczne komnaty, dzielące pokoje kasztelanowej od pracowni jej niewieściego dworu, Elżbietka miała czas ochłonąć z wrażenia, jakie zrobiło na niej to nagłe wezwanie. Idąc, szeptała jednak modlitwę do Ducha Świętego, aby jej pozwolił znaleźć się wobec pani roztropnie, lecz gdy się znalazła tuż przed komnatą, znów ją jakiś lęk niewytłomaczony ogarnął. Wtem pokojowiec stojący przy drzwiach otworzył przed nią podwoje, Elżbietka przeżegnała się raz jeszcze, nieśmiało uchyliła ciężką

zasłonę, stanęła tuż przy progu i dygnawszy, nieco drżącym wymówiła głosem:

— Jestem na rozkazy Jaśnie Wielmożnej Pani, naszej dobrodziejki.

Pani zwróciła na nią wzrok swój pogodny i rzekła łagodnie:

— Przybliź się moja Elżbietko!

Ośmielona tem dzieweczka spojrzała z pewną otuchą na kasztelanową i zbliżyła się z wielkiem uszanowaniem.

— Cóż to, Elżbietko, podobno lubisz czytać, a też i pisanem chętnie się zajmujesz? — spytała.

Elżbietce serce mocno w piersi zakołatało, spuściła pokornie główkę i chwilę stała, nie mówiąc ni słówka.

— Odpowiedz-że przecie, toż to nieładnie, ażeby panna dobrze wychowana nie odpowiadała na zapytania osób starszych.

Mimo wymówki, głos kasztelanowej był tak uspakajający, iż zachęcona nim Elżbietka podniosła głowę i dość śmiało rzekła:

— Tak, Jaśnie Wielmożna Dobrodziejko, czytanie i pisanie jest moją najmilszą rozrywką.

— I co też ty tak piszesz, moje dziecko?

— Ot, co mi tylko do głowy przyjdzie, co zobaczę dokoła siebie... kwiat rozkwitnie, ptak zaśpiewa, motyl przeleci, słońko czerwonym kręgiem schyli się za lasy, wietrzyk strząśnie kwiatem jabłoni, — mnie to wszystko raduje, wszystko nasuwa jakieś obrazy, które mi tak tkwią w głowie i w sercu, iż muszę o tem napisać! Och, tak mnie to wszystko raduje, ale cza-

sem i smuci, i tęsknotę jakąś do serca przypędzi — mówiła dalej uniesiona zapalem dziewczynka. — Ale pośród takiej tęsknoty, to mi tak jakoś miło i dobrze, iż chociaż mi i łzy do oczu się cisną, to mnie te łzy nie boją... -- dodała — tyłkoby w tedy pragnęła tak oto do kogo się przygarnąć i wypowiedzieć wszystko, wszystko, co tam u mnie w głębi piersi nurtuje.

To mówiąc, prawie bezwiednie usunęła się do kolan swej pani i objąwszy je, utuliła na nich zdobną długimi warkoczami główkę.

-- Urodziła się poetką! -- szepnęła jakby do siebie kasztelanowa, gładząc jasne włosy dziewczęcia. Potem zaś rzekła:

--- Możebyś mi mogła coś z tego co sobie piszesz, przeczytać?

Dzieweczka podniosła głowę i niedowierzając własnym uszom, pytającym wzrokiem na mówiącą spojrzała.

— Przeczytaj mi coś z tego, coś napisała? — powtórzyła kasztelanowa.

Elżbietkę dziwne jakieś uczucie objęło, sama nie wiedziała, czy radować się, czy smucić z tej nadzwyczajnej łaski. Zerwała się jednak z klęczek i spojrzawszy raz jeszcze z niedowierzaniem, spytała:

— Jasnie Wielmożna Pani pozwoli?...

— Owszem, owszem, zrobisz mi tem wielką przyjemność.

Elżbietka wyjęła z zanadrza schowaną karteczkę, a choć jej serce kołatało jak spłoszona ptaszyna i głos drżał nieco, czytała jednak:

„O! złoty wieku w postaci dziecinnej,
Wiosno wesoła! toć się pięknie śmiejesz,
Wszystko twej ujdzie płochości niewinnej,
Czy chłodem dmuchasz, czyli ciepłem grzejesz;
Wolność jak dziecku dla swojej zabawki
Dziś urodzone straszyć śniegiem trawki.
Przecie choć straszysz, nie uczynisz szkody
Ni skrzepłem zimnem, ni przykrem gorącym;
Przyjemna pora, czas miły, czas młody
Ma swą umowę z powietrzem i słońcem,
Wie kiedy zagrzać, wie kiedy ochłodzić,
Ma sposób starość orzeźwić, odmłodzić.
Choć się zasępisz, choć płaczem rozkwilisz,
Nie przykro patrzeć na twoje grymasy,
Spragnioną matkę swemi lzy posilisz,
Ucieszysz pola, łąki, kwiaty, lasy.
Ty wszem żywiołom pożytek przynosisz,
Gdy perłowemi wody często rosisz.
Zielone lasy w cieniach rozmaitych
Z pięknych kolorów swe okrycia mają;
Insze na brzozech, insze w gajach skrytych,
Insze na drzewkach niskich się wydają,
Insze na buku, grabinie i sośnie,
Insze na dębie, który sto lat rośnie.“

I powoli, uniesiona zapalem mówiła już bez drżenia, głos jej nabierał giętkości i stosował się do określonych obrazów.

Pani, mile zdziwiona, słuchała z pewnem zadowoleniem, gdy zaś skończyła, spytała :

— I któż cię tak składnie pisać nauczył?

— Jakem była jeszcze nie duża, ot taka dziewczynka, to mnie u rodziców ksiądz kapelan uczył czytać i pisać.

Pani uśmiechnęła się na tę dobroduszną prostotę i zapytała powtórnie:

— No tak, ksiądz kapelan nauczył cię pisania liter, ale opisywanie rymami skądże ci przyszło?

— Doprawdy niewiem, ot tak jakem się nauczyła pisać, to mi tak ciągle coś szeptało: „pisz i pisz.“ Więc też pisałam. A jak oto raz nieboszczka matka kazała mi iść na strych, aby zrobić porządek, takem w długim skórą obitym kufierku znalazła moc samych książek, co je snąć po stryju do nas przywieźli. Były tam między niemi łacińskie wielkie księgi, te z uszanowaniem odłożyłam, boć się na takich mądrościach nie znam, alem zaraz natrafiła na Pismo Święte i wiele innych książek, znalazłam też i Reja Kochanowskiego. A takem się w te książki wczytała, że aż pani matka przyszła zobaczyć, co ja tam tak długo robię, dziewce służebnej czas mitrzęę. Ale jak matka usłyszała czytanie, tak jakoś nie bardzo się gniewała, — kazała tylko prędko porządków dokończyć, a książki zabrać do bawialni. Potem zaś nieraz wieczorem, jesienią i zimą, kiedym już wyznaczoną robotę skończyła, czytywałam matce z tych książek.

— A łacińskie książki zostawiłaś na strychu?

— A pocóżbym je brała? łaciny nie znam... — odrzekła skromnie.

Pani chwilkę się zamyśliła, a potem rzekła:

— Miałabyś ochotę zostać tu przy mnie i jako dawniej matce, mnie teraz czytywać?

W miejsce odpowiedzi Elżbietka upadła do nóg swej dobrodziejki i ku wielkiemu zdziwieniu, a nawet

żalowi ochmistrzyni i towarzyszek, została sekretarką pani Sieniawskiej.

I odtąd rozpoczyna się wejście Elżbietki na szerszą drogę życia.

* * *

Elżbieta z Kowalskich Drużbacka, znana i ceniona poetka XVIII wieku, urodziła się prawdopodobnie w końcu XVII-go wieku. Pierwotne wychowanie odebrała w domu rodziców, szlachty zamożnej i gospodarnej, obracała się więc w ciasnym kole domowych zajęć, drobnych trosk i kłopotów, a dwór rodzinny, sad, pole, las i wogóle cała przyroda były jej pierwszymi przewodnikami i nauczycielami. „Urodzona poetką,“ według wyrażenia swej opiekunki, umiała w tem otoczeniu prostotnem odnaleźć i odczuć prawdę i piękno, które z całym zapalem i uniesieniem młodej duszy wypowiadała. Znalezione na strychu książki, pierwszą były ku temu wskazówką i z nich to zapewne wzięła pierwsze wzory rymowania. Przeniesiona na dwór wielkopański, przyjęta do boku samej pani, miała sposobność poznać osoby wykształcone, przyświecające umysłem i talentem, o które w XVIII wieku nie trudno było, a które na owym dworze się skupiały.

Umiała też snąć korzystać z ich światłych rozmów, niejeden z uczonych i rymotwórców podsunął młodej poetce właściwą książkę, tym sposobem umysł jej rozjaśniał się coraz więcej i wiedzę swoją rozszerzał. Wiedza to jednak była ubożuchna i to ubóstwo wykształcenia spotykamy w wielu jej utworach; zresztą sama się nawet do tego przyznaje, mówiąc we wstępie do „Czterech pór roku“:

Ja w równość z żadnym uczonym nie wchodzę,
Bojąc się porwać na słońce z motyką,
Po niskiej ziemi, nie na niebie chodzę,
Ni się pochwalić z tą mogę praktyką,
Żebym wiedziała czego dowcip chciwy
Z astrologicznej dojrzy perspektywy.
Dosyc tu będzie na mój rozum podły,
Nie potrafiwszy gwiazd na niebie zliczyć,
Przynajmniej w lesie dęby, sosny, jodły
Rachować, — w tej się arytmetyce ćwiczyć.

A co na ziemi Bóg dał widzieć oku,
Chwalić Go zacznę w czterech częściach roku.

Niemniej jednak talent jej wrodzony ocenionym został przez współczesnych, a utwory jej w rękopiśmie jeszcze z rąk do rąk przebiegały. Ignacy Krasicki, znany satyryk, wysoce ceni pisma Elżbiety, a jak niektórzy utrzymują, dużo utworów młodej poetki poprawiał lub wskazówek swoich udzielał.

Andrzej Załuski zaś, założyciel pierwszej biblioteki publicznej, do pisania ją zachęcał i pisma jej wydał w roku 1750.

Młoda Elżbietka umiała dzielić czas swój między pracę umysłową i zajęcia codziennego życia. Stąd w owym nawet wieku, kiedy kobieta, umiejąca pisać, była niejednokrotnie pośmiewiskiem, a nawet przerażała ogół, Elżbieta wzbudzała tylko podziw, pełen należnego szacunku.

Wyszędłszy za mąż za Kazimierza Drużbackiego, skarbnika żydaczewskiego, osiadła we wsi Rzemieniu nad Wisłoką i z nadzwyczajną pilnością oddała się gospodarstwu. Gdy zaś owdowiała, sama zarządzała majątkiem, zajmowała się interesami i wychowaniem

dzieci, które w młodym wieku poumieraly. Została jej tylko jedyna córka, Maryanna, wydana za Andrzeja Wiesiołowskiego, łowczego wieluńskiego, ale i tę i wszystkie wnuki sądzono jej było przeżyć. Losy więc nie skąpiły jej trosk, smutków i boleści, a jednak umysł jej pogodny, jasny, prostotny i duch pełen głębokiej wiary, stawiał mężnie czoło wszelkim przeciwnościom i do ostatniej chwili nie stępił się i nie upadł. Później nawet dożyła starości, a przy schyłku życia osiadła w klasztorze pp. Bernardynek w Tarnowie, nie przyjmując jednak ślubów zakonnych.

W Tarnowie też i umarła około roku 1765, lecz rok ten, jak i rok urodzenia na pewno niewiadomy.

Tak więc owa Elżbietka, która ku zgorszeniu ochmistrzyni zajmowała się w zaraniu życia pisaniem, przy pracy i wysokich poetyckich zdolnościach zajęła wybitne miejsce między autorami osiemnastego wieku i pierwszą była kobietą-poetką.

I nic dziwnego, że pierwszą; kobiety bowiem w owym czasie, jakkolwiek odbierały bardzo staranne wychowanie, ale kierunek tego wychowania zasadzał się głównie na umiejętności prowadzenia domowego gospodarstwa, szyciu, hafcie i nabyciu tych cichych cnót domowych, po za zakres których wogóle nie wychodziły. Jeżeli więc znalazła się jaka, która wybiegła wyżej myślą po nad ogół ówczesnych kobiet, nie mając dostatecznej ku temu podstawy, rzucała zwykle obowiązki codzienne, wzdychała do jakichś nieznanym sobie światów i stawała się dziwowiskiem ogółu.

Drużbacka zaś przeciwnie, skarby umysłu i ducha zużytkowała na umiejętne kierowanie sprawami domu,

wychowanie dzieci i wnuków. Umysłem zaś prawdziwie wyższym, trzeźwym, bez najmniejszej egzaltacji i sentymentalizmu, oraz utworami pełnemi prostoty umiała wpłynąć na całe ówczesne społeczeństwo niewieście.

Prace swoje uważała jako dorobek umysłowy, a składając je starannie, mówiła: „To są skarby pani skarbnikowej.“ I rzeczywiście są one prawdziwemi skarbami.

Prace jej wogóle na trzy części podzielić można, to jest: biblijne, panegiryczne, powieści moralne i liryczno-opisowe.

Z poezyi, czyli powieści biblijnych: „Opisanie życia Dawida, króla izraelskiego“, „Historya Egipcyanek“ i „Święta Marya Magdalena“, należą do najslabszych.

Chcąc bowiem pisać powieści biblijne, trzeba mieć wielkie natchnienie, ażeby te postacie, owinięte mgłą cudowności i cnót nadziemskich, wyprowadzić jako istoty żywe, rzeczywiście ludzkie, a jednak osłonięte szatą poezyi, w jaką ich wieki całe ubrały.

Ani więc talent autorki osiemnastego wieku, ani jej wykształcenie, wyżyny tej dosięgnąć nie mogły.

Panegiryzm zaś w owym czasie tak był rozpowszechniony, iż nic dziwnego, że i Drużbacka uległa temu prądowi.

Ale i panegiryzm jej różnił się pewną serdeczną prostotą; jeżeli bowiem pisała pochwały, pisała tylko dla tych, którzy byli tego godni, lub dla których serce jej prawdziwem uczuciem przyjaźni lub wdzięczności pałało.

Do powieści moralnych, pisanych również wierszem, należy „Fabuła o księżęciu Adolfie.“

Książe ten, nie znajdując w swem państwie odpowiedniego dla siebie towarzystwa, szuka rozrywki w polowaniu. Zabłądziwszy raz w kniei, dostaje się do grotty bożka wiatrów i tam zachwyca się opowiadaniem bożka Zefira o wyspie bogini Fortuny. Na prośby księcia, usłużny Zefir przenosi go na tę wyspę, gdzie Adolf 300 lat w bezwiednej beczynności przepędza.

Zdziwiony, iż przebywa na wyspie tak długo, mówi :

„Trzysta lat, rzecze książe zadumiały,
Jako w szczególnej żyję tu rozkoszy?
Żadnej u świata przez to nie mam chwały,
Młodość dni moich nikczemność rozproszy!
Sławym po sobie żadnej nie zostawił,
Tę tylko, żem się polowaniem bawił.“

Zastanowiwszy się jednak, że tyle lat w próżniactwie i rozkoszy zmarnował, spieszy na cudownym koniu z powrotem, ale w podróży czas ścina mu głowę!

Jest to doskonała nauka dla tych, którzy przepędzając życie wśród uciech, przypominają sobie zbyt późno, iż nic dobrego nie uczynili.

Dla tej to właśnie myśli powieść niniejszą wyżej stawiamy od „Historii chrześcijańskiej ks. Elefantyny Eufraty.“

Wprawdzie i w niej nie brak fantazyi, ale rzecz sama jest zbyt rozwlekła, — opowiada bowiem dzieje nie tylko samej Eufraty, ale i jej córki. Musiałaby

więc powieść być nader zajmującą i z wielkim talentem napisaną, ażeby dzieje dwóch pokoleń z rzędu zająć mogły uwagę czytelnika.

Powieścią czysto alegoryczną jest: „Forteca od Boga wystawiona, pięć bram zamknięta“ czyli „Dusza ludzka z pięcioma zmysłami.“

Jest to obraz duszy ludzkiej, która po ścisłym obrachunku widzi, że dużo nabroila na świecie, kłopoty się więc, jakby się z tych błędów oczyścić, a kłopoty te bardzo udatnie skreślone. Biedna dusza, po wyczerpaniu wielu sposobów przebłagania nieba, wpada nareszcie na myśl arcydowcipną mówiąc:

„Wyślę westchnienie, bo to pocztarz lekki,
Nie potrzebuje pokarmu, napoju,
Skrzydeł dobędzie z serdecznej kaletki,
Wody zażyje z łez pokutnych zdroju.“

Również alegoryczną jest powieść pod tytułem: „Snopek na polu życia ludzkiego związany.“

Tu pod postacią Sylwii, bohaterki błądzącej wśród puszczy, autorka zapewne sama siebie przedstawia.

Otóż ta zbląkana Sylwia, po wielu troskach i niepokojach, spotyka straszne zwierzę—po chwili jednak przekonywa się, że to śmierć wyszła na jej spotkanie. Śmierć też wdaje się z bohaterką w rozmowę, radząc, aby o ostatniej chwili zawsze pamiętała. Na dowód zaś, iż jest wszechwładną, pokazuje snopek z koron i rozmaitych oznak władzy i dostojności ludzkich związany, a nawet, w przystępie niezwykłego sobie rozczulenia, tak do bohaterki przemawia:

„Nie wiąż się sercem do dzieci, do wnucząt,
Bo krótkie z niemi są twoje pieszczoty.“

Poczem znika, zostawiając Sylwię w oczekiwaniu zgonu.

Wszystkie jednak powieści Drużbackiej biblijne, fantastyczne, jako też i wiersze panegiryczne, nikną w obec jej poezji opisowych, w których rzeczywiście znać prawdziwy talent i natchnienie, a zarazem nieopisany wdzięk i prostotę.

Do takich należą Cztery pory roku, z których opis wiosny, zamieszczony na początku, był jeszcze przez młodzieńką Elżbietkę napisany. Tę młodość i prawdziwy zachwyt nad budzącą się przyrodą i miłość ku niej, znać w każdym wyrazie. Najpiękniejszym zaś i najwdzięczniejszym jest opis pieśni słowika, którego wszyscy wprawdzie poeci wspominają, nie każdemu jednak danem było uchwycić taki piękny, charakterystyczny opis wiosennego śpiewaka, jak Drużbackiej w następującym sześciowierszu:

„Tu słowik wdzięczne przemiany w swym głosie
Posyła echu, które chętnie niesie
Przyjemny koncert porankowej rosie;
Słysząc go w łożach, słysząc w ciemnym lesie,
A gdzie strumyczek, szemrząc płynie wążki
Pluszcze w skrzydełka, skoczywszy z gałązki.“

Dużo później, zapewne dojrzałszym już umysłem, kreśli ona prace wiosenne, w których umiała dopatrzeć się prawdziwej poezji.

Nie brak też tej poezji w obrazie lata, przy opisie żniwa, jak również w obrazie jesieni, którą przedstawia pod postacią dojrzałej panny, z koszem owoców

w ręku; a wreszcie zimy, upostaciowanej w osobie matrony, odpoczywającej po trudach całego życia.

Obok Czterech pór roku prześlicznym jest poematem: „Pochwała lasów.“. W opisie tego cichego i pełnego poezji obrazu uchwycony jest las taki, jakim jest rzeczywistość, jest to prawdziwa, z duszy płynąca sielanka, gdy mówi:

„Lasy kochane, zielone chłodniki,
Drzewa, przyjemny szum dające z siebie,
Trawy, pagórki, biegące strumyki,
Przy was niech mieszkam, choć o suchym chlebie;
Zdrowszy mi napój z waszych źródeł żywych,
Niż drogie trunki, gdy z rąk nieżycliwych.“

Oprócz liryzmu, Drużbacka posiadała niepospolity dar spostrzegawczy. Pod jego wpływem wykwitły poezye satyryczne, wśród których wybitne miejsce zajmuje „Skarga kilku dam“, gdzie jedna z nich tak mówi:

„Nie wiem co jest bal, assamble, reduty,
Mój mnie jegomość osadził przy kurach.
Paż do ogona ma łatane buty,
O blondynowych nie chce garniturach
Wiedzieć, żebym je mieć mogła na modę“.

Jest to satyra, wytykająca śmieszne zachcianki i wymagania kobiet owoczesnych, które nie mając wykształcenia, nie pojmowały swych obowiązków, wartość swoją strojem i wdzieraniem się na obrady podnieść pragnęły.

Satyre tę tak kończy:

„Żałują wielu, żałuję też i ja
Pasterzów naszych zacnych i pobożnych,
Że się o uszy niewinne obija
Echo zgorszenia w materyach różnych.
Radzimy zażyć sztuki Ulissesa,
Być głuchym, mijać Syren interesa.“

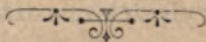
Skąd zaś autorka dowiedziała się o Ulissiesie, jako też o wielu innych bohaterach i bóstwach greckich, i wogóle skąd zapoznała się z mitologią—ciekawą to dla nas zagadką. Żyła bowiem w owym czasie, kiedy o książkę oryginalną dosyć było trudno, żadnego zaś obcego języka nie znała.

Zapewne towarzystwo ludzi uczonych w wielu rzeczach było dla niej wskazówką, wrodzone zaś zdolności, praca, staranność i chęć z bogacenia swego umysłu, brak książek pokonywały.

Chociaż więc w języku i stylu Drużbackiej znać pewną chwiejność i brak naukowej podstawy, jest ona jednak niepospolitem zjawiskiem w literaturze. Samorodny talent ochronił poetkę od wielu naleciałości i sztywnej formy pseudo-klasycyzmu, a umysł jej szczery, prosty, bez najmniejszej przymieszki fałszywego sentymentalizmu, patrzy na rzeczy tak jak są i takimi jak są je przedstawia.

Talent taki jest prawdziwym skarbem — słusznie więc poetka utwory swe skarbami pani skarbnikowej nazwała.

Z. Morawska.



ZAGADKA

o cieple i pracy istot żyjących.

Bawiono się rozwiązywaniem zagadek — sypały się pytania i szarady, żartowano z odpowiedzi błędnych, śmiano się z dowcipnych, wesoło, gwarno było w tem gronie kilkunastu chłopców, których zgromadziły imieniny jednego z kolegów.

Starszy brat solenizanta, student uniwersytetu, medyk z drugiego, czy też z trzeciego kursu, przysłuchiwał się żywej rozmowie, sam jednak udziału dotąd w niej nie brał; odezwał się więc dopiero, gdy dostrzegł, że rozmowa urywać się zaczyna, chłopcy bowiem wyczerpali cały zasób znanych sobie zagadek, a nowe pomysły coraz trudniej im przychodziły.

— Pozwólcie panowie, że ja wam teraz z kolei pytanie rzucę i zadam zagadkę innego rodzaju.

— Słuchamy — zawołali chłopcy, uradowani, że niespodziana ta pomoc z kłopotu ich wybawia.

— Zagadka moja nie jest rymowana, ani zgoła nie wyszukana, jest to bardzo proste, powszednie dostrzeżenie. Gdy bryłę żelaza rozżarzemy, gdy rozpalimy ją w ogniu do czerwoności, a następnie złożymy

ją w miejscu chłodniejszym, oziębi się rychło; jeżeli ją na mróz wystawimy, będzie równie zimna, jak lód ją otaczający. Wypędźmy natomiast psa na mróz, a pomimo zimna przejmującego, nie ostygnie bynajmniej; gdy ciała jego dotkniemy ręką, przekonamy się, że jest on tak samo, albo przynajmniej prawie tak samo ciepły, jak w izbie ogrzanej. Dopóki żyje, ciało jego nie oziębi się, jak rozżarzony kawał żelaza. Skądże ta różnica między istotą żyjącą, a bryłą martwą? Oto jest całe moje pytanie — któż odpowiedzieć na nie zechce?

Bez namysłu przyjął wyzwanie jeden z uczestników zabawy, któremu widocznie mniej brakło śmiałości, aniżeli ochoty, czy też zdolności do zastanawiania się i rozwagi.

— Rzecz bardzo prosta — odrzekł — żelazo jest ciałem martwym, pies zaś istotą żyjącą, dla tego też właśnie nie stygnie i ciepła nie traci.

Koledzy wszakże uznali jednomyślnie, że odpowiedź ta jest zgoła nieuzasadniona i niedorzeczna, a medyk wyjaśnił, że żaden szczególny przywilej nie chroni istot żyjących od stygnięcia. Prawom natury ulegają ludzie i zwierzęta tak samo, jak i wszelkie przedmioty nieożywione.

Niech się kto przechyli po za okno tak daleko, że środek ciężkości jego ciała nie będzie już podpartym, a spadnie w otwartą przed nim przepaść; tak samo jak bryła martwa, tak też i człowiek poddany jest działaniu siły ciężkości, czyli przyciąganiu ziemi i wyłamać się z pod jej praw nie może.

Skoro więc ciała martwe w przestrzeni zimnej tracą swój zasób ciepła, dziać się tak musi ze zwierzęciem i z człowiekiem. Jak rozpalone żelazo, tak też i pies, choć żyje, jest jednak na utratę ciepła narażony.

Niepowodzeniem tem niezrażony wszakże chłopiec nie dał za wygraną i również bez namysłu inne podał rozwiązanie. Żelazo jest nieosłonięte, pies zaś pokryty sierścią, jakby futrem własnem, które go ogrzewa, pomimo więc mrozu ciepłym wciąż pozostaje.

Ale i to tłumaczenie okazało się wcale nie lepszem od poprzedniego. Jeżeli na mróz otulamy się futrem, to nie dlatego bynajmniej, by nas ono grzać mogło, samo bowiem jest zimne; powstrzymuje ono jedynie ubytek ciepła, zwalnia tylko stygnięcie naszego ciała. Okna podwójne ciepła nie dodają, chronią tylko pokój od zbyt szybkiej utraty ciepła, a także samo znaczenie ma i sierść zwierzęcia.

Dyskusya ożywiła się bardziej. Zaczęli uwagi swoje podawać i inni rozważniejsi, którzy się nad odpowiedzią głębiej zastanawiali. Dobrem zwłaszcza wyjaśnieniem wydała się odpowiedź jednego z chłopców, który widocznie posiadał pewne wiadomości z fizyki.

Sądził on, że ciepło w ciele zwierząt powstaje skutkiem tarcia kulek krwi w naczyniach włoskowatych, czyli w rurkach niesłychanie wązkich, przez które krew przedziera się w drodze od tętnic do żył.

Zdanie to podobało się tym zwłaszcza, co wiedzieli, że kantówka silnie i szybko pocierana o ławkę, parzy za dotknięciem, nie wytrzymało jednak krytyki;

należałoby bowiem przekonać się przedewszystkiem, czy w samej rzeczy przeciskanie cieczy przez wązkie rury wydawać może dostateczny zasób ciepła. Aby nadto pręt drewniany przez tarcie rozgrzać, wyłożyć trzeba na to pewną pracę; powinniśmy przeto zbadać także, skąd zwierzę czerpie możność wykonywania pracy potrzebnej do przeciskania krwi przez naczynia krwionośne.

Zadanie tedy okazywało się coraz trudniejszym do rozwiązania, nieśmiało też tylko ktoś wtrącił jeszcze uwagę, że może ciepło jest wrodzoną właściwością zwierząt; dopóki istota żyje, własność tę zachowuje i ciepło wciąż pozostaje. Ale zapatrywania takiego nikt nie podzielał, a i ten co je wypowiedział, sam wreszcie zgodził się, że tłumaczenie jego nic nie tłumaczy.

Ostatecznie więc przyznać musieli wszyscy, że zadanej im zagadki rozwiązać nie zdołają.

Spodziewał się tego medyk i z uśmiechem wyjaśnił chłopcom, że zagadki podobne nie rozwiązują się zgadywaniem. Nikt, najgenialniejszy nawet, najbystrzejszym obdarowany umysłem człowiek, choćby przez całe życie nad tem myślał, nie mógłby odgadnąć, skąd i w jaki sposób ciepło zwierzęce powstaje. Pytanie to zadawali sobie ludzie od czasów bardzo dawnych, ale odpowiedź zdobyli jedynie dzięki długotrwałym i sumiennym badaniom, na podstawie uważnej obserwacyi i dokładnych doświadczeń, przy pomocy ścisłych pomiarów i obliczeń. Ponieważ zaś cała ta kwestya, po długiej dyskusyi, chłopców żywo zaciekała, poprosili medyka o wytłumaczenie.

On tedy przyjął rolę profesora, a rozmowa dotychczasowa ustąpiła miejsca wykładowi.

Zgodziliśmy się, że zwierzę, podobnie jak każde ciało martwe, w powietrzu zimniejszym ciepło swe traci, jeżeli więc pomimo tej utraty nie stygnie, znaczy to, że posiada źródło ciepła, które ciągle ten ubytek zapełnia. Bryła żelazna, rozpalona choćby do białości, rychło stygnie, ale piecyk żelazny, dopóki się w nim pali, pozostaje wciąż gorącym; rozsyła on wprawdzie ciepło swe na wszystkie strony, ale płonący węgiel wciąż darzy go nowym zapasem ciepła, tak, że ubytek bezustanny, bezustannie się wynagradza. Wtedy dopiero, gdy wypali się cały ładunek węgla w piecu i ogień wygaśnie, strata ciepła staje się widoczną, a piec stygnie odtąd szybko, jak każda inna bryła rozgrzana. Zwierzę również rozsyła ciepło na wszystkie strony, skoro więc pomimo to zachowuje jednakową, stateczną zawsze temperaturę, w łonie ciała jego niewątpliwie ciepło wytwarzać się musi. Zestawienie zwierzęcia z piecem wydawać się może dziwacznem, ale podobieństwo to zachodzi dalej jeszcze; jak w piecu bowiem, tak i w ciele zwierzęcem ciepło w samej rzeczy wywiązuje się przez palenie. Zrozumiano to przed stu laty, gdy dokładnie poznano na czem oddychanie nasze polega. Poprzednio nie domyślano się zgoła, że powietrze przez ludzi i przez zwierzęta wydychane jest już zmienione i do dalszego oddychania nieprzydatne. Sądzono tedy najpierw, że gaz wydobywający się z płuc, powstaje z połączenia się powietrza z krwią; dalsze wszakże badania nauczyły, że związek ten zachodzi nie między powietrzem a krwią, a ra-

czej między ich składowemi tylko częściami; tlen powietrza łączy się z węglem, unoszonym przez krew. Z połączenia tego powstaje gaz, zwany kwasem węglowym; jest to zresztą gaz dobrze nam znany, on to bowiem powoduje burzenie się wody sodowej, wina szampańskiego i innych napojów musujących.

Jeżeli zaś mówimy, że oddychanie jest to łączenie się w płucach naszych węgla z tlenem, tem samem też wyjaśnioną zostaje i zagadka ciepła zwierzęcego. Łączenie się bowiem węgla z tlenem, jest to, mówiąc językiem zwyczajnym, palenie się węgla; oddychanie jest to palenie, ono to wytwarza ciepło ciała naszego. Ta tylko zachodzi różnica, że w piecach węgiel płonie gwałtownie, wywiązując silny żar, gdy w płucach naszych zachodzi palenie bardzo powolne; zresztą wszakże oba te działania są zupełnie podobne. Ciepło wywiązujące się przy tem paleniu, udziela się krwi wypełniającej płuca, a stąd rozbiega się po całym organizmie zwierzęcym. Powietrze więc, którem oddychamy, służy do dwu celów zarówno ważnych dla naszego zachowania, zabiera krwi węgiel, którego nadmiar byłby bardzo szkodliwy, a zarazem ciepło wzbudzające się przy paleniu tem w płucach, wynagradza stratę ustawiczną jakiej doznajemy przez wpływ zimniejszej atmosfery i ciał nas otaczających. Nie jest to bynajmniej czczy domysł, potwierdzony bowiem został zarówno ścisłemi, jak i przekonywującemi doświadczeniami. W stosownym przyrządzie spalono oznaczoną ilość węgla, otoczywszy go lodem w ten sposób, że wszystko ciepło ze spalania tego powstające, wyłącznie na stopienie lodu przechodziło, stąd więc można

było ocenić, ile ciepła wytwarza spalanie jednego funta węgla. W podobnym przyrządzie umieszczono następnie niewielkie zwierzątko, świnkę morską i znowu oznaczono ilość lodu, jaka się stopiła pod wpływem ciepła przez zwierzę to wysyłanego; przy tem zaś zbierano kwas węglany, przez to samo zwierzę wydychany, a stąd oczywiście można było oznaczyć jaka ilość węgla w ciągu tego czasu w płucach zwierzęcia spłonęła. Uderzająca zgodność — funt węgla, który się spala, dajmy na to, w piecu, wywiązuje zupełnie taką samą ilość ciepła co i funt węgla w płucach naszych. Różnica ta tylko, że w piecu płonie on szybko z objawem ognia, w płucach zaś naszych spalanie to, czyli łączenie się węgla z tlenem, odbywa się zwolna z mniejszą gwałtownością.

W ciągu poprzedniej dyskusyi naszej nasunęło się nam jedno jeszcze pytanie, na które również brakło odpowiedzi, skąd mianowicie organizm zwierzęcy czerpie zasób siły, dający mu możność wykonywania pracy? Teraz odpowiedź nasunie się nam łatwo, jeżeli uprzytomnimy sobie działalność maszyny parowej. Gdy lokomotywa ciągnie długi szereg wagonów, wykonywa ona pracę kosztem ciepła, które się ze spalania węgla wytwarza; para jest tu tylko pośrednikiem przy przeobrażaniu ciepła w pracę. Gdy mamy pewien zapas węgla, przechowywany w piwnicy na zimę, przeznacza on dla nas oznaczony zasób ciepła; dla przemysłowca ma on wartość odpowiedniej ilości pracy. Palenie węgla jest źródłem ciepła, które się w dalszym ciągu w pracę przeobraża, a podobny ciąg przemian nieprzerwanych zachodzi i w istocie żywej.

Porównać więc można zwierzę żyjące do maszyny parowej, odstępstwa zachodzą tylko w okolicznościach podrzędnych. Okazano to doświadczeniami zupełnie przekonywającymi.

Mięsień, wycięty z żaby świeżo zabitej, zawieszono w jednym końcu, w drugim obciążono niewielkim ciężarkiem, a nadto umieszczono w nim czuły bardzo termometr. Gdy wtedy mięsień ten podrażniono prądem elektrycznym, skurczył się on nagle i pociągnął ciężarek w górę, wykonał przeto pewną pracę—w tejże samej wszakże chwili osadzony w nim termometr opadł, dając tem dowód, że mięsień się oziębił, na wykonanie więc pracy wyłożył pewną ilość ciepła; można było stąd nawet obliczyć, że zamiana ciepła w pracę wyraża się stosunkiem takim samym, jak i w maszynie parowej. Ostatecznie więc w organizmie zwierzęcym, jak w piecach naszych, jak pod kotłem maszyny parowej, odbywa się istotne palenie; w jednym przeto i w drugim razie wymaga to ciągłego dowozu materiału opałowego. Piece opalamy węglem kamiennym lub drzewem, dla organizmu zaś materiał opałowy stanowią pokarmy.

Pokarmy nasze są to substancje bardzo zapewne różne od węgla kamiennego lub drzewa, w istocie jednak rzeczy różnica nie jest taka znaczna, wszystkie bowiem pokarmy nasze, chleb i owoce, mięso, tłuszcze zawierają zawsze węgiel i wogóle składem swoim chemicznym są znacznie do zwykłych materiałów opałowych zbliżone. Nie moglibyśmy się zapewne żywić węglem lub drzewem, ale to dla tego głównie, że materiały te nie rozpuszczają się w wodzie, ani też w cie-

czach, wydzielających się w naszym przewodzie pokarmowym, przez ściany zaś tego przewodu do krwi przedostawać się mogą substancje jedynie w stanie ciekłym, to jest gdy są rozpuszczone. O pokarmach możnaby zresztą długo prawić, ponieważ wszakże obecnie idzie nam tylko o wyjaśnienie, jak się w ciele zwierząt ciepło wytwarza, poprzestać możemy na tej wiadomości ogólnikowej, że pokarmy stanowią materiał opałowy dla organizmu naszego, zawarte w nich substancje, węgiel zwłaszcza, roznosi krew po całym organizmie i doprowadza do płuc, gdzie łączą się z tlenem i ulegają spalaniu. Organizm zwierzęcy jest to maszyna bardzo złożona i zawiła, ale wszystkie jego szczegóły zależą nawzajem jedne od drugich i łączą się w całość zgodną i harmonijną.

Mówiliśmy już wyżej, że pokrycie zwierzęcia, jego sierść lub pióra, chroni je od stygnięcia; rodzaj tego pokrycia zostaje więc w ścisłym związku z ilością ciepła, jaką zwierzę wywiązuje, z żywością procesów palenia, jakie w nim zachodzą. W jednakowych warunkach umieszczono dwa króliki, z których jeden posiadał sierść swą naturalną, drugi zaś zupełnie ogołocony z niej, miał skórę nagą. Ten drugi doznawał znaczniejszej straty ciepła, a dla wynagrodzenia bezustannego i znacznego ubytku ciepła, zużywał pokarmu daleko więcej; pomimo to, powiększona nawet ilość pożywienia nie mogła wystarczyć dla pokrycia straty ciepła, rozsyłanego przez nieosłoniętą skórę, a po kilku dniach zwierzę żyć przestało.

Zwierzęta wysyłają ciepło całą powierzchnią swą, od jej wielkości zależy tedy, jak szybko

zwierzę to ciepło swe traci i stygnie. Wyobraźmy sobie sto kulek drobnych i jedną kulę wielką, zajmującą też samą objętość, co wszystkie owe kulki drobne, naturalnie powierzchnia stu tych małych kulek znacznie przewyższać będzie powierzchnię kuli wielkiej. Niechaj to będą kule żelazne, rozgrzejmy je jednakowo silnie, umieścmy je w jednakowych warunkach, a kulki drobne ostygną znacznie prędzej, aniżeli kula wielka.

Toż samo, słowo w słowo, da się odnieść do zwierząt. Zbierzmy tyle myszy, aby waga ich wyrównywała ciężarowi słonia, a będą one miały powierzchnią znacznie większą, aniżeli ten olbrzym lądów, znacznie też więcej tracić będą ciepła. Ubytek ten wynagrodzonym być musi żywszem paleniem w organizmie, obfitszem wywiązywaniem ciepła. Ptaki, posiadając gęstą osłonę ciała, są mniej na utratę ciepła narażone, dla tego też w ogólności mają wymiary mniejsze aniżeli zwierzęta ssące. Najdrobniejsze jednak ptaki zamieszkują okolice najgorętsze i są nadto suto upierzone. Gdy znów warunki zewnętrzne powodują bardzo znaczną utratę ciepła, zwierzę dla jej zrównoważenia dorasta znacznej wielkości—zwierzęta ssące żyjące w oceanach, wieloryby, foki, morsy, mają wzrost potężny. Przy tak znacznych bowiem tylko wymiarach ciała, utrzymać mogą wysoką temperaturę w lodowatych wodach dalekiej północy.

Skorośmy wszakże rozwiązali już zagadkę ciepła zwierzęcego i rozumiemy, jak to się dzieje, że istota żyjąca, w mroźnem nawet nie ziębnie powietrzu, nasuwa się nam teraz inne jeszcze, a wręcz przeciwne pý-

tanie, w jaki sposób jest ona w stanie opierać się i ciepłu nadmiernemu? Bryła żelazna, która na mrozie zastygła, gdy ją znów obok pieca rozpalonego lub w pobliżu ogniska złożymy, rozgrzeje się rychło, tak dalece, że nikt jej ręką dotknąć się nie odważy, a przecież przy tem ognisku pracuje i uwija się ustawicznie: piekarz, kowal, hutnik;— czyż więc temperatura ich ciała również się silnie podnosi, czyż rozgrzewają się jak martwy gład kamienny lub metalowy? Pojmujemy, że tak być nie może, najłżejsza bowiem nawet gorączka rzuca nas na łóżko, a gdy temperatura ciała choćby o kilka tylko stopni wzrasta, staje się dla nas zabójczą. Widzieliśmy też nieraz, jak starannie za pomocą termometru mierzy lekarz temperaturę chorego, i stąd wnosi o przebiegu choroby, czy dalej wzmaga się jeszcze, czy też ustępuje. Palacz zaś, który zasila wciąż opałem ognisko pod kotłem maszyny parowej pomimo żaru, który go otacza, zachowuje swe zdrowie, nie ulega gorączce; temperatura jego ciała pozostaje więc w zwykłym normalnym swym stanie. Pod skwarnem niebem afrykańskim, posiada murzyn takąż samą temperaturę ciała jak eskimos skulony w chacie swej, z lodu zbudowanej. Przebywamy też nieraz w salach natłoczonych, w teatrach, na widowiskach, gdzie gorąco staje się dokuczliwem, a pomimo to właściwa temperatura naszego ciała nie wzmaga się bynajmniej. Jakąż więc drogą niweczy się zgubny wpływ ciepła nadmiernego, w jakiż sposób broni się ciało nasze przeciw zbyt niemu rozgrzaniu? Zagadkę tę wszakże pobieżna już obserwacya rozwikłać nam dozwoli, gdy przypomnimy sobie krople potu, które w warun-

kach takich na czoło nasze występują. Żar podnieca działalność gruczołków potowych, ciało nasze pokrywa się obfitym potem, który się szybko ulatnia, a parowanie to sprowadza ochładzanie się ciała. Tak samo, by oziębic izbę zbyt rozgrzaną, skrapiamy podłogę wodą, parowanie bowiem cieczy wymaga zawsze nakładu ciepła, sprowadza więc obniżenie temperatury. W czasie dnia skwarne go radzi sobie pies, wysuwając z paszczy wilgotny swój język, żywe bowiem ulatnianie tej wilgoci daje mu zbawienną ochłodę.

Temperatura więc istoty żyjącej pozostaje wciąż niezmienną, lub prawie niezmienną, utrzymuje się w równowadze statecznej. Jest to jakby piec tak misternie urządzony, że w razie potrzeby, gdy jest narażony na zbyt silną utratę ciepła, sam przez się ognisko swe podsyca; gdy zaś nadmiernie zagraża mu rozpalenie, energiczniej zaczyna ciepło swe rozsyłać i prędzej stygnie.

Budowa wszakże zwierzęcia misterniejszą i osobliwszą jest jeszcze. Piec, gdy mu opału zabraknie pozostaje zimnym, maszyna parowa, skoro spłonie ostatnia bryłka węgla, powstrzymuje natychmiast ruch swój i pracę. A tymczasem zwierzę zgłodniałe, nawet w braku pożywienia, temperaturę ciała swego jeszcze zachowuje; nieraz też człowiek o głodzie pracować musi, a pomimo to, posiada jeszcze dosyć energii, by na utrzymanie rodziny swej zapracował.

Skądże więc przy niedostatku takim czerpie organizm żyjący dla siebie materiał opałowy; gdzie w rzeczach takich znajduje źródło ciepła swego? Oto organizm sam się zużywa, niszczy się tkanki, spalają się

same mięśnie, istota żyjąca staje się wątlejszą, wychudzoną. Gdy złych losów pokonać nie zdoła, ulega wreszcie w tej walce, ginie i umiera; ale człowiek wytrwały i dzielny nie poddaje się łatwo, pokonywa przeciwności i poprawia warunki swego bytu, pracuje bez uszczerbku dla swego organizmu, a praca daje zadowolenie, gdy korzystne jej widzi owoce. Praca bowiem, mówi wielki poeta, zrosi czoło w męce, lecz nie odbiera już, co da.

Na tem zakończył medyk swój wykład, bo chłopców właśnie na wieczerzę wezwano. A uwijali się przy niej tak żwawo, że któryś z nich szepnął do sąsiada swego:

— Skorzystali widocznie z nauki, kiedy się tak gorliwie opałem ładują, ale czy również ochoczo wezmą się jutro do pracy?

Stanisław Kramsztyk.



Nr
Z księgozbioru
Jana Białeckiego
(Własność prywatna)

Taka sobie bajka.



Któregoś dnia było na świecie gorąco, bardzo gorąco. Błękit nieba przyświecał żarem, w powietrzu drgały jakieś iskry złote, migotały plamy tęczowe.

I oddychać tem lotnem zarzewiem nie było prawie można.

Więc też ziemia dyszała z gorąca, więc też stworzenia wszystkie wpół omdlewały.

Ani jeden listek nie trzymał się prosto, najwytrzymalsze zwisły bezsilnie.

— „Gdzie nam teraz myśleć o cieniu dla ziemi — szeptały. — Dość mamy własnej biedy.“

Ptaków ani słychu. Zaszył się ten drobiazg gdzieś w kąty, wtulił pod gałązki i spał czy czuwał, tego już wiedzieć nie mogę.

Zamarło życie... ustał ruch... Ale prawda, nie zupełnie. Narzekania ludzkie przerywały tę ciszę.

— „Co za upał! Mój Boże jaki straszny upał. Żeby już raz sobie przeszedł. Nic w taką spiekę robić nie można.“

Tak biadali ludzie i ocierali pot z czoła i chłodzili się czem kto miał pod ręką: to wachlarzem, to chustką, to choćby liściem chrzanu.

W tem wszystkim była jednak ogromna przesada. Bo najpierw, dopiero od paru dni zrobiło się gorąco, a potem upał, czy nie upał, pracować zawsze trzeba.

I trwały te narzekania ludzkie od ranka do zmierzchu.

Tymczasem w polu stał sobie sam pan upał we własnej osobie.

Był to silny młodzieniec, a taki wysoki, że głową nieba sięgał.

Bardzo mu też dobry wzrost był potrzebny, gdyż rękami chwycił całe pęki promieni słonecznych i rzucał dokoła siebie w różne strony.

Te na zboże, by dojrzewało, tamte na sady i łąki.

Innym znowu kazał budzić uspięne w pączkach kwiaty, a innym jeszcze wypijać wodę z rzek i strumieni.

Bo i wody może być czasem za wiele.

Stał sobie upał i słuchał, co o nim mówiono i jak nań narzekano.

Żal ścisnął mu serce.

Toż on tyle drogi zrobił, by przybyć tutaj, tak spieszył się bardzo.

Bez niego nie dojrzałyby zboża, nie zarumieniły się jabłka i gruszki, nie pootwierały kwiatów kielichy.

— A za to wszystko ludzie wypędzają go precz, daleko.

— „To dobrze, pójdę sobie od was niewdzięcznicy—powiedział.—Zobaczymy jak sobie bezemnie dacie radę.“

Tak powiedział, lecz groźby nie spełnił, za szlachetny był na to.

Nie darmo mu słońce ojcem.

Skończył wreszcie upał swoją robotę.

Wszędzie, het daleko, jak okiem zasięgnąć drżały fale zbóż złotych, chyliły się ku ziemi ciężkie ziarnem kłosa.

Ani jeden pączek nie został opuszczony, ani jedna leśna jagoda pominięta.

Promienie słońca dopóty je pieściły, dopóty całowały—aż od ciepła tych pieszczot kwiaty w uśmiechu roztworzyły kielichy i przemówiły wonią—jagody zabłysły czerwienią rumieńca.

Była to jednak praca nielada.

To też upał zmęczył się bardzo, zczerniał, skurczył się — jakby zmalął nawet.

Wprost z ziemi poleciał upał na słońce. Pewnie żeby odpocząć, a może i rozgrzać się trochę.

Byłoby to wprawdzie bardzo dziwne, lecz kto wie?

Różne rzeczy dzieją się na świecie, a wiadomo, że niewdzięczność ludzka wszystko zmrozić potrafi.

Przedtem jednak żał się upałowi zrobiło ziemi.

— Trzeba trochę ludzi orzeźwić, spragnione roślinki napoić—pomyślał.

I po drodze wstąpił na bagna i łąki, gdzie w pałacu—ze srebrnych promieni utkanym — mieszkała mgła.

— Moja droga, idź tam ochłódź biedną ziemię— powiedział do przyjaciółki.

Mgła lubiła bardzo podróże, chętnie więc przyrzekła spełnić prośbę.

Cichutko, bez szelestu podniosła się mgła z ziemi, długim liliowym welonem otulając wszystko co spotkała na drodze.

Kwiaty i drzewa powitały ją radośnie, więc popłynęła ku mieszkaniom ludzkim, ku łanom wyłocnym i wieś całą aż po dach dzwonnicy zanurzyła w srebrnej topieli.

— Niech-że się i te kamienie szare i te cegły splekane ochłodzą—myślała.

Już to na serdeczne przyjęcie, na podziękowania liczyła mgła z pewnością.

Ale omyliła się biedaczka.

Całe chóry biadań i narzekań szły z ziemi przez tumany wilgotne.

— Ach, jaka ta mgła zimna! Skądże znów się wzięła? Już lepszy był upał! Żeby raz ta szkaradna, brudna mgła sobie poszła. Tylko nam pracować przeszkadza!

Oburzyła się mgła. A już szczególnie dotknęła ją ta nazwa „szkaradna“.

Ona szkaradna! Ona taka śliczna, przejrzysta pani, z oddechu ziemi i westchnień kwiatów zrodzona.

Jacyż niewdzięczni ci ludzie!

Pogniewała się mgła i popłynęła w górę do swych starszych sióstr, perłowych chmurek, co niby stada jakichś ptaków dziwacznych żeglowały hen wysoko... wysoko...

Między chmurami mieszkał deszcz, wiecznie zasępiońy i chorujący na katar jegomość.

Mgła opowiedziała mu o zawodzie doznany na ziemi.

— „A to tak — zapluskał deszcz — to oni tacy. Zaraz ja im dam za te ciągle biadania, za to próżniactwo. A już najlepiej, to skórę przetrzepać! Nie podobały się państwu pieśczoćy słońca, uściski mgły, no, to się ze mną poznacie.“

I owszem.

I jak nie trzepnie, jak nie trzepnie deszcz co siły — to wnet zamroczyło się wszystko w około.

Niby tysiące różeg olbrzymich były strumienie wody z pluskiem i szelestem o ziemię, a ona biedna zdawała się uginać pod tą chłostą i jęczyć i żalić cicho.

— „To przecież nie ja jestem winna. Czemuż mnie karzecie?“

Zamroczyło się wszystko w około.

O skończeniu żniw już ani myśleć nawet. Czerniały i gnily złote pokosy na polach, padały na ziemię kraśne jagody deszczem strącone — porykiwało przeciągle bydło po oborach i zagrodach, a ludzie łamali ręce i patrząc w czarne, nieprzejrzane jak przepaść niebo, wołali:

— „Mój Boże! Chleb gnije nam na polu, cóż jeść będziemy?”

Lub też znowu:

— „Już największy upał lepszy niż ta ślota! Już i mgła milsza!”

Wzbierały im oczy łzami niby ołów ciężkimi, łzami troski i rozpaczy.

— Za co nas Bóg tak karze?—powtarzali.

Może to zresztą nie była kara i chłosta... może to niebo płakało tylko nad ludzkim nierozumem i ludzką niewdzięcznością, ale—jak to zawsze bywa według odwiecznego prawa—łzy musiały być zapłacone łzami.

Więc płacz był ogólny.

A tymczasem deszcz siekł i siekł niezmordowanie.

Byłoby pewnie wszystko zboże zgniło, byłiby pewnie ludzie pomarli z głodu, gdyby nie ta szczęśliwa okoliczność, że nareszcie deszcz się zmęczył.

Już mu sił zabrakło.

— Macie teraz za swoje, dobrze wam tak—mruczał.

A ludzie?

Ludzie przestali w końcu jęczyć i szlochać, bo wielki smutek cichy jest zawsze.

Więc tylko chyliłi głowy i milczeli.

Nawet jaki taki myślał:

— „Słuszna kara na nas spadła—słuszna.”

Po deszczu przyszedł chłód, właśnie go tam upał z jakiegoś kąta na ziemi wypędził — więc przywędrował tutaj.

Ale nie przywędrował sam. Znalazł towarzysza.



I chłód nie zasypiał sprawy.

Był nim wiatr wschodni, słynny zawadyaka i zawierucha.

Pewnie też od tego kręcenia się i szamotania ciągle był spragniony, więc jak usłyszał, że pola i ogrody pod wodą stoją, zaraz sobie pomyślał:

— Aha, w to mi graj! Dopiero będę miał używanie!

Zaczął się używanie, a zarazem robota.

Po mokrej ziemi, po nasiąknięch wodą łąkach, po zbitych pokosach biegły ostre podmuchy wiatru i piły chciwie krople dżdżowe.

I chłód nie zasypiał sprawy. Wciskał się do chat, wkręcał pod odzież, wsuwał w każdą szczelinę, a wciąż napędzał ludzi do pracy.

Niechno się który polenił, to zaraz szczypał go w nos, w uszy, w policzki. Ani sposób opędzić się natrętnikowi.

I takie raz po raz słyhać było wołanie:

— Prędeż! prędeż, ino mi się spieszyć, ino nie marudzić. Wiecie kto za mną idzie? Oto mróz i śnieg. Miła parka, wszak prawda?

Niechno się ukaże, już na pracę będzie zapóźno.

Śnieg białym całunem wszystko pogrzebie, mróz skuje ziemię łańcuchami, i do chat waszych się wedrze i serca w bryłę lodu będzie chciał obrócić.

A już wtedy śmierć dla was nieuchronna!

Śmierć z głodu i zimna. Więc póki czas, nie marudźcie, pracujcie ile sił starczy. Może się co jeszcze ze straconych zbiorów ocali?

W ten sposób chłód upominał ludzi.

I stała się rzecz dziwna, rzecz niespodziewana.

Wraz z chłodem ostrym, wraz z wiatrem świszczącym, otucha wstępowała w serca ludzkie.

Podnosili spuszczone głowy — zgasłe źrenice budziły się i gorzeć zaczynały.

A nie jeden, nie dziesiąty — szeptał sobie cicho:

— Ha, cóż robić. Co się stało, nie odstanie. Może zresztą i słuszna była kara? Teraz do roboty! Porosło nam zboże, lecz i z takiego chleb upieczemy — pogniło siano, więc słomą będziemy karmili bydłatka—rozmiękły ściany chaty, podeprzemy je choć ramieniem własnem, a rąk beczynnie nie opuścimy!

— Nie opuścimy!

Fadwiga Chrzęszczewska.



No _____

Z księgozbioru
Jana Białeckiego
(Własność prywatna)



O TRENACH JANA KOCHANOWSKIEGO.

Poezya polska posiada niemało dzieł i pięknych bardzo i głęboko uczuciowych. Jedno z najpierwszych miejsc między nimi zajmują słynne Treny Jana Kochanowskiego, czyli pieśni żałobne, w których poeta wyraża swój żal i cierpienie z powodu śmierci ukochanej, kilkoletniej zaledwie córeczki, Urszulki. Utwór ten jest bardzo dawny, napisany został przeszło lat temu trzysta, a pomimo to nic nie stracił na swej wartości, owszem dzisiaj, tak samo jak przed

trzema wiekami, wzrusza i zachwyca wszystkich, miłujących prawdziwą poezję.

Skąd pochodzi ta niezłomna trwałość, ta żywa świeżość wiekuista arcydzieła Kochanowskiego? Ma ona swe źródło zarówno w treści, jak i w formie Trenów. Treścią ich uczucie zawsze prawdziwe i każdemu zrozumiałe: boleść nad stratą drogiej istoty. Kto jej nie doznawał? Kto nie płakał na grobach i nie chowa w sercu wspomnienia ukochanych zmarłych? W zwykłej kolei życia dzieciom sędzono oplakiwać rodziców. Ależ wiele razy odwrotnie się dzieje? Jakże często śmierć przecina pasmo dni młodzieńczych i zimnem swem tchnieniem mrozi niedojrzałe latorośle życia, zanim jeszcze kwieciami się okryły i owoc swój wydały! A wtedy tem większa boleść. Wspomnienie straty niepowetowanej łączy się z uczuciem zawiedzionych nadziei i pragnień nieziszczonych. Taki to dwoiście smutny i bolesny stan duszy wyraził Kochanowski w całej jego żywości i prawdzie, a wyrażeniu temu nadał tak doskonałą i piękną formę, że nawet ci, którzy nieczuli są na głos serca poety, ale umieją odczuwać prawdziwe piękno, muszą się zachwycać jego pieśnią żałobną.

Słusznie też Treny poczytywane są za główne arcydzieło Kochanowskiego, za utwór jego najpiękniejszy, a zarazem najgłębszy i najbardziej oryginalny. Ta ostatnia ich zaleta niemałe ma znaczenie i wyróżnia je bardzo znamienne wśród innych utworów naszego poety. Trzeba bowiem wiedzieć, że nie zawsze snuje wątek swej poezji z natchnienia samoistnego i z głębi własnego serca; często naśladuje obce wzory,

powtarza w odmiennej nieco formie uczucia i myśli, które dawniej już wypowiedzieli inni poeci, szczególnie starożytni Grecy i Rzymianie.

W owej epoce, w której żył Kochanowski, tak w Polsce jak i w całej Europie naśladowano arcydzieła starożytnych wieków; poeci ówczesni starali się nie tylko pisać, ale nawet myśleć i czuć na wzór swych mistrzów greckich i rzymskich. W historyi nazwano tę epokę (przypadającą głównie w XVI wieku po Chrystusie), epoką odrodzenia, bo wtedy cywilizacya, poezya i sztuka starożytności, które zdawały się już umarłe i pogrzebione pod gruzami cesarstwa rzymskiego, odżyły jakby na nowo, odrodziły się w nowożytnej Europie.

Dla Polski ten ruch odrodzenia nie małe miał znaczenie i przyczynił się wielce do rozkwitu ówczesnej naszej cywilizacyi; to też w historyi literatury polskiej wiek XVI nosi nazwę złotego okresu.

Jan Kochanowski jest najznakomitszym przedstawicielem tego okresu. Jego poezya jest piękną, harmonijną, wzorową, choć, jak wyżej rzeczone, nie zawsze samodzielnią. Nie znaczy to, aby nasz poeta był ślepym naśladowcą, aby kopiował niewolniczo dawnych mistrzów. Owszem, jest on zawsze sobą, wyraża swoje własne uczucia i myśli; tylko że wszystkie te jego stany duchowe, całe wewnętrzne życie duszy, rozwinęło się i ukształtowało na sposób więcej grecki, niż polski. Powiedziano o nim nie bez słuszności, że był to duch starożytnego greka, w ciele polskiego szlachcica. Stąd też jego utwory poetyckie nie są odbiciem życia narodowego, znaczenie ich polega nie na

treści, lecz na formie. Pod tym ostatnim względem zasługa Kochanowskiego w naszej literaturze niespożyta jest i wiecznotrwałą. Stworzył on język i styl poetycki tak doskonały, iż w najpóźniejsze czasy pozostał wzorem mowy niezrównanie pięknej i wyrazistej. I dodać należy, iż jest on pierwszym prawodawcą i twórcą tej mowy poetyckiej. Przed nim nie istniała ona prawie; on ją jakby z niczego wyprowadził i od razu prawie wyniósł do szczytu doskonałości. Dlatego z całą słusnością mógł o sobie powiedzieć:

„I wdarłem się na skałę pięknej Kaliopy,*)
Gdzie dotychczas nie było śladu polskiej stopy.“

W pośród utworów Kochanowskiego *Treny* ze względu na piękność formy zajmują jedno z najpierwszych miejsc. Ale, jak już wyżej było nadmienione, nie na tem jedynie polega ich doniosłość wielka, lecz na wyjątkowej samoistności uczuć i natchnień, z których zostały wysnute. Wprawdzie zobaczymy, że i tutaj poeta nie może całkiem zapomnieć o swych wzorach starożytnych, używa niekiedy wyrażen i pojęć stamtąd zaczerpniętych, atoli główny tok uczuć i myśli zupełnie samoistny jest w *Trenach* i płynie wprost z osobistego nastroju duszy.

Nietrudno wskazać przyczynę, która sprawiła, że właśnie ten utwór poety jest tak oryginalny i pełen osobistego uczucia.

*) Kaliopę—muza poezji.

Inne swoje rzeczy pisał Kochanowski zawsze prawie w usposobieniu spokojnem i mało uczuciowem, nietylko dla zaspokożenia pragnień i porywów serca, dążącego do wylania się w słowach, ile pod wpływem chęci stworzenia rzeczy pięknej i artystycznej.

Wogóle nie przejmował się on zbyt silnemi wrażeniami, nie był człowiekiem gwałtownych uczuć, lecz raczej rozmiłowanym w swej sztuce artystą. Nie dziw przeto, że w tej dziedzinie artystycznej, w której tak chętnie przebywał, szedł zawsze śladem mistrzów, uznawanych przezeń za najwyższych i najdoskonalszych. Raz tylko w życiu, o ile nam wiadomo, doznał on gwałtownego wstrząśnienia uczuć i wtedy wyśpiewał pieśń natchnioną, dającą poznać w swym twórcy nietylko wielkiego artystę, niezrównanego mistrza polskiej mowy, ale także człowieka głęboko czującego, który odkrywa nam wewnątrz swego serca i budzi w nas obok podziwu artystycznego i całą siłę szczeroludzkiego współczucia.

Znane nam są smutne okoliczności, które stały się źródłem *Trenów*:—śmierć przedwczesna owej małej Urszulki, tak ukochanej przez poetę.

Któż nie słyszał o tej nadzwyczajnej dziecinie? któż o niej nie czytał, choćby w pięknym życiorysie Kochanowskiego, napisanym przez Klementynę Hoffmanową. Jak wiadomo Urszulka, mając zaledwie lat kilka, okazywała nadzwyczajne rozwinięcie umysłowe i wybitną zdolność do poezyi. Kochanowski sądził, że stanie się ona kiedyś poetką polską, że lutnię jego odziedziczy. A obok tych wyjątkowych uzdolnień

dzieweczka posiadała i inne przymioty, właściwe jej wiekowi: wdzięk dziecięcy, tak miły zawsze w dzieciach, urok naiwności, oraz wiele słodyczy i prostoty serdecznej.

Nie dziw, że była ona ukochaniem nietylko rodziców, ale i domowników wszystkich, że zniknięciem swoim „tak wielkie uczyniła pustki w całym domu.“ Nieszczęsny ojciec pod świeżem wrażeniem doznanego ciosu, w pieśni wylał swą żalność, nie myśląc wcale o tem „jaka go z jego płaczu czeka cześć na potem.“

Pisał nie dla sławy przyszłej, lecz dla ulżenia sercu uciśnionemu nadmiarem boleści.

„Muszę śpiewać umarłym“ mówi on sam o sobie; w tym przymusie wewnętrznym daje się poznać nieprzeparta siła porywu serdecznego, objawiającego się w twórczem natchnieniu poety.

Tak więc w przeciwieństwie do innych dzieł swoich, w *Trenach* Kochanowski jest więcej poetą serca, aniżeli artystą i dlatego tak silnie nas wzrusza, tak głębokie pozostawia wrażenie.

Ze względu na ogromną żywość uczucia, widniejącą w *Trenach*, wnosić należy, że nie były one utworzone wedle z góry obmyślanego planu. Pod wpływem gwałtownego cierpienia, poeta wyrzucił z siebie pierwotnie pojedyncze pieśni, nie troszcząc się zapewne o to, jak one się złączą w jednolitą całość.

Prawdopodobnie były napisane w innym porządku niż ten, w którym je obecnie widzimy, nadany on im został później dopiero, gdy już uspokoiła się nieco pierwsza, gwałtowna boleść. Wtedy wrodzony Kochanowskiemu zmysł artystyczny dopomniął się o swoje

prawa; za jego przyczyną żalobne pienia poety otrzymały zewnętrzne wykończenie i ułożyły się w piękną i harmonijną całość, w której treść równoważy się doskonale z formą artystyczną.

Na pierwszy rzut oka całość ta nie wydaje się może zupełnie jednolitą. Składające ją części, to jest pieśni pojedyncze, zdają się być luźnymi kawałkami poezyi, złączonymi jedynie wspólnością przedmiotu. Atoli przy bliższem wejrzeniu przekonać się można, iż związek wewnętrzny jest tu daleko ściślejszy. Treny tworzą nieprzerwany ciąg, w którym kolejno następujące po sobie stany cierpiącej duszy, ukazują w poetyckiem odbiciu skończony i zamknięty w sobie obraz wielkiej boleści.

Pierwsze dwa Treny stanowią wstęp do całości. Poeta kresli tu ogólnie smutny nastrój swych uczuć i w nim daje nam poznać źródło tego natchnienia twórczego, które zrodziło pieśni żalobne na zgon Urszuli.

Zaczyna od tak zwanej inwokacyi poetyckiej. Wzywa wszystkie skargi, płacze i wzdychania, jakimi kiedykolwiek ludzie boleli, aby zgromadziły się do jego domu i pomogły mu oplakiwać poniesioną stratę.

Wielkość cierpienia jest tu niejako uzmysłowiona poetycznie, przez wyobrażenie owego ogromu skarg i jęków, w które poeta pragnął je przelać. Własne nieszczęście przywodzi mu na myśl nieszczęścia powszechnie, dotykające cały ogół ludzki.

Wszystko próżno na świecie—woła ze smutkiem, — wszędzie panuje prawo krzywdy pełne, prawo

śmierci, które zabiera istoty żyjące, aby je zamienić w smutną gromadę cieni znikomych.

Widzimy z tego, jak dalece w pierwszych swych pieśniach żalonych, poeta pochłonięty jest przez cierpienie. Nie może on nawet uprzytomnić sobie tych wzniosłych pociech, jakich dostarcza wiara religijna. Śmierć ukochanej dzieciny, która go tak nagłym ciosem dotknęła, wydaje mu się rzeczą straszną, okropną i dla tego wystawia ją w owej smutnej i beznadziejnej postaci, jaką nadały jej wierzenia pogańskich czasów.

Niekiedy tylko, jak np. w zakończeniu trzeciego Trenu, zwracając się do Urszuli, wyraża nadzieję spotkania jej w lepszym świecie:

Tam cię ujrzę, da Pan Bóg; a ty więc drogiemi
Rzuć się ojcu na szyję rączynkami swemi.

Boleść nieszczęsnego ojca podsycana jest wspomnieniami, które nasuwają ciągle jego pamięci miły obraz zmarłej dzieciny, jej liczne przymioty i nadzieje z nią związane. Te wspomnienia stały się źródłem najpiękniejszych Trenów. Urszulka jak przytomną była w wyobraźni poety, z całą żywością i prawdą zjawia się w jego pieśni, staje niejako naocznie przed duchowym wzrokiem czytelnika. Widzimy ją jak biega po domu całym, wszystkie jego komnaty zdaje się zapełniać swą drobną postacią, słyszymy jej miły szczebiot dziecięcy, poznajemy jej uprzejmość, miłość i dobroć, jaką okazuje rodzicom i domownikom, podziwiamy ten nadzwyczajny, przedwczesny talent,

który objawia trzyletnie niespełna dziecko, gdy „składa nowe piosenki i cały dzień sobie przyśpiewuje.“

A wszystkie te drobne obrazki, te rozrzucone tu i owdzie rysy charakteru, przeplatane są ciągle wybuchami żalu i rozpacz, lub też cichym tonem tęsknej skargi.

Patrzmy na Urszulkę oczami ojca kochającego i pełnego żalości, a to widzenie poetyckie daje nam tem silniej uczuć całą wielkość straty i ogrom wypływającej stąd boleści. Jak żywo zostaje nam ona uprzytomniona, gdy poeta, wspominając w trzecim Trenie niezwykle przymioty zmarłej, woła z głębi serca:

O słowa, o zabawy, o wdzięczne ukłony!
Jakożem ja dziś po was wielce zasmucony!
A ty, pociecho moja! już mi się nie wrócisz
Na wieki, ani mojej tęsknicy ukróćisz.

Jak współczujemy mu głęboko, skoro w następnym, czwartym trenie, skarży się na przedwczesną śmierć Urszuli, na zniweczenie tych pociech miłych, jakich od niej oczekiwano.

W trenie piątym przyrównywa ją do małego drzewka, które rosnąc u stóp drzewa ojczystego, nagle podcięte zostało ostrą kosą sadnika uprzętającego ogród, podobnie Urszulka: przed oczyma rodziców swoich rosnąc, mało od ziemi się wyniosłszy — duchem zaraźliwym srogiej śmierci otchniona, rodzicom troskliwym u nóg upadła.

Niewymownie wdzięczne jest rozwinięte w szóstym trenie porównanie małej poetki do słowiczka,

który całą noc prześpiewawszy w krzaku zielonym umilknął nagle, przez śmierć srogą spłoszony.

Najwyraźniej wspomnienia o zmarłej stają nam przed oczyma w Trenach siódmym i ósmym; oto w pierwszym z nich widzimy żalosego ojca, jak ze łzami ogląda odzienie pozostałe po Urszulce i tak smutnie się skarży na widok tych pamiątek :

Nieszczęsne ochędóstwo! żalose ubiory
Mojej najmilszej córy!

Po co me smutne oczy za sobą ciągniecie?

Żalu mi przydajecie;

Już ona członeczków swych wami nie odzieje,

Nie masz, nie masz nadzieje!

Tren ósmy jest jednym z najpiękniejszych. Niezrównany w sile przenikającego go uczucia i żywości wyrażenia, zawiera zwroty, które jak napisy ryte na marmurze, utrwalają się nazawsze w pamięci czytelnika. Poeta wystawia tu przeraźliwą pustkę jaka powstała w domu jego po zniknięciu Urszulki.

— Pełno nas (mówi), a jakby nikogo nie było, jedną maluczką duszą tak wiele ubyło.

Wspomina jej szczebiotanie wdzięczne i śmiech ucieszny. Jakaż głucha cisza po tych miłych dźwiękach.

Teraz wszystko umilkło, szczere pustki w domu,
Niemasz zabawki, niemasz rozśmiać się nikomu,
Z każdego kąta żalose człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje.

W następnym trenie poeta zwraca się do mądrości i daremnie od niej oczekuje pociechy: rozum ludzki tak dumny, tak zaufany w sobie gdy serce spo-

kojne, jest bezsilny w obec burzy uczucia i nawału cierpień. Poeta skarży się, że strawiwszy lata swoje na nabywaniu mądrości, przez nieszczęście został „z stopniów ostatnich zrzucony i między insze jeden z wielu policzony.“

Tren dziesiąty zawiera wspaniałe wezwanie ducha Urszuli. Dziwne tu jest pomieszanie wyobrażeń pogańskich i chrześcijańskich. Poeta rozmyśla nad pośmiertnym losem drogiej córeczki. Gdzie przebywa? gdzie ją wyrok Boży pomieścił? Czyli w raju szczęścia używa wiecznego? czyli się w czyścju czyści, „jeśli z strony ciała, jakakolwiek zmarszczka na niej pozostała.“ Czyli może na wyspy szczęśliwe zaprowadzona lub ją Charon wiezie przez letejskie wody zapomnienia. Ostatni obraz, wzięty z mitologii greckiej, dziwnie pięknie został tu przez Kochanowskiego zastosowany, podnosząc ogromnie wrażenie beznadziejnej, pełnej zwątpienia rozpaczy.

W trenie jedenastym widzimy najwyższe natężenie bólesci, przechodzącej w rozpaczne zwątpienie.

W zakończeniu jego, poeta dochodzi jednak do upamiętania i zwraca się z takim upomnieniem do swej myśli smutnej i wątpliwej:

Żałości co mi czynisz? owo już oboje
Mam stracić i pociechę i baczenie swoje?“

Treny następne, od 12-go do 16-go, powtarzają jeszcze na różne tony bolesne skargi i narzekania, urozmaicone przez liczne przytoczenia z mitologii, zawierające przykłady wielkich nieszczęść i cierpień ludzkich.

Od trenu 17-go poczyna się stanowczy powrót do uczuć czysto chrześcijańskich. W trenie 17-ym jest uznanie wszechmocy Bożej, której nikt oprzeć się nie zdoła.

Smutek też wielki panuje, ale smutek zrezygnowany, cichy i rzewny, pełen łez i westchnień, ale zarazem pokorny i uległy wyższym wyrokom. Poeta odrzuca ludzkie pociechy i od Boga tylko oczekuje pomocy.

A ja zatem łzy niech leję,
Bom stracił wszystką nadzieję,
By mnie rozum miał ratować.
Bóg sam mocen to hamować.

Jeszcze głębszy nastrój religijny panuje w przedostatnim, 18-ym trenie.

Jest to niewymownie piękna modlitwa, w której dusza uciśniona boleścią wznosi się ku Bogu, uznaje się niegodną Jego łaski, ale w Jego nieprzebranem miłosierdziu pokłada swą nadzieję. Z niemiejszą siłą od poprzedniego zwątpienia, wyrażona tu jest głęboka wiara poety, która z pokorą mówi do Boga:

Od wieków Twoja litość słynie,
A pierwaj świat zaginie,
Niż Ty wzgardzisz pokornym,
Chociaż był długo przeciw Tobie spornym.
Wielkie przed Tobą są występy moje,
Lecz miłosierdzie Twoje
Przewyższa wszystkie złości.
Użyj dziś Panie nademną litości!

Prośba zostaje wysłuchaną. Upragniona pociecha zstępuje do duszy poety. Ukazaną jest ona w ostatnim, najdłuższym trenie w poetyckim obrazie wi-

dzenia sennego, w którym zjawia się zmarła dawno matka poety z Urszulką na ręku i zapewnia go, że jego najmilsze dziecię nie jest stracone, lecz żyje wiekui stem życiem rajszych rozkoszy.

Prześlicznie i czysto po chrześcijańsku wystawiony tu został kontrast nędzy i marności bytu ziemskiego w porównaniu z doskonałym szczęściem niebios. Poeta mówi o niepewności losów i ludzkich nadziei. Wyobraża sobie, jakie to smutne przygody, jakie to ciężkie nieszczęścia spotkać mogły były Urszulkę w dalszym jej żywocie.

Czyż jej nie lepiej tam w niebiesiech, gdzie między anioły i duchy wiecznymi jako wdzięczna jutrzienka świeci, a za swymi rodzicami się modli?

Głębsza wiara w nieśmiertelność duszy przenika cały ten tren ostatni i opromienia go pogodnem i jasnym światłem uczucia religijnego.

Jawnie się stąd okazuje, że Kochanowski w głębi duszy był człowiekiem szczerze wierzącym i prawym chrześcianinem. Zwątpienia, których ślady w poprzednich trenach dają się widzieć, są tylko objawem chwilowego osłabienia ducha, przytłoczonego nadmiarem boleści. Ale ten duch szlachetny rychło wzmógł się na siłach, otrząsnął się z rozpaczy wątpiącej i beznadziejnej i z głębi swego jestestwa zaczerpnął te skuteczne pociechy, których nasiona rzucone zostały we wszystkie dusze ludzkie przez wzniosłą naukę Zbawiciela.

W jej świetle poznaje też poeta istotny cel życia ludzkiego, tkwiący nie w szczęściu trwałem, bo to niemożliwe jest na ziemi, lecz w pracy zwróconej ku własnemu udoskonaleniu i ku pożytkowi bliźnich.

W końcowych swych słowach, ukazująca się w sennem widzeniu matka przypomina poecie jego talent wielki, jego pracę mozolną nad nabyciem wiedzy.

Czyż to wszystko ma pójść na marne? Czyż nie jest obowiązkiem człowieka rozwinąć w czynie uzdolnienia i zasoby wewnętrzne, jakimi przez Opatrzność został obdarzony?

Kochanowski odpowiada na te pytania, wskazując działalność pożyteczną jako najdzielniejszy środek podtrzymania siły moralnej, oraz najskuteczniejsze lekarstwo na wszystkie smutki i dolegliwości życia.

Takie jest poważne i pełne głębokiej mądrości zakończenie *Trenów*, godne geniuszu Kochanowskiego. Jest w nim harmonia estetyczna. Pieśń cierpienia, brząca odgłosem bólu, krzykiem rozpacz, pełna łez i jęków, kończy się smutnym, ale pogodnym i spokojnym akordem wiary i rezygnacji chrześcijańskiej. Powstaje stąd wrażenie wysoce artystyczne, jakie czyni każde harmonijne i skończone w sobie dzieło sztuki, a obok tego otrzymujemy też i głęboką naukę moralną, która sympatycznym oddźwiękiem uczucia wprost do serca nam trafia.


W poetyckim obrazie *Trenów* widzimy wielką, pochłaniającą boleść, która przenika całe jestestwo człowieka, niedostępna żadnym pospolitym pociechom ziemskim, ale znajduje ostateczne ukojenie w poczuciu wyższych obowiązków życiowych, oraz w religijnem podniesieniu ducha.

Walery Gostomski.

№ _____
Z księgozbioru
Jana Białeckiego

WYCIECZKA NA ZELANDYĘ.

I.

dziewiątej godzinie wieczorem gromadka podróżnych zebrała się na pomoście, w miejscu kąpielowem Crampas-Sassnitz na Rugii, aby oczekiwać na przybycie ze Szczecina parowca „Melchior“, który w porze letniej zatrzymuje się w Sassnitz i zabiera turystów do Kopenhagi.

Zanosiło się na noc ciemną. Ani jedna gwiazdka nie rozjaśniała horyzontu, a fale Bałtyku jęczały i szumiały złowrogo, poruszane dość silnym, północnym wiatrem.

Podróżni z upragnieniem, lecz zarazem i z pewnym niepokojem, wyczekiwali przybycia parowca, bo choć w Crampas jest mały port rybacki, ale Melchior nie zadaje sobie tyle trudu, by wjeżdżać do przystani... Zarzuca kotwicę na pełnem morzu, a podróżni muszą się dostać na statek zwyczajnem i, rybackiem i czółnami.

Morze szumi; fale rozbijają się z loskotem o brzegi; wiatr świszczy i radby nas zdmuchnąć z pomostu. Nie wesola więc perspektywa.

Wreszcie ukazuje się z daleka jaskrawe światło, rybacy wiedzą, że to sygnał Melchiora; przybywają pospiesznie z czólnami do pomostu, a podróżni z dość ciężkiem sercem wsiadają do łodzi.

Wśród czarnej nocy płyniemy jak duchy po wzdętych, ciemnych falach; bez żadnego jednak wypadku dostajemy się wszyscy szczęśliwie małymi, spuszczoneymi schodkami na pokład parowca.

Tutaj przykre wrażenie przeprawy na czólnach zostaje odrazu zatarte. Melchior, oświetlony elektrycznym światłem, przedstawia się wspaniale. Wszędzie czystość wzorowa, połączona z wytworną elegancją. Schody przybrane kwiatami i wysłane pięknym dywanem, w salonach aksamitne meble. Na całym statku ruch wielki, życie kipi, a nawet rozlegają się tony pianina, na którem wygrywa jakiś podróżujący artysta. Gromada dopieroco przybyłych podróżnych, dostraja się w oka mgnieniu, do tonu ogólnej wesołości; nasze kółko w jednym kącie salonu prowadzi ożywioną rozmowę, i ani spostrzegłam, gdy północ wybiła.

Zaczęto gasić światła, dając tem sygnał do spoczynku. Podróżni rozchodzą się po kajutach; niektórzy jeszcze wpierw zaglądają na pokład, aby zobaczyć, jaka na jutro zapowiada się pogoda. Zapowiadała się ona nieźle. Chmury rozproszyły się gdzieś daleko; gwiazdy tu i owdzie zaczęły już mrugać na ciemnym nieboskłonie; wiatr dał wprawdzie jeszcze dość silny

i roztrącał spienione fale o boki Melchiora, ale nasz parowiec nie zważał na to, nie ugiął się pod naciskiem bałwanów, tylko prosto, niewzruszenie, bez najmniejszego kołysania, dążył z nadzwyczajną szybkością, coraz dalej na północ.

Kto nie podróżował okrętem, nie wie dokładnie, w jaki sposób łóżka w kajutach są urządzone. Oto wyobraźcie sobie, kochani czytelnicy, wielkie półki, przybite jedna nad drugą, na ścianach kajuty, a będziecie mieli pojęcie, jak na Melchiorze nocowaliśmy.

Na owych półkach ułożone są bardzo wygodne materace, kołdry, poduszki, jednym słowem wszelkie przybory do spania. Bawił mię ten oryginalny nocleg i wdrapałam się na wyższą kondygnację, tuż przy okienku. Spoczynek jednak był nietęgi; bo dudnienie maszyny parowej i uderzanie bałwanów o nawę okrętu nie przyczyniały się wcale do ukołysania do snu; wreszcie i ta krótka niespokojna drzemka przerwana została już o godzinie trzeciej, budzącem się zewsząd życiem na statku.

Wszyscy podróżni wstają na gwałt, aby zobaczyć wschód słońca. Robimy to, co i drudzy. Ubieramy się pospiesznie i wychodzimy na pokład.

Co za wspaniały widok! Stoimy nad przestrzenią nie objętych okiem toni wodnych, które we mgłach się łączą z widnokręgiem. Na wschodzie zaczyna coś płonąć; świetlana zorza wyłania się z fal Bałtyku i rzuca na morze różowe swe blaski. Wreszcie zwolna i majestatycznie wychyla się słońce, a kiedy już ukazało całą swoją tarczę, promienie jego, wytknąwszy sobie na przejrzystej powierzchni ognistą drogę,

biegną do naszego okrętu... Mgły coraz bardziej opadają, rozpraszają się, rzednieją; widnokrąg się rozjaśnia, a słońce coraz wyżej podnosi się na niebie. Gdzie okiem sięgniesz, wszędzie woda i woda. Szare, modre, zielone, lub jeszcze inaczej lśniące jej przezrocza, ciągną się do końca widnokręgu, tak, iż niebo zdaje się na nich opierać.

Lecz niebawem krajobraz się zmienia. Wjeżdżamy w Sund i zaczynamy w oddaleniu rozróżniać brzegi Szwecyi od strony wschodniej, a potem Zelandyi od zachodu. Południowo-zachodnie kończyny Szwecyi nagie, piaszczyste, nie nęcą oka, nie pociągają ku sobie, natomiast zielone, dość wyniosłe, brzegi Zelandyi wyłaniają się niezmiernie malowniczo z pośród morskich toni i zapraszają niejako do spoczynku na swoich szmaragdowych wzgórzach.

Statek płynie i płynie. Posuwamy się coraz dalej, a zbliżamy coraz więcej do brzegu. W miarę przybliżania się do lądu, przybywa życia na morzu.

Liczne parowce z najróżnorodniejszymi flagami przejeżdżają bezustannie około naszego Melchiora, a tysiące czółen, jak rybitwy, uwijają się szybko i muskają srebrzyste fale.

Już widać wieżycę Kopenhagi! Wyteżamy wzrok w stronę stolicy i z niecierpliwością oczekujemy przybycia do celu podróży. Melchior pruje fale zbyt wolno... radzibyśmy na skrzydłach mew pofrunąć, byle prędzej i prędzej!..

Mijamy wreszcie forty, zbudowane na morzu i koszary nawodne, i porobione ze starych okrętów, i wjeżdżamy do przystani.

Jest to port w całym znaczeniu tego wyrazu. Parowców z różnych stron świata stoi w nim bez liku; obok zaraz znajduje się warsztat okrętów. Widziałam z daleka wielki statek, wyciągnięty na ląd do reparacyi. Co za olbrzym! Choć podróż okrętem bardzo miła, daleko przyjemniejsza niż koleją, byłam jednak niezmiernie zadowoloną, gdy uczułam ziemię pod nogami...

Wszyscy podróżni chcieliby corychlej wyruszyć do miasta, lecz prowadzą nas jeszcze do znajdującej się tuż komory celnej. Jest to tylko prosta formalność, gdyż rzeczy nie rewidowano wcale. Weszliśmy jednemi drzwiami, a drugimi wyszliśmy i obejrzelśmy sobie tylko kilku duńskich urzędników. Po tej ceremonii wsiadam z mojami dwiema towarzyszkami do dorożki, jedziemy do wskazanego nam przez oberżystę z Sassnitz, hotelu na Kongens-Nytorv, w centrum miasta. Jest szósta rano. Pragniemy więc kilka godzin wypocząć i zaczerpnąć sił do zapoznania się z miastem.

II.

„Kopenhaga (po duńsku Kjöbenhavn) warowna stolica królestwa duńskiego, leży częściowo na zachodnim brzegu Zelandyi, częściowo na małej wysepce Amager, a rozdzielająca lądy cieśnina stanowi piękny i bardzo wygodny port. Całe miasto składa się z trzech części: Starego miasta, Nowego miasta i portu Chrystyana, na wyspie Amager. Liczne przedmieścia oddzielone są od Starego i Nowego miasta szerokim kanałem, przez który prowadzą wspaniałe mosty.“ Wy-

czytawszy powyższe objaśnienia w „Przewodniku“, snem pokrzepione, wyruszamy z planem w rękę na miasto. Wychodzimy z Kongens-Nytorv. Jest to plac obszerny, na którym się wznosi Teatr Królewski, Akademia Sztuk pięknych, a w samym środku posąg Chrystyana V-go.

Idziemy przez Bred-gade (gade—ulica), place: Św. Anny i Amalienborg, zmierzając do tak zwanej „Długiej Linii“, ulicy, a raczej alei, ciągnącej się tuż nad morzem, ulubionego miejsca przechadzki i przejażdżki Duńczyków.

Jest to jednak pora wakacyjna, przytem dzień powszedni, nie wiele więc osób spaceruje, a powozów wcale nie widać, gdyż bogatsi mieszkańcy Kopenhagi przebywają w okolicznych kąpielach morskich. Na placu Amalienborg oglądamy z zewnątrz pałace królewskie, służące za mieszkanie panującemu obecnie w Danii Chrystyanowi IX i jego rodzinie. Potem chodzimy po pierwszorzędnym „gadach“ przypatrujemy się pilnie i miastu i mieszkańcom i sklepom i oto takie wynosimy wrażenie z kilkogodzinnej przechadzki.

Miasto nadzwyczajnie czyste, ale ciemny koloryt domów, zwłaszcza w dzielnicy starej, nadaje mu charakter bardzo poważny; wielkomiejskiego życia mało; wystawy sklepowe skromne, na niektórych ulicach, co krok sklep z rękawiczkami, lub wyrobami z terra-coty (dwóch specjalności w przemyśle duńskim). Mieszkańcy flegmatyczni, ale bardzo uprzejmi i widać porządni i pracowici, bo czystość wszędzie wzorowa. Kobiety nie wykwinnie, lecz zręcznie ubrane i jakby nicomal wszystkie należały do jednej i tej samej kate-

goryi, pod względem zamożności. Nie ujrysz strojów, wielkiej elegancyi, ale także nędzy i łachmanów. Nigdzie żebrak nie wyciąga dłoni na ulicy. Kto może pracować, ten nie żebrze, a starce i kaleki mają swoje przytulki i domy schronienia. A jak wyglądają Duńczycy i Dunki? Jakie mają rysy? Jaką postawę? spytacie zapewne. Mają oni typ odrębny, który się bezustannie spotyka. Wzrost wysmukły, figura szczupła, blond włosy, jasne oczy, fizyonomia drobna, cienki, mały nos, wązka, długa broda, cera świeża—oto cechy mieszkańców Kopenhagi, które każdy cudzoziemiec zauważyć musi natychmiast. Podobne rysy nadają się do twarzy kobiecych, ale nie przyczyniają się wcale do podniesienia piękności męskiej.

Kopenhaga ze swoim spokojem ulicznym i szarymi gmachami, nie może się zaliczać do pierwszorzędných stolic Europy, niemniej jednak przedstawia ona dla podróżnika bardzo wiele interesu, właśnie tym swoim charakterem odmiennym, a w bogatych muzeach i galeryach jest tyle cennych rzeczy do widzenia, że byłoby przez miesiąc co zwiedzać, a my tylko nie całe cztery dni mamy przed sobą.

Trzeba więc wybrać rzeczy najważniejsze: Rosenborg-Slot, Prindsens-Palais, Kościół Panny Maryi, Muzeum Thorwaldsena i ogród Tivoli, a przecież trzeba także zrobić wycieczkę i po za obręb Kopenhagi i poznać choć trochę zieloną wyspę.

Po obiedzie dobrym i niedrogim, przy którym skosztowałyśmy narodowej duńskiej potrawy „Rödgrödméd-slöde (zimna legomina z drobniutkiej kaszki i soku, do której podają surową śmietankę i cukier

miałki), poszliśmy zwiedzić Muzeum Ludowe i Panopticum, z zamiarem spędzenia wieczoru w Tivoli. W Muzeum są bardzo ciekawe zbiory, odnośne do rozwoju cywilizacyi i oświaty ludu duńskiego. Lud ten stoi obecnie pod względem umysłowym bardzo wysoko, co przyczynia się niezmiernie do podniesienia dobrobytu w kraju. Panopticum jest to bogaty zbiór figur woskowych, artystycznie wykonanych i pomieszczonych w bardzo pięknym gmachu. Widziałam tam śmierć Karola XII, głowę Maryi Stuart i Elżbiety Angielskiej i wiele innych historycznych osobistości.

Z Panopticum poszliśmy do tuż obok znajdującego się Tivoli. Jest to, położony przy bulwarze Westerbro, ogród publiczny w którym znajduje się teatr, cyrk, strzelnica, huśtawki, góry ruskie, młyn dyabelski, kilka jadalni i cukierni, a nawet imitacya Wenecyi i jej lagun z gondolami. Obszerny ten ogród, większy niż park Łazienkowski pod Warszawą, ufundowany przez obywatela duńskiego Carstensen'a w r. 1843, jest miejscem rozrywki i wypoczynku po pracy dla mieszkańców Kopenhagi. Założycielowi szło o to, aby ludności stolicy dostarczyć taniej zabawy (wejście kosztuje 50 örów, mniej więcej 25 kop.) i na ten cel poświęcił cały swój majątek. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności trafiłyśmy właśnie na 50-letnią rocznicę założenia ogrodu; uroczystości trwają cały tydzień. Program zabaw jeszcze więcej urozmaicony. Chciałyśmy wszystko zobaczyć, a więc z pantominy w teatrzyku idziemy do cyrku, potem strzelamy do celu, probujemy szczęścia na loteryi, a moje towarzyszki użyły nawet przyjemności na... młynie dyabelskim, który no-

tabene, bardzo estetycznie jest urządzony; składa się z sześciu wielkich balonów, a obraca za pomocą pary.

Z zapadnięciem mroku cały ogród: drzewa, altany, laguny i wszystkie budynki (pomiędzy którymi najpiękniejsza restauracya w stylu maurytańskim) zostają precudownie oświetlone. Nigdy nie widziałam podobnej illuminacyi! Drzewa i gmachy zdają się płonąć! Widok czarujący! Widzimy portret Carstensen'a w transparencie. Nie wiadomo, w którą stronę zwrócić [kroki i na co wpraw patrzyć. Wszędzie rojno, tłumno, ale nigdzie niema ścisku lub jakiegokolwiek nieporządku, chociaż całą reprezentacyą policyi byli mali chłopcy, w ogromnych futrzanych czapach, poprzebierani za żandarmów. Udana ta policya wchodziła także w program zabawy. Ażeby użyć wrażeń do syta, wsiadamy do gondoli i pływamy po kopenhagskiej lagunie, wreszcie rozmarzone i znużone, wracamy do hotelu, aby zażyć spoczynku po dniu tak pracowitym.

III.

Nazajutrz zrana postanowiliśmy zwiedzić muzeum Thorwaldsena, które wzniesione zostało w r. 1848, staraniem mieszkańców Kopenhagi, w celu uczczenia pamięci znakomitego ziomka i zarazem w celu zgromadzenia w jednym gmachu wszystkich arcydzieł sławnego rzeźbiarza, które on podarował rodzinnemu miastu.

Bartłomiej Thorwaldsen urodził się w r. 1770. Ojciec jego był Islandczykiem, a matka pochodziła



Muzeum Thorwaldsena w Kopenhadze.

z Jutlandyi. Przyszedł on na świat właściwie nie w stolicy Danii, ale na statku, na morzu, w drodze z Islandyi do Kopenhagi. We wczesnej już młodości okazywał wielkie zamiłowanie i talent do rzeźby, oddany więc został do Akademii Sztuk pięknych, gdzie otrzymał trzy nagrody. Następnie udał się do Rzymu, gdzie prace sławnych rzeźbiarzy Canovy i Cartens'a, którzy w owym czasie także mieszkali w Rzymie, wielki wpływ na Thorwaldsena wywarły.

Pozbawiony dostatecznych środków materialnych do przebywania za granicą, miał już wracać do ojczyzny, gdy bogaty Anglik Hope, kupiwszy statkę Jazona, umożliwił artyście dalszy pobyt w Rzymie i tem wpłynął znakomicie na rozwój jego talentu. Thorwaldsen otrzymuje odtąd mnóstwo obstalunków i opromieniony sławą wraca do Kopenhagi r. 1819. W rok później wybrał się znowu do Rzymu. W czasie swej podróży, bawił także w Berlinie, Dreźnie, Wrocławiu, a nawet w Warszawie (gdzie otrzymał zamówienie na pomniki ks. Józefa Poniatowskiego i Kopernika, które potem wykonał *). W Rzymie rozwinął niezmiernie swą działalność artystyczną i uskutečnił wszystkie prawie swoje prace, których jest przeszło sześćset. Następnie mieszkał jakiś czas w Monachium, a w r. 1838 powrócił do Kopenhagi i tu już przebywał do śmierci, która nastąpiła w r. 1844.

Oto krótki życiorys męża, który był nie tylko znakomitym artystą i chlubą Danii, ale i dobrym oby-

*) W katedrze krakowskiej, w kaplicy Potockich znajdują się także dwie prace Thorwaldsena: Chrystus wykuty z różowego marmuru i przeszliczny pomnik Włodzimierza Potockiego.

watelem kraju, bo pozostawiając swoje arcydzieła w spuściznie rodzinnemu miastu, wpłynął potężnie na rozwój sztuki w ojczyźnie.

A teraz rozpatrzmy się trochę w przybytku, gdzie prace Thorwaldsena są pomieszczone i gdzie zarazem spoczywają jego szczątki pośmiertne.

Gmach wznosi się przy ulicy Storm-Gade, a zbudowany jest w stylu starożytnym, który napotyka się w dawnych grobowcach greckich i egipskich. Jest to czworobok, a malowidła i ozdoby, znajdujące się na jego zewnętrznych ścianach tak od strony ulic, jak i środkowego dziedzińca, przypominają także starożytne mauzolea. Na jednej ścianie widzimy geniusz, na wozie tryumfalnym, wjeżdżający w arenę, mimo licznych przeszkód, na drugiej—wjazd Thorwaldsena do Kopenhagi po ośmnastoletnim pobycie za granicą, a na ścianach dziedzińca dęby, palmy, drzewa laurowe, wazony, trójnogi — w ogólności to wszystko, co w świecie starożytnym służyło do wyrażenia czci bogom, lub wybranym tego świata. Na wierzchu gmachu, nad fasadą wznosi się grupa z brązu. Jest to bogini zwycięstwa jadąca na wozie, ciągnionym przez cztery rumaki. Myśl więc wszędzie ta sama, że geniusz Thorwaldsena pokonał wszystkie trudności i w walce z przeciwnościami wyszedł zwycięsko.

Wnętrze Muzeum przedstawia się imponująco, a każdy kto tam wejdzie i zobaczy niezliczoną ilość posągów, grup, biustów i płaskorzeźb, pomieszczonych w czterdziestu dwóch salach, kilku przedsionkach i korytarzach, mimowoli zawołać musi: „Co? to wszystko jest dziełem jednego człowieka? Kiedyż on miał czas

wykuć tyle arcydzieł z twardego marmuru?“ Ale też Thorwaldsen nie był zwyczajnym człowiekiem. Był to olbrzym ciałem i olbrzym duchem. Pomysły bogate rodziły się w dużej, kształtnej głowie, a silne ramię wykonywało je ze zdumiewającą szybkością.

Na parterze znajdują się prace jego młodości, oraz gipsowe odlewy dzieł sztuki różnych rzeźbiarzy. Na pierwszym piętrze są nagromadzone już tylko arcydzieła Thorwaldsena, a na drugim pomieszczono liczne zbiory sławnego rzeźbiarza, jak obrazy i starodawne monety, oraz różne po nim pamiątki, jak meble z pracowni, wraz z niedokończoną ostatnią robotą.

Trudno tu wymieniać wszystkie najcenniejsze jego rzeźby! Jest ich takie mnóstwo i wszystkie prawie bardzo piękne. Z płaskorzeźb cieszą się wielkiem uznaniem: Cztery pory roku, Dzień i Noc, Wjazd Aleksandra Wielkiego do Babilonu i Amor robiący siatkę, a z posągów: Gracye i Amor, Wenus, Hebe, Nadzieja, Jazon.

W dziedzińcu wyasfaltowanym, a otoczonym udekorowanemi ścianami, znajduje się w samym środku grób Thorwaldsena, robiący swoją prostotą niesłychane wrażenie.

Niewielki czworobok, którego zręby otoczone są wążko granitem, a wierzch pokryty świeżym, zielonym bluszczem... oto i wszystko! Pod tak skromną mogiłą spoczywają—stosownie do jego woli—zwłoki wielkiego artysty, ale niezatartym pomnikiem sławy, pozostaną mu na zawsze otaczające go arcydzieła, wśród których pragnął spocząć na wieki!

Z muzeum Thorwaldsena udajemy się do tuż obok znajdującego się Prindsens-Palais. Dawniej slu-

żył ten pałac za mieszkanie królom Danii, obecnie znajdują się w nim bardzo cenne zbiory, podzielone na cztery odrębne kategorie: 1) Dział medali, monet i miedziorytów, 2) Muzeum Starożytności, 3) Muzeum Północne i 4) Muzeum etnograficzne.

Zapewne już o tem słyszeliście, że etnografia jest to nauka, zajmująca się poznaniem wszystkich narodów, a przedewszystkiem badaniem różnego sposobu ich życia. Muzeum etnograficzne przedstawia nam więc zbiór sprzętów, odzieży, broni jakiego narodu, jego bóstwa, jego mieszkania, jego wyroby, jednym słowem, patrząc naprzykład na dział chiński, ma się jasny obraz egzystencyi, upodobań, stopnia oświaty, a poniekąd i charakteru Chińczyków. Zwiedzanie więc muzeów etnograficznych jest bardzo pouczające i zawsze trzeba z nadarzającej się ku temu sposobności korzystać.

Muzeum Etnograficzne w Kopenhadze, posiada bardzo cenne i liczne okazy. Nadzwyczaj bogato reprezentowane są kraje azyatyckie, jak Persya, Japonia i Chiny.

W Muzeum Starożytności, znajdują się znowu zbiory, odnoszące się do starożytnego świata, a w Muzeum Północnem zaznajomić się można ze sposobem życia ludów północnych, a zwłaszcza Eskimosów.

Po obiedzie poszliśmy do Rosenborg-Slot (Slot zamek), niemal najpiękniejszego pałacu w Danii. Położony on jest w parku publicznym Kongens-Have, a przebudowany został w r. 1604 przez Chrystyana W. króla Danii i Norwegii, księcia Szlezwigu i Holszty-

stym przyłądku, leży bardzo warowny zamek „Kronborg.“

Budowa tego gmachu rozpoczęta została przez Fryderyka II, a skończona przez tego samego Chrystyana IV, który zbudował Rosenborg, a który wyświadczył wiele dobrego dla handlu, marynarki, wojował szczęśliwie ze Szwecyą i aby się od niej zabezpieczyć, wznosił wspomnianą wyżej warownię.

Z wieży zamku, na którą wdrapaliśmy się krętymi schodami, roztacza się widok prześliczny na Kattegat, Szwecyę i Zelandyę.

Do Kronborga przywiązane są najrozmaitsze podania ludowe. Utrzymują, że w zamczysku mieszka duński „Rudobrody“, nieśmiertelny rycerz, który go strzeże od nieprzyjaciół; że w pewnej sali pojawia się codziennie o północy Biała Dama i biada temu, kto ją zobaczy, wreszcie, że duch Hamleta, owego bajecznego księcia Danii, który w V czy VII wieku miał panować w Zelandyi, a którego obrał za bohatera jednej ze swoich tragedyi, sławny dramaturg angielski, Szekspir (Shakespeare), od czasu do czasu zamek nawiedza i błąka się po jego rozległych komnatach.

Obejrawszy znajdującą się w zamku dość ciekawą galerię obrazów, które przedstawiają głównie różne sceny z życia Finnów i Lapończyków, opuszczamy warownię i udajemy się dorożką do blisko znajdującej się miejscowości kąpielowej, Marienlyst.

W drodze zatrzymujemy się w parku przed grobem Hamleta, a chcąc temu wierzyć, że ów mityczny książę duński istniał nie tylko w imaginacyi Szekspira, placimy od osoby 25 örów i zwiedzamy grobowiec.

Jest to wzgórek, ułożony z kamieni, a na wierzchołku wznosi się spory odłam granitu z napisem: „Hamlets-Grave.“ W Marienlyst znajduje się ładny zakład kąpielowy, wspaniały Kurhaus i mnóstwo pięknych wili. Jest to miejscowość bardzo uczęszczana przez Duńczyków i mająca bardzo piękne położenie.

Widok na morze z tarasu przed Kurhausem tak uroczy, taki malowniczy, że chciałoby się tu posiedzieć choć do zachodu słońca, ale trudno—czasu niema!

Trzeba wracać do Helsingör, na dworzec kolei żelaznej, bo pociąg do Frederiksborga za pół godziny wyrusza.

Wsiadamy do spacerowych wagonów, (rodzaj warszawskich letnich tramwajów). Czesi wydobywają z kieszeni przynajmniej dwufuntowe kamienie, zabrane na pamiątkę z grobu Hamleta! Wesoła rozmowa ożywia całe towarzystwo.

Przejeżdżamy przez prześliczne lasy, urodzajne pola, obok bujnych łąk i pięknych jezior i po kilku stacyach zatrzymujemy się w Frederiksborgu.

Z dworca przez miasto udajemy się do zamku tegoż nazwiska.

Zamek ten, leżący na małej wysepce, wzniesiony także został przez Chrystyana IV-tego, a postawiono go na miejscu starego gmachu, w którym król Chrystyan przyszedł na świat. Wspaniały gmach składa się z czterech piątr i ozdobiony jest wysokimi wieżami. W roku 1859 pożar wybuchnął w pałacu i zniszczył bardzo piękną galeryę, znajdujących się w nim obrazów. Z dobrowolnych ofiar mieszkańców Danii, zebrano jednak dostateczną kwotę,

aby gmach odrestaurować. Piwowar Jakobsen poświęcił na ten cel 400,000 koron i odnowił własnym kosztem całe pierwsze piętro, wraz z tak zwaną salą rycerską, i dzisiaj przedstawia się Frederiksborg w całej dawnej świetności i okazałości. Kaplicę zamkową można zaliczyć do najpiękniejszych kaplic królewskich w Europie; prześliczne są: wielki ołtarz i ambona z drzewa hebanowego, inkrustowane srebrem i perłową masą.

W obszernych salach pomieszczono bardzo piękne zbiory, które są niejako dalszym, chronologicznym ciągiem pamiątek, nagromadzonych w Rosenborgslot.

Na opisanie wspomnianej już wyżej sali rycerskiej, trudno się nawet silić. Trzeba ją zobaczyć, ażeby o jej piękności mieć jasne pojęcie. Jest ona nadzwyczaj obszerna; drzwi i kominek są z czarnego marmuru, nad drzwiami znajduje się popiersie Chrystyana V, a po bokach dwa posągi ze srebra przedstawiają: religię i sprawiedliwość. Ściany zawieszono portretami królów duńskich, a sufit tak piękny, że wszyscy wchodząc do tej sali, w pierwszej chwili oniemieliśmy z podziwu.

Ale siódma bije! Konserwator zbiorów, a zarazem nasz przewodnik, oświadcza z ukłonem, że to godzina zamknięcia pałacu. Słychać dokoła zgrzyt kluczy w zamkach. Zatraskują za nami ciężkie podwoje i zasuwiają je na rygle i żelazne sztaby. Radzi nie radzi, musimy opuścić piękny Frederiksborg i wracamy na dworzec. Idąc przez miasto, spoglądamy na szyldy i na każdej ulicy spotykamy się z nazwiskami: Andersen, Petersen, Olsen, Jansen, Carlsen, któreby można po polsku przetłumaczyć na Andrzejewskich, Pio-

trowskich, Jasińskich i t. d., a które dosłownie znaczą: Andrzeja syn, Piotra syn i t. p. Na stacyi stary jakiś Duńczyk bierze nas za Włoszki i zapytuje, z jakich stron pięknej Italii przybywamy. Wyprowadziwszy go z błędu, wsiadamy do wagonu i w dwie i pół godziny przybywamy do Kopenhagi.

Jest dopiero dziesiąta, ale miasto już niemal całe uśpione. W restauracyi światła gaszą i z niemałym trudem doprosiliśmy się kilku porcyi befsztyku. Powracamy do hotelu, aby spędzić ostatnią już noc w stolicy Danii, bo jutro nasz Melchior wraca z Norwegii i o drugiej po południu zabierze nas z powrotem do Sassnitz.

V.

Po tylu trudach i różnorodnych wrażeniach, spałyśmy snem twardym do ósmej godziny rano. Boże drogi! Już tak późno, a my mamy jeszcze tyle rzeczy do widzenia i do zrobienia. Miałyśmy zamiar wybrać się na przedmieście Nørrebro, aby zwiedzić grób sławnego pisarza duńskiego, Andersena, którego pomnik wznosi się w Kongens-have, a którego prześliczne bajki zapewne znacie, bo są bardzo ładnie przetłomaczone na język polski. Nie można jednak nawet o tem myśleć. Wyruszamy więc czempředzej na miasto, podążając do kościoła Panny Maryi. W pośpiechu zapomniałam wziąć planu Kopenhagi; nie wiadomo, w którą iść stronę, a w dodatku setne rzeczy rozpraszają jeszcze naszą uwagę. Tu zręczne Dunki mkną na welo-cypedach, (sport ogromnie rozpowszechniony w Da-

nii), używając przejażdżki przed całodziennem zajęciem biurowem, tam znowu przekupnie nawołują przechodniów, zachwalając swoje towary. Rybaczka jakaś ciągnie wózek z wędzonymi węgorzami i krzyczy tak donośnym głosem: „Aale, Aale“, że wyrazy te, jak dźwięk dzwonu, rozlegają się w powietrzu. Zajęte tem wszystkim zblądziłyśmy, nie wiedząc, w którą zmierzać stronę. W Kopenhadze nie łatwo się zorientować, bo niema ulic, przecinających całkowicie miasto.

Zatrzymuję jakiegoś niemłodego jegomości i zapytuję po niemiecku *), którędy iść do „Frauen-Kirche“. Nie mogąc nas zrozumieć, woła interpelowany na pomoc dwóch innych przechodniów. Żaden jednak po niemiecku nie umie. Zrozpaczona, przypominam sobie, że w niemieckim naszym Przewodniku, obok Frauen-Kirche napisane było w nawiasie: „Frue-Kirke“. Wymawiam więc owe dwa wyrazy, a choć zapewne akcentem najfałszywszym, miały one jednak siłę czarodziejską. Wszyscy trzej Duńczycy uśmiechają się wdzięcznie, kiwając głową powtarzają Frue-Kirke i wymieniają po kolei ulice, przez które mamy przechodzić.

Kościół „Frue-Kirke“ został wzniesiony już w XII stuleciu; należy więc do najstarszych świątyń Kopenhagi; od czasów królowej Małgorzaty był miejscem koronacyjnem królów duńskich. Gdy w r. 1807 Anglicy zbombardowali miasto, uległ on zniszczeniu, ale w r. 1841 został odbudowany w stylu romańsko-greckim. Strona zewnętrzna kościoła nie przedstawia zbyt

*) W sklepach większych i hotelach mówią wszędzie po niemiecku.

wiele interesu. Największą jego ozdobą jest portyk w stylu doryckim, ponad którym umieszczone są płaskorzeźby Thorwaldsena: Święty Jan Chrzciciel, każący na pustyni, i Wjazd Jezusa do Jerozolimy. Po obu stronach portyku, znajdują się dwa ogromne posągi z brązu, przedstawiające Dawida i Mojżesza.

Wnętrze kościoła musi za to zachwycić każdego swą pięknnością, a zarazem prostotą: ozdobione ono jest samymi dziełami Thorwaldsena. W miejscu wielkiego ołtarza stoi w niszy Chrystus, wyciągający dłonie do tych wszystkich, którzy cierpią i szukają u stóp Jego pociechy. Wzdłuż nawy kościelnej ustawiono dwunastu apostołów, a w samym środku klęczy anioł chrztu, trzymając wielką konchę muszlową. Wszystkie te figury są z białego marmuru i bardzo pięknie wykonane. Anioł chrztu jest prześliczny, oczu od niego oderwać trudno. Ściany kościoła ozdobione są nadto płaskorzeźbami, przedstawiającymi: Pochód na Golgotę, Chrzest Chrystusa i Ostatnią Wieczerzę.

Nasyciwszy wzrok temi arcydziełami sztuki i przejęte na wskroś uwielbieniem dla tak wysokiego poczucia estetyki, którego ten dom Boży jest wymownym wyrazem, z żalem opuszczamy jego progi.

Czas jednak leci jak na skrzydłach ptaka! Trzeba przecież zaopatrzyć się jeszcze przed wyjazdem w jakieś pamiątki z Kopenhagi. Co tu kupić? Naturalnie, fotografie z widokami miasta, rękawiczki i wyroby z terracotty. Na Bredgade znajdujemy to wszystko. Zadowolone ze sprawunków, a uszczęśliwione zwłaszcza z pięknych miniaturowych reprodukcji płaskorzeźb Thorwaldsena, wstępujemy jeszcze na tej sa-

mej ulicy do naszej restauracyi na obiad, a potem spieszymy do hotelu.

Chwila wyjazdu się zbliża. Zbieramy manatki i z niemałym żalem zdążamy do portu, aby opuścić starożytną Kjöbenhavn i może już nigdy jej nie zobaczyć.

Upał straszny! ogień, zdaje się, z nieba padać! Melchior dyszy i raz po raz świszczy przeraźliwie, na leniwo poruszających się falach. Flondry i meduzy wypływają na wód powierzchnię i wygrzewają się na słońcu. Najmniejszy wietrzyk nie orzeźwia duszącego powietrza.

Odbijamy od lądu. „Farvel“ piękna Zelandyo, „farvel *) Kopenhago! Tak miłe unosimy z sobą wspomnienia z tej kilkodniowej wycieczki...

Pomimo straszego upału wszyscy podróżni siedzą na pokładzie, bo w salach i kajutach jeszcze duszniej. Wypływamy na pełne morze, powietrze się niebawem ochładza, ląd znika nam z przed oczu; jeszcze tylko szarzeje w oddali ciemny jego rąbek, jeszcze tylko widać sinawy mgły pasek... Nakoniec i to znikło! Okręt, woda i niebo—oto wszystko, co się przedstawia naszym oczom. A niebo, zrazu tak błękitne, tak jasne, tak czyste, bez żadnej chmurki, bez żadnego obłoczka, zaczyna się nagle zaciemniać. Zawiał wiatr silny, sprowadził, nie wiadomo skąd, całe gromady obłoków i ożywił niezmierzone przestrzenie wód swoim podmuchem. Coraz wyżej wzbijają się, wzburzone siłą wiatru, bałwany... Coraz głębsze rozwierają się

*) Po duńsku, żegnaj.

między nimi rozdoły! Morze huczy złowrogo, pieni się gniewnie, a pagórki wodne uderzają z gwałtownością o statek i rozbijając się bezustannie, wydają szum przerażający. Wobec takiego nacisku, siła odporna Melchiora słabnie, ugina się kolos pod brzemieniem wód i coraz bardziej tańczy na falach.

Kołysanie się statku oddziaływa zgubnie na niektórych podróżnych; morską chorobą zaczyna chwycić swoje ofiary, większość jednak trzyma się raźnie, zapija herbatę, koniak, siedząc na pokładzie, bo to jedyna deska ratunku, jedyne zabezpieczenie się przed chorobą.

Słońce zaszło krwawo. Zatonęło szybko w rozhukanych odmętach, na horyzoncie gromadzą się chmury, wicher się wzmacnia; mamy więc przedsmak burzy morskiej. Niektórzy są tem strwożeni, inni znowu zachwycają się potęgą wodnego żywiołu. Wtem, jak iskra elektryczna, przebiega po statku z ust do ust niewesoła nowina, że kapitan nie chce zatrzymać się w Sassnitz, bo niepodobna będzie łodziami przedostać się na ląd i ma zamiar zawieźć nas wszystkich do Swinemünde. Wśród takiego niepokoju upływa zwolna godzina za godziną...

Spostrzegamy wreszcie latarnię morską w Arkonie, na północnym krańcu Rugii! spostrzegamy także i to, że morze w pobliżu lądu wiele spokojniejsze. Otucha wstępuje w serce, oczekujemy z upragnieniem chwili zarzucenia kotwicy. Wreszcie Melchior zatrzymuje się, stajemy naprzeciwko Sassnitz, ale niestety! jeszcze nie u kresu doznawanych wrażeń i trudów.

Trzeba wśród ciemnej nocy rybackimi łodziami przedostać się do pomostu.

Spuszczamy się do czółen z całą rezygnacją i odwagą... Czólno nasze podrzucają fale, jak łupinę orzecha. Mrużę oczy i powierzam się moim dobrym losom...

Strachy były jednak płonne, bo wszystkie łodzie przyplęły szczęśliwie do brzegu i pewnie każdy z podróżnych, tak jak ja, spał tej nocy wyśmienicie, a w sennej jego wyobraźni przesuwwały się zielone pola Zelandyi, posągi Thorwaldsena, Rosenborg i Tivoli, Marienlyst i Frederiksborg, a może zręczne Dunki na welocypedach, lub wreszcie raki i ryby skandynawskiej sexy.

Fadwiga Warnka.



Zapóźno.



Kochana Zosiu. Stryj umarł. Nie wzywaliśmy Cię na pogrzeb, bo dla kogo? I tak wydatków dużo było w ostatnich czasach: choroba, eksportacya, miejsce na cmentarzu. Nie mam sobie nic do wyrzucenia, nie żałowałam mu niczego i rodzona córka nie dałaby mu lepszej opieki. Piszę Ci o tem, bo mi to sprawia przyjemność; kiedy ktoś umrze, nie miło jest myśleć, że coś mu się jeszcze jest dłużnym. Poczciwy Adaś przyjechał na pogrzeb i zapłacił już swoją część kosztów, na Ciebie poczekamy, jeśli nie masz zaraz. Pozostałe graty sprzedałam oprócz „świętego biurka“, które Adaś bierze dla siebie; zawsze miał jakąś sympatyę do tej starożytności... Książki sam przejrzał także i niektóre kazał Ci odesłać, mówi, że mogą Ci być pożyteczne...“

Zosia nie czytała dalej, choć list był jeszcze długi; stojąc przy oknie, patrzyła w ogród zamysłona.

Dzień był wiosenny, śliczny, prawdziwie majowy: zieloność drzew i trawy pieściła wzrok swą świeżością, promienie słońca płynęły jasne i łagodne, wietrzyk niósł zapach bzów i czeremchy, nad stawem w krzakach odzywał się słowik...

Twarz dziewczęcia była pogodna, jak ta wiosna, słońce i zbudzona ze snu natura, wieść żałobna ani na chwilę nie zasępiła jej czoła, nie przyćmiła blasku spojrzenia. Stała zdziwiona sama tą obojętnością, zawstydzona nią nawet: czyżby była bez serca?..

Wszakże ten stryj ją wychował! Po śmierci rodziców zabrał ją wraz z rodzeństwem; w jego domu wzrosli, dał im naukę, wszystko... To potworne, nie wzruszyć się jego śmiercią, nie uronić łzy jednej!.. O, Mania była lepszą, ona z pewnością płakała...

Biedna Zosia serdecznie była zasmucona tym dowodem oschłości swego serca. Śmierć stryja na dzień jej duszy zbudziła wspomnień tysiące, tysiące uczuć, prócz uczucia żalu, cały szereg obrazów z dziecięcych lat sieroty. Smutne miała dzieciństwo. Rodzice umarli wczesnie, pozostało ich troje: ona, brat i siostra. Po pogrzebie stryj zabrał dzieci wprost do siebie i oddał pod opiekę starej Maciejowej.

Pamiętała te chwile. Miała wtedy lat ośm i najstarszą była z rodzeństwa. Kiedy po śmierci ojca matka dostała gorączki, ogarnęła ją trwoga niewypowiedziana; obok obawy, wynikającej z przywiązania dziecka, był w tem i strach o jutro, to jutro okropne, czarne... opuszczenie... poczucie bezsilności własnej... Co się z niemi stanie, jeżeli... jeżeli...

O Boże, jak serdecznie wdzięczną była stryjowi, że ich nie zawiózł więcej do straszego domu, gdzie śmierć rozgościła się tak bezlitośnie! Wtedy mogłaby była go pokochać, gdyby... gdyby chciał tego. Prędko jednakże zgasły w niej myśli podobne: w domu stryja o kochaniu nikt nie mówił, a on sam prawdopodobnie nie wiedział nawet, co to znaczy.

Dziwny człowiek, tak niemiły i niesympatyczny. Przywiązać się do niego—czyż to podobieństwo? Wydało jej się, że widzi przed sobą wysoką, chudą postać, trochę pochyloną, w niebieskich okularach i zaniedbanem ubraniu. Dzieci bały się go bardzo, choć możnaby mniemać, że nie patrzy na tę gromadkę, zasiadającą codziennie u jego stołu... Gdzie on patrzył?.. Co widział? Czy widział co, ten roztargniony dziwak?

Był urzędnikiem w Banku i wracał z biura o 4-ej; jadł obiad, a po obiedzie zamykał się w swoim pokoju i najczęściej nie wychodził stamtąd już dnia tego.

— „Pisał książki“—jak mówiła stara Maciejowa, która rządziła wszystkim i miała w domu władzę nieograniczoną. Dla sierot była dobrą, ale nie serdeczną. Pamiętała o ich potrzebach, żywiła je uczciwie, ubierała czysto, nie szczydziła nauk moralnych, ale nie pieściła nigdy, nawet najmłodszej Mani, do której miała słabość. Stryj widywał dzieci najczęściej raz tylko na dzień, przy obiedzie i zwykle nie odzywał się do nich. Taki już był milczący. O czemby on zresztą mógł mówić? Przecież nie o potrawach, bo zdawało się, że nie wie, co jest przed nim na talerzu. Nie o zabawach dziecinnych, bo tych może nigdy nie widział; więc o czem?

Jadł szybko, bardzo szybko i odchodził zaraz. Mimo to dzieci bały się go bardzo, jak stracha. Dość aby na które spojrzął przez wierzch okularów swemi strasznemi czarnemi oczami. Póki był w biurze, czuły się swobodne, lecz skoro tylko powrócił do domu, milkły jak trusie, nie śmiały się sprzeczać ani bawić głośno: coś ciążyło nad niemi, choć nie widziały go wcale, choć był zamknięty w swoim pokoju z książkami.

Nie od razu wytworzył się taki stosunek: z początku dzieci, przyzwyczajone do pieszczot, czuły potrzebę przygarnięcia się do niego, on je odepchnął. Tak jest, była tego pewną: odepchnął je, bo nie miał serca. Przecież gdy dnia pierwszego po obiedzie chciały swoim zwyczajem pocałować go w rękę, usunął ją tak szybko, jak gdyby się sparzył; zarumienił się nawet z oburzenia.

— Dobrze, dobrze, niepotrzeba— odezwał się swoim suchym i bezdźwięcznym głosem.

Odtąd nie śmiały zbliżyć się do niego i zdaleka tylko dygały, jak kazała Maciejowa.

Z wiosną przeprowadzili się do większego mieszkania z ogródkiem na Ogrodowej ulicy. Radość była ogromna. Dzieci miały duży pokój od ogrodu, w którym mogły dzień cały bawić się na świeżem powietrzu, kopać, siać, sadzić, co im się podobało. Szczęście nie miało granic: Maciejowa gderała, Adaś spadł z drzewa, na które usiłował się wdrapać, Mania pokłóła rękę o krzak róży, ale to wszystko nie psuło humoru. Zosia śpiewała, ile głosu w piersi stało, dzieci wtórowały jej z całym zapalem; do obiadu hałas

i wrzawa nie ustawały na minutę. Powrót stryja uspokoił cokolwiek gromadkę, lecz nie był w stanie stłumić jej radości. Zosia miała ochotę uściskać swego opiekuna: taką im sprawił przyjemność! Doprawdy mniej go się bała.

Po obiedzie miał się odbyć tryumfalny pochód wojska, rozumie się ze śpiewami, dzwonekami i brzdąkaniem blaszanych pokrywek od garnków! Co tu projektów! Zapomniały o stryju, o jego oknie, z którego mógł je widzieć ciągle i śpiewały, krzyczały, aż się rozlegało po całym domu.

Nagle umilkły przerażone: stryj ukazał się na progu mieszkania z jakimś jegomością, którego odprowadził do furtki, a potem zwrócił się prosto ku dzieciom. Stały na ścieżce nieruchome, trzymając dzwonek, pokrywki i trąbę. Stryj zatrzymał się o parę kroków pod drzewem. Był widocznie rozgniewany bardzo: patrzył przez wierzch okularów, a na twarzy znać było coś jak ślad rumieńca. Odchrząknął kilka razy:

— Hm, hm, nie można tutaj hałasować — wykrztusił wreszcie.

Dzieciom opadły ręce. Więc cóż im po ogrodzie!?

— Ani z rana? przed obiadem?—spytała rezolutna Mania.

— Nie można — powtórzył dziwak, marszcząc czoło i oddalił się spiesznie.

— Warto się było przeprowadzać — mruknęła Zosia i cała jej wdzięczność za miłą niespodziankę zni-

knęła bez śladu. Rada była tylko, że jej nie okazała zbyt gorąco.

Wieczorem Maciejowa, rozbierając dzieci, prawila im kazanie:

— To mi pięknie, przyzwoicie, wyprawiać takie brewerye! gospodarz chciał do sądu skarżyć, policyę sprowadzić; wszyscy lokatorowie powiedzieli, że się wyprowadzą zaraz; śliczne sprawowanie! I taka duża panna żeby nie miała ambicyi drzeć się na całe gardło, jak ulicznik.

Zosia naturalnie w policyę nie wierzyła, ani w groźby lokatorów, lecz uczuła dotkliwie wyrzut Maciejowej; zrozumiała, że stryjowi przeszkadza w pracy ich zabawa, więc skorzystał z pretekstu, aby jej zabronić. Może być pewnym, że więcej nie narażą się na to.

W nowem mieszkaniu pokój stryja był bardzo niewielki i daleko od dziecinnego; pewno go wybrał dlatego, aby o nich jak najmniej wiedzieć. Nie zbliżały się też tam wcale, gdy pracował zamknięty, ale w jego nieobecności Zosia nie mogła się oprzeć pokusie zbadania tajemniczego przybytku. Korzystała skwapliwie z każdej nieuwagi Maciejowej, aby wsunąć się tutaj, usiąść przy „świętem biurku“, wziąć do ręki pióro, obejrzeć książki. Maciejowa ogromnie gniewała się za to i groziła zawsze, że poskarży przed stryjem. Tegoby tylko trzeba! Zosia drżała na myśl samą o spojrzaniu, jakie rzuciłby na nią przez wierzch okularów.

Nie poprawiła się przecież pod tym względem. Raz rozlała atrament na zapisaną kartkę.

Boże, co się z nią stało! Przez chwilę była pewną, że ziemia rozstąpi się pod nią, nawet pragnęła tego; potem drżącą ręką starła plamę fartuszkciem,—to było jeszcze gorzej. Uciekła jak szalona. Co to będzie, co będzie! Z początku wcale myśli zebrać nie była w stanie, nie wiedziała co robi. Skryła się w dziecinnym pokoju za starą sofę i nie wyszła stamtąd do obiadu. Całe szczęście, że Maciejowa nic jeszcze widać nie spostrzegła, stryj po obiedzie dopiero zobaczy, no, i cóż jej może zrobić? Zamknie oczy i nie będzie widziała jego spojrzenia: przecież jej nie zabije? Nie wypędzi chyba z domu?..

To ostatnie pozostawiało pewne wątpliwości, przytem fartuszek był okropnym świadkiem, więc się nie odważyła dnia tego usiąść do stołu. Powiedziała, że jest chora, uparła się i została na starej sofie.

Potem zasnęła widać, gdyż obudziła się dopiero przed wieczorem. O atramencie nikt nie mówił, widocznie nie zrobiła szkody i tak się nadręczyła niepotrzebnie. Nazajutrz chciała się przekonać, co stryj zrobił z powalaną kartką, lecz drzwi jego pokoju zamknięte były na klucz.

Zamykał je przez cały tydzień, potem oddał klucz Maciejowej, a w parę tygodni wszystko było znów jak dawniej. Zosia skorzystała z tego zaraz: teraz będzie ostrożniejszą, a tyle jest tam rzeczy, których nie zna wcale,—nawet książki z obrazkami!

Wymknęła się cichuteńko i usiadła na dużym fotelu. Na „świętem biurku“ tyle książek i papierów! Jedna leży otwarta. Zosia chciała przeczytać tytuł;

za życia matki uczyła się co dzień, ale pewno już zapomniała.

Westchnęła, z natężoną uwagą wpatrując się w wielkie litery: aż jej serce zabiło, gdy przeczytała: „historia“. Więc umie jeszcze czytać! Sięgnęła po pióro, ale cofnęła rękę.

Wtem na wytartem suknie biurka spostrzegła wyraz jakiś, napisany kredą. Nie mogła go przeczytać, lecz przyszła jej myśl nowa. Obejrzała się w koło: obok w lichtarzu był mały kawałek świecy; wzięła go w rękę i zaczęła uważnie naśladować pismo stryja. Co z tego będzie? Jeśli się jej uda, zmaże poprzedni napis, a swój pozostawi. Przecież to wszystko jedno, a jeśli stryj przeczyta, będzie dumną, że coś umiała napisać...

— Co tu robisz? — odczwał się nagle tuż obok cichy, lecz przerażający głos stryja. Tu nic ruszać nie wolno. Kto ci wejść pozwolił?

Dziewczynka zbladła, nogi zachwiały się pod nią, podniosła wzrok przerażony i spostrzegła, że stryj z uwagą wpatruje się w jej arcydzieło.

— Czy umiesz pisać? — spytał ciszej.

— Nie wiem, — dawniej umiałam...

— Chcesz się uczyć?

— Tak.

I rozplakała się.

Stryj chrząknął i machnął ręką.

— Nie płacz, nie płacz — powtarzał dziwnym, niemłym głosem; lecz Zosia szlochała bardziej.

Stryj obejrzał się wkoło, chrząknął parę razy, potem opuścił pokój, a po chwili pojawiła się rozgde-

rana Maciejowa i zabrała dziewczynkę do dzieciennego pokoju.

Odtąd do Zosi zaczął przychodzić nauczyciel, w rok później Adaś przeszedł pod jego komendę, a następnie i Mania.

Upłynęło lat kilka; Zosia poszła na pensję, Adaś do gimnazyum. Mania tylko, nie mająca chęci do nauki, wyreczęła coraz lepiej Maciejową. W życiu domowym nic się nie zmieniło; stryj wychowywał dzieci brata, pamiętał o ich potrzebach, nawet przyjemnościach, ale nie chciał, nie mógł, czy nie umiał zbliżyć się do nich wcale. Gdy Zosia skończyła pensję, zaczęła dawać lekcye; Adaś wyjechał z Warszawy do wyższego naukowego zakładu; Mania gospodarowała.

Żadne z nich już teraz nie bało się stryja, wiedziały doskonale, że nie jest złym ani strasznym, tylko skrytym, milczącym i zamkniętym w sobie. Serdecznym być nie umiał, sympatycznym nie był, ale Mania i Adaś jakoś mu to przebaczyli, nie wymagali od niego przymiotów, którymi nie obdarzyła go natura i nie zaprzęтали sobie głowy wadami swego opiekuna. A wady te z wiekiem stawały się istotnie przykre, zwłaszcza coraz gorszy nieporządek i chorobliwa niemal obawa o skarby, zamknięte w jego pokoju. Nie pozwalał go zamiatać, ani otwierać okna, podając najniedorzeczniejsze przyczyny tych dziwactw; o każde sprzątanie niemal trzeba było staczać walnę, a cóż dopiero o gruntowniejszy porządek. Mania była doprawdy nieoczoną dziewczyną, że sobie z tem radziła, nie traciła humoru ani cierpliwości i potrafiła do pewnego stopnia zawojować milczącego opiekuna. Naturalnie od śmier-

ci starej Maciejowej, żadna służąca wstępu do niego nie miała, więc Mania była tu wszystkim, nawet rozmawiała z nią niekiedy, gdy czuł, że zasługuje na gderanie, tłumaczył się wtedy jak dziecko, albo usiłował rozbroić ją żartem.

Zosia wzruszała na to ramionami: ją to niecierpliwilo i drażniło, lecz panowała nad sobą. Tylko stawała się sztywną i zamkniętą w sobie coraz bardziej. Wiedziała, że nie ma prawa sądzić stryja, że powinna być mu wdzięczną za wszystko, co uczynił dla niej i jej rodzeństwa, ale czyż mogła pozbawić się zmysłów; nie widzieć i nie myśleć? A myśl każda była krytyką. Po cóż ją myśleć nauczono? Myśl więzów nie zna, usta znać powinny, powiedziała to sobie i stawała się coraz bardziej małomówną. Nawet z Manią jak najmniej rozmawiała o stryju, do niego nie odzywała się nigdy: tego nikt od niej przecież nie wymagał, ani stryj, ani rodzeństwo, ani poczucie obowiązku.

Bo o czemżeby z nim mówiła? O książkach, które go zajmowały wyłącznie? Dopieroż by spojrzał na nią! Cóż ona o tem widzieć i powiedzieć mogła? Chyba gdyby żądała objaśnień, lecz na to nie zdobyłaby się nigdy: miała szkaradną naturę: nie lubiła pytać, wszystkiego dochodziła sama. A jeszcze pytać stryja! Zacząłby pewno od potopu świata, przekonał ją, że nic nie umie, nie, nie, —ona zresztą nie ma wcale zaufania do jego zapatrywań.

A po za tem o czemże ze stryjem rozmawiać, kiedy on literalnie o życiu nie ma pojęcia: nic nie zna, nic nie widział. Mniej ma doświadczenia pod względem towarzyskich stosunków, zwyczajów, przyjemności

od niej, ośmnastoletniej dziewczyny. Nic w tem dziwnego, jeśli zawsze bywał tylko w biurze i swoim zakłętym pokoju, ale czy tak ciasny zakres wrażeń mógł wystarczyć dla prawdziwie inteligentnego umysłu? Ludzie z zajęciem podobno czytali jego książki, ale gdyby go poznali!.. Dziwna rzecz, dziwna! czyż ten człowiek nigdy nie był młodym? Nie znał ludzi, świata, towarzystwa?

Nie ulega kwestyi, że się urodził dziwakiem, mizantropem, odludkiem; zaszył się w swoje księgi jeszcze w szkołach i nie zauważył nawet, że po za niemi jest świat piękny, żywy, pociągający, pełen czarów i tajemnic.

Całe szczęście, że nikt prawie nie bywał w ich domu i nie miał sposobności przypatrzeć się zblizka dziwakowi, którego Zosia ukryłaby chętnie przed całym światem wraz z poplamionym szlafrokiem, kurzem na biurku i nedorzecznemi pytaniami. Wydawało jej się, że dosyć spojrzeć na niego, by wszystkie jego prace straciły całą wartość.

Zosia była estetyczką i to bardzo wiele przyczyniało się do jej niechęci dla stryja. Wszystko, co piękne, porywało ją i zachwycało, każde nieestetyczne, niemiłe wrażenie przygnębiało i bolało jak przykrość; dlatego też nie mogła przekonać się do człowieka, dla którego piękno nie istniało wcale, który raził ją pod tym względem i swoją osobą i najbliższem swoim otoczeniem. Każda drobnostka codziennego życia burzyła ją i zniechęcała, a dom, w którym nie była wolną od podobnych wrażeń i nie czuła się swobodną, wydawał jej się więzieniem.

Adaś, któremu czasem powierzała te myśli, uśmiechał się pobłaźliwie i bardzo usprawiedliwiał stryja.

— Ty go nie rozumiesz, Zosiu—mawiał.—Ty też znasz świat jednostronnie. Ludzie z zamiłowaniem oddani jakiejś pracy, często dziwaczejją w ten sposób. A przytem to człowiek stary, dawniej nie był takim, przypomnij sobie. Cały jego nieporządek to już niedołęstwo starości, które uwzględnić trzeba. Prawda, że o potocznych rzeczach rozmawiać z nim niepodobna, to stary dzieciak, zawiędły pod kloszem, ale w kwestyach naukowych ma zdanie bardzo głębokie i trafne.

— Dobrze ci bronić stryja, widząc go raz na rok, to nie zasługa, ale mieszkać z nim pod jednym dachem, co dzień, co godzina prawie patrzeć na to, co wstręt budzi. Tak, wstręt, Adasiu, nie mogę cofnąć wyrażenia, ja to naprawdę czuję. Czasem zdaje mi się, że go za to niecierpię—a to okropne uczucie. Największy mam żal do niego o to właśnie, że nie mogę go kochać, ani trochę, ani troszeczkę! A wiem, że mu jestem wiele winna. Cóż zrobić? Chciałam. Ale kochajże kamień. Czy myślisz, że on słyszał kiedy o uczuciach?

— Tego nie wiem, pod względem uczuć stryj wydaje mi się istotnie bardzo dziwny. Choć wiem, że niejednemu dopomógł, nas wychował także...

— Bo mu się zdawało, że inaczej być nie może, że to jego prawo i obowiązek. Spełniał go tak, jak spełnia czynności biurowe: dokładnie, lecz bez duszy...

— Nie wiem, czy sądzisz trafnie, za mało go znam — szepnął Adaś zamyślony. Ja go dość lubię, może po części dlatego, że z niego trochę dumny.

— Bądź pewny, że o to nie dba. Możesz go lubić zresztą z daleka, swobodny, jak ptak bujając po szerokim świecie, lecz ja... O, gdybym wyrwać się stąd mogła. Ale Mania...

— Wiesz co ci powiem, Zosiu? Nie bądź dla niego taką sztywną i twardą, jestem przekonany, że on to odczuwa i jak dzieciak boi się ciebie. To starzec, dziwak, wiele wybaczyć mu trzeba.

Zosia miała lzy w oczach.

— To nie w mojej mocy—rzekła nakoniec—inna być nie mogę. Bez namysłu podjęłabym się najcięższej pracy, aby mu oddać, co nam dawał przez lat tyle; wyrzekłabym się przyjemności, ograniczyła potrzeby — ale być wyrozumiałą, serdeczną wobec tego pargaminu, który drażni mię swą śmiesznością, uporem, martwością, niedbalstwem — och, nie mogę, nie mogę!

W tydzień po tej rozmowie zmieniło się wszystko. Stryj został nagle sparaliżowany, a chociaż po pewnym czasie odzyskał zdrowie o tyle, że był przytomny, mógł myśleć i pisać, lecz pozbawiony władzy w nogach, na resztę życia pozostał bezradnym kaleką, przykutym do fotela.

Posadę stracił naturalnie, a skromna emeryturka nie wystarczała na jego potrzeby, praca piórem dawała więcej uznania niż dochodu, siostrzeńcy więc musieli spłacić dług wdzięczności w tej formie, w jakiej zaciągnęli go u stryja. Ułożyło się to szczęśliwie. Mania jednocześnie prawie wyszła za mąż za przyjaciela Adasia, a że zamieszkała w Warszawie, stryj pozostał pod jej opieką. Była gospodarną, radną, ener-

giczną i najlepiej umiała jeszcze z nim wychodzić; cichy, milczący, wiecznie zajęty starzec nie był dla niej ciężarem bardzo kłopotliwym. Adaś i Zosia podjęli się za to we dwoje ponosić wszystkie koszta utrzymania.

Zosia przyjęła na wsi miejsce nauczycielki i wyjechała wkrótce. O, jakże była szczęśliwą! Wyrwała się jak ptak z klatki, do słońca, powietrza, szerokiego horyzontu, natury i jej uroków. Pracowała gorliwie, lecz nie czuła znużenia, upojona wrażeniami piękna i swobody, piła je spragnioną duszą i nie myślała prawie o przeszłości.

O stryju przypominała sobie tylko wtedy, gdy sumiennie odsyłała połowę pensyi dla niego.

Minęło lato. W zimowym stroju ziemia wyglądała uroczyście: biała, czysta i jasna. Drzewa, szronem okryte, stały jak družki w bieli, oczekujące ślubnego orszaku. W dzień srebrny welon ziemi lśnił iskrami brylantów, w nocy na ciemnym niebie lśniły gwiazdy brylantowe.

Piękną jest zima na wsi.

Cichy dworek wiejski wśród drzew bezlistnych świecił jasnemi oknami, jak drogowskaz w ciemności. Ludno w nim było, wesoło i ciepło, ciepłem serdecznem i ciepłem ogniska, co płonęło na kominku, niby znicz domowy. Tutaj też gromadziła się cała rodzina po skończonej pracy dziennej, by spędzić wieczór popołu na swobodnej i serdecznej pogawędce.

Uderzenie dziesiątej było hasłem rozejścia; gospodarz wstawał pierwszy, nauczycielka z dziećmi oddalała się również, a wpół godziny potem gasły gościnne światła w białym dworku, większość mieszkańców spała snem spokojnym i Zosia była wolną.

Obok szkolnego pokoju, będącego zarazem sypialnią dziewczynek, był mały pokoik Zosi. Stąd długo w noc jeszcze przez szpary okiennic jasne smugi światła padały na miękki kobierzec śniegu, rozesłany pod oknem na kwiatowych grządkach.

Zosia, zostawszy samą, nie kładła się nigdy od razu; tyle miała zajęcia! Naprzód potrzebowała policzyć się z sobą, zastanowić nad dniem ubiegłym, nad tym, który nadejdzie; potem pomyśleć trochę, swobodnie, spokojnie... potem popracować jeszcze.

Usiadła przy stoliku, założonym książkami i wsłuchiwała się w ciszę. Ona już wiedziała, że cisza mówi, kto jej słuchać umie. Do niej przemawiała zawsze, a Zosia z dziwną tęsknotą czekała na tę rozmowę. Czyż dawniej przyszłoby jej na myśl, że milczenie jest tak wymowne?... Czy tak przemawiało i do stryja?

Rzecz dziwna, że tak często Zosia myśli teraz o stryju, daleko częściej, niż za jego życia. Lada drobnostka stawia jej go przed oczami, widzi przed biurkiem pochyloną postać: siedzi i pisze; niekiedy spogląda w górę przez wierzch okularów i znowu pisze, dużym, prostym charakterem. Lampa się pali, w pokoju milczenie, godziny nocy upływają, a on pisze i pisze, by wkońcu zmęczony rzucić się na twarde łóżko, stojące o kilka kroków.

Co to za życie!

Wzrok jej mimowolnie spoczął na starym, zniszczonym słowniku, leżącym obok. Odziedziczyła go po stryju i z tą pamiątką weszło tu jego wspomnienie. Zosia nie odpycha go teraz, chociaż budzi w niej zawsze dziwny i przykry niepokój. Stara, poźółkła książka jest jej pożyteczną, a stryjowi lat tyle służyła też wiernie, otóż znalazło się przecież coś wspólnego pomiędzy nimi. Gdy wszyscy zasną, ona, jak tamten samotnik, siedzi w swoim pokoju i pracuje. Uczy się po niemiecku, a ile razy sięgnie po słownik, spojrzy na wytartą, splamioną okładkę, — przypomina sobie starego dziwaka.

Lecz bez goryczy, przeciwnie z jakimś smutnym żalem. Kiedy przewraca kartki i widzi na nich ślady rąk jego, ogarnia ją czasem wzruszenie. Ten martwy przedmiot był świadkiem, sługą myśli, która istnieć przestała; był towarzyszem człowieka, który nie miał innych przyjaciół, którego życie było zagadką, dziwną i smutną...

Chwilami wydaje jej się, że jakaś wina ciąży na niej.

Przecież ten dziwak w gruncie rzeczy dla nich pracował całe życie, oddał im wszystko, co miał, dał naukę, zapewnił przyszłość, a ona cóż mu oddała wzajemian, oprócz zimnych pieniędzy?... Nie lubiła go, tak, to prawda... Czyż miała prawo go nie lubić?... Czy to nie była jej wina?...

Coraz częściej i częściej nasuwa jej się to pytanie i nie może znaleźć odpowiedzi. To jest męczące. Może on nie byłby takim, gdyby serdeczniej, szczerzej zapragnęła znaleźć drogę do jego serca. Złym nie był.

Czyż im kiedy wyrządził co złego rozmyślnie? Potępiła go, nie starając się nawet poznać i zrozumieć, co znaczy niespokojne i dziwne spojrzenie, jakie zwracał na nią czasem, odkąd przestała być dzieckiem. Raz darował jej swoją książkę. Napisał własną ręką: „Zosistryj“, datę—i położył na jej komodzie. Trzeba było podziękować. Ile to ją kosztowało! Kiedy przyszedł na obiad, zbliżyła się do niego sztywna.

— Dziękuję stryjowi za książkę — rzekła urzędowym tonem.

Spojrzał raz na nią i nic nie odpowiedział.

Książka miała wartość, lecz Zosia czytała ją z niechęcią. Uprzedziła się nawet do pracy człowieka, którego wady razily ją w codziennem życiu.

Potem już nigdy stryj nic jej nie dawał.

Z nich wszystkich jeden Adaś lubił go naprawdę i rozumiał się z nim trochę; dlaczego? Mania była dobrą dziewczyną, nie żałowała pracy, pamiętała troskliwie o wszystkich potrzebach stryja, lecz powtarzała zwykle:

— Ja tam pilnuję, żeby głodny nie był, miał pożywienie zdrowe, czystą bieliznę, nie utonął w kurzu, nie przylepił się do podłogi i nie udusił w stęchłej atmosferze swego pokoju, gdzie okna otworzyć nie wolno, mam więc dosyć zasługi. Spełniam, co do mnie należy i sumienie nic mi nie wyrzuca.

I Zosi się zdawało przez czas długi, że wypełniła wszystko, co do niej należy, oddając opiekunowi połowę dochodu. Ale teraz—rzecz dziwna, im więcej czasu upływało od śmierci stryja, tem mniej była zadowolona z siebie, swego stosunku do niego i wypełniania

swoich obowiązków. Chwilami czuła, że jest jak ten dłużnik, co nie ma komu spłacić swego długu, który mu ciążyć zaczyna.

Westchnęła i machinalnie sięgnęła po słownik, leżący obok na stoliku. Jakie te kartki stare, żółte, wytarte! Ten, kto je zniszczył, więcej już nie spojrzysz na nie...

Przewracała je bezmyślnie, powoli, gdy wtem list jakiś wypadł z książki na jej kolana.

Wzięła go zdziwiona w rękę i obejrzała uważnie: pismo było nieznanne i widocznie bardzo dawne, bo atrament pożółkł zupełnie, a miejscami był zatarty, jakby od łez.

Ze zdziwieniem patrzyła dziewczę na drobne literki, co może zawierały tajemnicę życia tego, który je przechował w tej książce. List do stryja! Ona nie pamiętała, by kiedykolwiek listonosz zapukał do drzwi ich domu; musiało to być dawniej. Do stryja, widać z pierwszego wyrazu:

Najdroższy mój Stasińku, synu ukochany!

A zatem list od matki. Zosia jej nie pamiętała. Jak to dziwnie pomyśleć, że stryj Stanisław miał matkę, że ktoś mówił do niego: Stasiu!

Ogarnęło ją nagle gorące pragnienie posłuchać głosu tej nieznannej babki, przemawiającej do syna: „Stasińku“. Nie przyszło jej nawet na myśl, że może nie ma prawa odczytywać tego listu; nie pomyślała o tem; ona czuła jedynie, że postać stryja ukaże jej się w nowem świetle i czytała z dziwnem wzruszeniem:

„Najdroższy mój Stasińku, synu ukochany! Dziecko ty moje najlepsze, szlachetne, kto ci zapłaci w tem

życiu za wszystko, co dajesz ludziom, zacząwszy od własnej rodziny? Czemże jest życie twoje prawie od dzieciństwa? — Pracą dla innych. Sam, dzieckiem jeszcze będąc, umiałeś się wyrzec wszystkiego, co daje młodość, życie, by pracą swoją zapewnić wygodę choremu ojcu, wychować brata! Każdy grosz, który biorę z twojej ręki, święty jest, bo okupiony ofiarą swobody, marzeń, nadziei, wszystkiego, do czego każda jednostka ma prawo. Tyś nie żył dotąd i może już nigdy żyć nie potrafisz, bo myśl twą i siły zabiera praca, wyczerpuje wszystkie. Synu mój drogi, ja matka chciałabym dopatrzeć w tobie trochę egoizmu, abym wiedziała, że zapragniesz kiedyś walczyć o własne szczęście i zdobyć je sobie. Lecz egoizmu niema w tobie wcale, a wierz mi, to dla ciebie jest nieszczęściem. Cichy, nieśmiały, skryty, ustąpisz każdemu i nikt cię nie oceni, nie pozna twej duszy. Ty nie śmiesz mówić o tem, co czynisz gorąco, co spełniasz w czynie, ty, taki wymowny, gdy piszesz do mnie! — i ludzie nie wiedzą, jak ty myślisz, co kochasz i jak kochać umiesz. Skąd zgadnąć mogą? Biedne dziecko moje, gdybyś ty wiedział, jak ja drzę o ciebie, o przyszłość twoją, ażeby nie była tylko ofiarą, ofiarą wszystkiego, bez jednej kropli szczęścia i nagrody! Gdy dzieckiem będąc, rozdawałeś swoje zabawki dzieciom biednym, cieszyłam się szczerze tym objawem dobrego, szlachetnego serca, lecz gdyś oddał ostatni swój biczyk złamany, przyszło mi na myśl, że i w życiu może postąpisz kiedyś tak samo... I boję się, że tak będzie. Patrząc dziś na ciebie, pochylonego, ze zmęczonym wzrokiem i bladą cerą, już ja, matka, zaledwie

mogę wyobrazić sobie, że tak niedawno byłeś rumianym chłopczykiem, z jasnym spojrzeniem i swobodną myślą. Pamiętasz jak ciekawie pytałeś mnie zawsze, co jest za rzeką? lasem? w dużych miastach? Co ludzie robią? Jak byłeś spragniony poznać świat, życie, wszystkie jego prądy, wszystkie pragnienia i wszystkie uciechy! Jak marzyliśmy razem, że po ścieżce życia iść będziesz śmiało do pięknego celu, lecz znajdziesz na niej i chłodne drzewo do spoczynku i strumień kryształowy, co siły pokrzepi i owoc pracy, co posili ducha. Ze mną mówić o tem umiałeś, ty mój milczący sfinksie. Gdzie te marzenia? Przyszła choroba ojca, zmieniło się wszystko, wyrzekłeś się nauki, zabrałeś do pracy. Ja wiem, ile poświęciłeś, ja mam zapisaną w duszy każdą przyjemność, której się wyrzekłeś, każde pragnienie, któregoś się wyparł, każde upokorzenie, które zniósłeś dla nas. Zamknąłeś się bardziej w sobie, zacząłeś unikać ludzi, jakbyś się wstydził uczuć, które zaszczyt ci przynoszą; ten i ów nazwał cię skąpcem, dziwakiem, odludkiem, bo któż tam wiedział, że brat twoim kosztem zdobywa wykształcenie, którego sobie odmówiłeś; że dzięki pracy twojej, ojciec nieszczęśliwy ma dach nad głową i życie bez troski, a matka—matka pragnęłaby wołać: ludzie, czyż nie widzicie, że to szlachetne serce bije dla was jedynie? Dajcież mu serca trochę, bo on nie upomni się o nie; spojrzycie w głąb duszy jego i nie...”

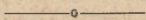
List nie był skończony, dalszego ciągu brakowało, lecz Zosia szklanym, przerażonym wzrokiem patrzyła na pożółkłe kartki; ręce jej drżały, twarz była blada i zmieniona.

— Boże, o Boże! więc to stryj Stanisław! To stryj Stanisław! Ten dziwak, ten cichy, wiecznie milczący i zamknięty w sobie! I ona nie przeczuła! Nikt go nie zrozumiał, nikt go nie znał... Głos matki przemówił z za grobu, lecz przemówił zapóźno! Jej smutne przepowiednie spełniły się: nikt nie dał mu serca... O Boże, jakież to straszne, że ona...

Jęk rozpacz i bólu wydarł się z piersi dziewczęcia i wybuchnęła płaczem.

Ja kocham Cię, stryju! Kocham Cię i nie mogę powiedzieć Ci tego!

Już zapóźno! zapóźno!...



Świt biały zastał Zosię przy stoliku z listem w ręku. Nie płakała, ale twarz miała poważną, w pogodnych wczoraj oczach wyraz głębokiego smutku; wydawała się starszą. Tego samego dnia jeszcze prosiła o pozwolenie wyjazdu do Warszawy; musiała być na grobie stryja.

Czy wróci spokojniejsza i mniej smutna? Może; lecz poczucia winy nie zmyją łzy żalu, zostanie ono w duszy niezatarte do końca życia, bo przyszło—zapóźno.

Cecylia Niewiadomska.



Dziedzina wiecznych śniegów i lodów.



Wiadomo każdemu, że śnieg, spadły w zimie, topnieje pod ciepłem tchnieniem wiosny i wreszcie znika; martwa, biała barwa krajobrazu ustępuje miejsca ożywczej zieleni. Lecz ażeby śnieżna opona zimy znikła zupełnie, na to potrzeba pewnego czasu, tém dłuższego, im więcej śniegu nagromadzi się w zimie i im mniej ciepła przyniesie wiosna.

Łatwo stąd zrozumieć, że przy bardzo znacznem nagromadzeniu śniegu w zimie i przy bardzo nieznacznem ciepłe wiosny i lata, możliwem byłoby utrzymanie się śniegu od zimy do zimy, to jest ciągle trwanie opony śnieżnej.

U nas wypadek taki na szczęście nie ma nigdy miejsca, lecz są kraje na ziemi z tak znacznemi opadami śnieżnymi w zimie i tak nieznacznem ciepłem w lecie, że śnieg w nich leży bez przerwy; są to *krainy wiecznych śniegów*.

Krainy takie leżą bądź *na górach bardzo wysokich*, bądź *pod biegunami*.

I.

W miarę jak wspinamy się na *wysoką górę* staje się coraz zimniej, gdyż promienie słońca, przechodząc przez powietrze, nie wiele je ogrzewają (zwłaszcza gdy jest przezroczyste jak na górach) i dopiero dosięgnąwszy powierzchni ziemi, ogrzewają ją. Od tej ogrzanej powierzchni ziemi, niby od pieca w pokoju, ogrzewa się dopiero powietrze przez zetknięcie, im więc dalej od powierzchni ziemi, to jest im wyżej, tem powietrze musi być zimniejsze. Wprawdzie i góra, stercząca wysoko wśród atmosfery jest częścią powierzchni ziemi, też ogrzewa się od promieni słońca i udziela tego ciepła otaczającemu powietrzu, ale jest ona zbyt małą częścią powierzchni ziemi, zbyt małym „piecykiem“, aby ogrzać otaczające ją górne masy powietrza: jej ciepło rozprasza się prawie bez śladu i górne masy powietrza pozostają zimnemi.

W skutek takiego ubytku ciepła ku górze, na górach, na pewnej wysokości powyżej tak zwanej *linii śnieżnej*, leżą wieczne śniegi. Linia śnieżna w różnych krajach leży na bardzo różnych wysokościach: na górach krain gorących w pobliżu równika linia ta musi leżeć bardzo wysoko (szczególniej gdy kraje te są suche), dosięga mianowicie blisko sześć wiorst wysokości (6000 metr.); gdyby u nas koło Warszawy wznosiły się góry, to wieczne śniegi na nich rozpoczynałyby się już w trzeciej części poprzedniej wysokości (w Tatrach na 2,200 metr.).

W ogóle ku biegunom linia śnieżna zniża się coraz bardziej, wreszcie dochodzi wysokości 0, to jest

zniża się do poziomu morza. Tam więc dla istnienia wiecznych śniegów niekoniecznie potrzeba gór: leżą one nawet na wielkich obszarach nizin podbiegunowych, stanowią drugi gatunek wiecznych śniegów, o którym powiemy osobno później.

Ponieważ na krainy wiecznych śniegów spadają co roku nowe masy śniegu, zdawałoby się więc, iż ilość wiecznego śniegu powinna się wciąż zwiększać, a góry — wciąż wzrastać na wysokość. Jednakże tak nie jest: ilość śniegu wiecznego w górach jest mniej więcej ciągle jednakowa. Jakaż może być tego przyczyna? Gdzie podziewają się masy śniegu wciąż przybywające?

Ubywają one i to głównie dwiema drogami: przez zesuwanie się i staczanie (*lawiny*), oraz ściskanie się, zbijanie w masy lodowe, które parte w doliny, dosięgają miejsc niższych, cieplejszych i topnieją (*lodowce*).

Lawiny. Gdy w zimie świeży śnieg spadły podczas mrozu, a więc suchy, nagromadzi się nie jednakowo (wskutek działania wiatru), na pochyłej powierzchni śniegu starego, wtedy najlżejsze wstrząśnienie, jak np. skok gemzy, echo nawoływania ludzkiego, dzwonek pocztowy, trzask z bata, a tembardziej wystrzał i t. p., jest w stanie oderwać te nagromadzone masy od ich podstawy; zaczynają one zesypywać się, wirować, pędzić z hukiem ku dołowi coraz szybciej, niby fale burzliwego potoku. W tym szalonym pędzie suchy śnieg po części bucha w powietrze i przysłania lawinę obłokiem pyłu. Powietrze porwane pędem lawiny wytwarza silny wicher, który łamie drzewa i obala budynki.

Takie *lawiny*, złożone ze śniegu suchego, spadają w porze zimowej po drogach zmiennych, zależnych od takiego lub innego nagromadzenia śniegu.

Prócz tego bywają jeszcze inne lawiny, spadające na wiosnę w czasie odwilży, podobnie jak śnieg zesuwaający się na wiosnę z dachów. Śnieg zesuwa się tutaj w całej swej grubości, aż do gruntu, tak, iż po spadnięciu lawiny powstają na górach ciemne płyty. Lawiny tego gatunku spadają po drogach stałych, zależnych od plastyki gór. Zesuwanie się takiej lawiny zamienia się czasami na staczanie, przyczem lawina coraz bardziej się powiększa od nalepiającego się śniegu, napotkanego po drodze, podobnie jak to ma miejsce przy budowaniu „bałwana“ śnieżnego. Z powodu lepkości śniegu wiosennego, przy lawinach tego gatunku nie tworzy się obłok pyłu, za to przy odbijaniu się o występy skalne, sterczące po drodze, lawina, taka czyni czasami wielkie skoki, czasami przeskakuje niewielkie laski nie czyniąc im szkody.

Ludzie, którzy porwani przez lawinę wyszli z tej katastrofy cało, świadczą, że podczas pędu mogli swobodnie poruszać członkami, jakby podczas pływania; ale w chwili przed samem zatrzymaniem się lawiny, następuje silny łoskot i olbrzymie ciśnienie, grożące zmiażdżeniem. Po zatrzymaniu się lawiny, ludzie ci uczuli się nieruchomymi, silnie zasklepionymi w zlodowaciały śnieg. Dopiero po pewnym czasie, gdy ciepło ciała stopi nieco otaczającego śniegu, zalepiony człowiek może się nieco poruszyć, lub wyciągnąć ze śniegu członki, za które był schwytyany. Zdarzały się wypadki, iż człowiek spadły z lawiną leżał na jej powierzchni nie mo-

gąc się podnieść, będąc silnie schwytyany za nogę, lub za połę surduta.

Lawiny tamują komunikację w górach: zasypują one drogi tak, iż dla przywrócenia komunikacji trzeba wybijać w nagromadzonym, zlodowaciałym śniegu długie tunele. Gdy lawina wpadnie w rzekę, natenczas woda świdruje sobie w niej tunel i szumi pod mostem śnieżnym, który dość długo się utrzymuje i można po nim przejść na drugą stronę rzeki; gdy rzeka nie odrazu przebije sobie tunel, natenczas woda po za tamą śnieżną wzbiera i tworzy jezioro, które parciem swem niszczy wreszcie tamę, a wtedy nagromadzone masy wody rzucają się w dół i, zalewając doliny, niszczą dobytek człowieka.

Mieszkańcy gór już od wieków przedsiębrali różne środki w celu ochrony od zniszczenia, powodowanego przez lawiny i tak np. na drogach od strony gór wykopują nisze, w których podróżny może się skryć w razie niebezpieczeństwa, budują kryte galerye, świdrują tunele, wznoszą mury chroniące drogę lub domostwo od zasypania; dachy domów budują pochyło, jako dalszy ciąg pochyłości góry, tym sposobem lawina przeleci po dachu dalej; po za domem, od strony spadku lawiny, sypią kupę kamieni zwróconą zaostrozonym kancem ku pędzącej lawinie: lawina przetnie się na tym kancie i dwiema połowami przesłumi po bokach domostwa. Wreszcie lawina, napotkawszy las, zwykle utyka w nim, więc mieszkańcy gór starają się o utrzymanie lasów, a tam gdzie ich niema, tworzą niejako lasy sztuczne, wbijając w ziemię pale; jest to tak zwane „przygważdżanie lawin.“

Lodowce. Drugim środkiem ubywania nadmiaru śniegu w górach są lodowce.

Wiadomo, że *ściskawszy* w rękę trochę świeżo spadłego lub wiosennego, lepkiego śniegu, zamienimy go łatwo w brylkę lodu; wiadomo też, że na wiosnę, gdy śnieg już wszędzie zniknie, to pozostaje jeszcze wyjątkowo na ścieżkach w formie skorupy lodowej, jako skutek *udeptania*.

To samo mniej więcej zachodzi na wielką skalę w krainie wiecznych śniegów,—górne masy śniegu wywierają tam olbrzymie ciśnienie na masy dolne i zamieniają je przez to w lód; topnienie śniegu na powierzchni pod promieniami słońca w dzień i zamrażanie powstałej stąd wody w czasie nocy, też sprzyja tej przemianie śniegu w lód, zamieniając wprzód śnieg zwyczajny na ziarnisty (firn), jaki często i u nas na wiosnę napotkać można. Z tego ziarnistego śniegu, czyli firnu, tworzy się pod wpływem ciśnienia prawdziwy lód.

Lód ten party z góry wciska się w doliny, wypełnia je naśladując ich kształty, jakby był jaką masą plastyczną (dającą się urabiać, ulepić), podobną do ciasta, smoły szewckiej, rozgrzanego laku i t. p.; temi dolinami lód porusza się, a raczej płynie niby rzeka, (tylko znacznie wolniej), albowiem w ruchu tym części lodu zmieniają położenie nie tylko względem łożyska, ale i względem siebie (podczas, gdy w ciele twarde, zesuwałcem się, części względem siebie położenia nie zmieniają, kształt ciała pozostaje bez zmiany). Gdy taka rzeka lodowa dojdzie do okolic niskich, a więc cieplejszych, wtedy topnieje na końcu i daje

początek rzece prawdziwej; rzeki z tych lodów pochodzące są obfite w wody w każdej porze roku, nawet w najupalniejsze lato, albowiem wtedy właśnie lód najsilniej topnieje i zastępuje utratę wody przez ulatnianie.

Takie masy lodowe ze śniegu wiecznego pochodzące i wypełniające doliny gór, zowią się *lodowcami*, *lodnikami* albo *gleczerami*.

Lód lodowcowy nie jest czysty: we wnętrzu swem oraz na dnie i na grzbiecie posiada on rumowisko skalne (moreny), które zostało oderwane od dna lub boków łożyska, lub które się stoczyło na lodowiec z okolicznych gór. Rumowisko to na grzbiecie lodowca tworzy podłużne wały, albowiem spada na coraz nowy punkt płynącego lodowca, podobnie jak piasek sypany na arkusz papieru, który równocześnie przesuwamy poziomo po stole. Gdy kilka lodowców, niosących moreny, połączy się ze sobą w jeden (niby kilka strumieni w jedną rzekę), a ten płynie dalej doliną wąską, to nagromadzone na nim moreny mogą pokryć całą jego powierzchnię; nieświadomy rzeczy podróźny, stąpając po tej kamienistej pustyni, ani się domyśla, że w pewnej głębokości zalegają pod jego stopami wielkie masy lodowe.

Gdy moreny są na grzbiecie lodowca rzadko rozsypane, to przyczyniają się do powstania wielu *ciekawych zjawisk* na powierzchni lodowca: *mała ilość ciemnego rumowiska* rozgrzewa się silnie od promieni słońca (wiadomo, że w ciemnym odzieniu najbardziej się pocimy na słońcu) i wywołuje silniejsze topnienie lodu pod spodem leżącego; tym sposobem powstaje

w lodzie zagłębienie, na dnie którego jest woda i błoto (podobne zjawisko można u nas obserwować na lodzie rzek i stawów: spadłe nań ciemne liście olszyny leżą w zagłębieniach, jakby wyciśniętych przez siebie). *Duży gład* leżący na powierzchni lodowca wywołuje wprost przeciwne zjawisko: dzięki swej wielkości gład ten chroni powierzchnię lodu pod nim od promieni słońca, podczas gdy okoliczna powierzchnia ulega topnieniu, obniża się; tym sposobem gład z czasem znajdzie się na wzniesieniu, na postumencie lodowym, powstałym jednak nie w skutek własnego wzniesienia, lecz w skutek obniżenia się powierzchni lodowej okolicznej; są to tak zwane *stoły lodowcowe*. Z biegiem czasu, w skutek silniejszego ogrzewania się części gładu zwróconej ku słońcu (na naszej półkuli ku południowi), część tego ciepła udziela się wreszcie podstawie lodowej, która z tej strony pomалу topnieje; w skutek tego gład przyjmuje położenie pochylone ku południowi, wreszcie zesuwa się ze swego lodowego postumentu, który straciwszy ochronne pokrycie, szybko znika pod promieniami słońca, tymczasem pod ochroną spadłego gładu powstaje nowy postument lodowy, nowy stół lodowcowy, który z kolei ulega temu samemu losowi. Tym sposobem gład wędruje po lodowcu ku południowi. Podróżny, wędrujący po lodowcu wśród mgły i bez kompasu, może się orientować po pochyleniu stołów lodowcowych: wskazują one ku stronie południowej.

Koniec lodowca nie pozostaje w ciągu lat na jednym miejscu, lecz *ulega wahaniu*: w latach wilgotnych i chłodnych posuwa on się naprzód, pokrywa-

jąc i niszcząc nieraz bujne niwy, zatamowując w poprzek jego drogi płynące potoki; w ostatnim razie powstają jeziora, trwalsze niż poznane wyżej, zatamowane przez lawiny. Wskutek dłuższego trwania, te jeziora lodowcowe przybierają większe rozmiary, a po przełamaniu tamy lodowej sprawiają straszliwsze zniszczenia. Jakiem niebezpieczeństwem grożą takie lodowcowe jeziora mieszkańcom gór, tego dowodzi fakt, iż pobożni górale, dla odwrócenia klęsk, odprawiają do tych jezior procesye (podobnie jak gdzieindziej na szczyty groźnych wulkanów). W latach suchych i gorących odwrotnie: koniec lodowca cofa się, odsłania dno, na którem zalegają rumowiska (moreny) pozostałe po stopnieniu lodu.

Takie zmiany ciepła i suszy z jednej strony, a chłodu i wilgoci z drugiej, mają miejsce nietylko na małą skalę w krótkim czasie życia ludzkiego, ale także jak się zdaje i na wielką skalę w ciągu długiego życia kuli ziemskiej,

W każdym razie niegdyś na ziemi, niewiadomo napewno z jakiej przyczyny, była epoka znacznego chłodu i wilgoci (obfitych opadów śnieżnych); wtedy naturalnie rozwój lodowców był daleko większy niż za dni naszych. Podczas gdy dzisiaj lodowce są ograniczone do najdalszych górskich zakątków i odosobnione, a nieprzerwana pokrywa lodowcowa napotyka się tylko pod biegunami, to wówczas, w tak zwanej *epoce lodowej*, zjawiska lodowcowe były niezmiernie spotęgowane. Odosobnione dziś i przed epoką lodową, strumienie lodowe wysokich gór wezbrały, napływały w niżej leżące doliny, a nawet wtargnęły z obsza-

ru górskiego na okoliczne równiny i tu zlepily się, stopily ze sobą w jedno nieprzerwane niby morze lodowe. Tak np. odosobnione dziś lodowce alpejskie pokryly wtedy całą Szwajcaryę, Wlochy północne i Niemcy południowe, a niższe góry, nieposiadające obecnie zupełnie lodowców, wówczas posiadały je (np. Tatry). Ale najwspanialsze zlodowacenie obejmowało północne okolice lądów; w naszej części świata zlodowacenie to wyszło ze Skandynawii: lodowce tych gór, polaczywszy się ze sobą, przekroczyly Bałtyk, pokryly nizinę Niemiecką, pokryly nasz kraj, aż do okolic Krakowa i Lwowa, pokryly znaczną część Europy wschodniej. Grubość tych mas lodowych byla nie mniejszą jak na wiorstę, a w niektórych miejscach dosięgala wielu wiorst.

Gdy za nastaniem peryodu cieplejszego lody te zaczęly topnieć i ustępować ku północy, wtedy, zatrzymując się czas jakiś w północnej części naszego kraju, tworzyly one tamę dla wód wiślanych, które wraz z wodami pozostałymi z topniejącego lodowca zbieraly się u krawędzi lodów i płynęly szerokim łożyskiem na zachód, przez okolice Warszawy, Poznania, Berlina, Hamburga. Ta dawna, olbrzymia Wisła płynęła jeszcze dalej na północ, aż do okolic dzisiejszej Szkocyi, (płytkie obecnie morze Niemieckie bylo wtedy lądem) przyjmowala Odrę, Elbę, Ren i rzeki angielskie (których ryby są takie same jak w rzekach sąsiedniego lądu); byla ona wówczas prawdziwą „królową rzek“.

Ślady epoki lodowej spotykamy u nas w licznie rozsianych *kamieniach polnych* (błędnych albo erra-

tycznych), przyniesionych przez lodowce z gór Skandynawskich, a używanych obecnie na bruki, szosy, podmurowania i t. p. Oprócz tego, na dnie dawnych lodowców spotykamy zwykle *jeziora* (lub ślady ich istnienia), albowiem lodowce, pokrywając dawne zagłębienia (a być może po części zawsze je wytwarzając przez wyżlabianie), uchroniły je od zanieczyszczenia, zamulenia, zabagnienia, zarośnięcia i zniknięcia.

Stąd to tak wiele jezior w Skandynawii (wogóle dokoła morza Bałtyckiego), w Alpach i u ich podnóża, a nawet w naszych Tatrach, które niegdyś posiadały lodowce. Wprawdzie nie wszędzie, gdzie są jeziora, tam było niegdyś zlodowacenie, ale wszędzie gdzie było zlodowacenie, tam są (a przynajmniej do niedawna były) jeziora.

Pewne podobieństwo z temi dawnymi, wielkimi obszarami zlodowacenia przedstawiają obecnie kraje podbiegunowe.

II.

Pod biegunami panuje też zimno, podobnie jak na górach, tylko z innych przyczyn, mianowicie z nizkiego stanowiska słońca na niebie, oraz z powodu długiego trwania nocy podbiegunowych. Z powodu zimna wieczne śniegi pod biegunami prawie sięgają poziomu morza, nie potrzebując gór zbyt wysokich: powstałe z tych śniegów lodowce nie są odosobnione jak górskie, lecz stanowią *zwarłe masy, pokrywające całe kraje skorupą lodową.*

Pod biegunem północnym, krajem takim jest Grenlandya, którą pokrywa nieprzerwana skorupa lo-

dowa, wypukła we środku, niby olbrzymia tarcza, zwężająca się ku południowi. Wśród tej nieprzejrzaney, gładkiej skorupy lodowej, którą dopiero w ostatnich czasach udało się przebyć w poprzek nieustraszonemu podróżnikowi Nansenowi, tylko tu i owdzie sterczą najwyższe skaliste szczyty pogrzebanych gór, niby wyspy wśród lodowego oceanu.

Pod biegunem południowym, gdzie z powodu większych obszarów morza jest więcej wilgoci, a stąd i śniegu, skorupa lodowa zajmuje większe jeszcze obszary; skorupa ta spada ku oceanowi wysoką do 100 metrów, nieprzerwaną ścianą lodową, na którą nie udało się dotąd nikomu wdrzeć.

Te olbrzymie lody polarne pod wpływem własnego ciśnienia znajdują się w ciągłym ruchu, niby masa rzadkiego ciasta rozplywająca się na boki.

Lodowce polarne, zstępując do morza, mogą napotkać brzeg wysoki, albo niski; w pierwszym razie zwisają nad wodą, odłamują się własnym ciężarem i spadają do wody; w drugim razie zanurzają się w wodę, a ponieważ lód jest lżejszy od wody (szczególniej od słonej, morskiej), więc woda stara się wypchnąć wkraczający w nią lód ku górze (podobnie jak kawałek drzewa, którybyśmy wpychali do wody); wreszcie pod tem parciem zanurzony koniec lodowca odłamuje się, spływa na powierzchnię wody (druzgocąc nieraz spód płynącego statku) i po pewnem wahaniu przychodzi do równowagi. Tak w pierwszym, jak i w drugim razie powstają tak zwane *góry lodowe*.

W chwili powstania, góry lodowe przedstawiają bezkształtne bryły, zwykle wielkości domów kilkopię-

trowych; ale z biegiem czasu, pod wpływem zmian temperatury, topnienia i pękania, ulegają najrozmaitszym, najdziwaczniejszym przekształceniom, nabywają fantastycznych kształtów; gdy dostaną się do wody cieplejszej i topnieją od spodu, to mogą utracić równowagę „wywracają się“, a wtedy rozlega się grzmot potężny, który wśród ciszy i ciemności długich nocy polarnych przejmuje grozą żeglarzy. Pod biegunem południowym, gdzie temperatura nie ulega wielkim zmianom, góry lodowe zachowują swe pierwotne kształty jednostajne.

Prócz gór lodowych na morzach polarnych spotykamy też lód innego rodzaju, mianowicie powstały z wody morskiej, płaski, tak zwane *poła lodowe*.

Poła lodowe nie wyglądają tak malowniczo jak góry, czynią jednak nieraz imponujące wrażenie swą rozciągłością nieprzejrzaną; całymi tygodniami można płynąć wzdłuż jednego pola lodowego; nieraz podróżny sądzi, że się znajduje na lodzie stałym i przedsięwzięcie na nim podróż saniami ku biegunowi, chcąc jaknajdalej wdrzeć się na północ, tymczasem po długiej podróży, obserwując położenie gwiazd, przekonywa się z rozpaczą, iż mimo jazdy na północ znajduje się w punkcie bardziej południowym, niż na początku wyprawy! Jakże to być może? A oto poprostu podstawa, po której jechał nie była stałą, była polem lodowym, które gnane prądem, płynęło szybciej ku południowi, niż on ku północy. Pod biegunem południowym, gdzie morze otwarte silnie faluje, niema prawie zupełnie pól lodowych, tylko, jak wspomnieliśmy, bezkształtne olbrzymie góry lodowe, niby wiel-

kie wyspy, osłonięte wieczną mgłą, otoczone morzem wzburzonym; żeglarz w razie niebezpieczeństwa jest tu bez ratunku, na góry te nie można się tak schronić, jak na pola lodowe.

Tak pola lodowe jak i góry, pod wpływem prądów i wiatrów, są w *ciągłym ruchu*; uderzają się o siebie, ścierają i niszczą; biada okrętowi, który się dostanie między takie potężne żarna, ulegnie zmieleniu na miazgę. To uderzanie się, parcie i ścieranie lodów wywołuje głosy, stanowiące rodzaj muzyki charakterystycznej dla mórz polarnych.

„Wśród przejmującej samotności i ciszy długich nocy polarnych, mówi pewien podróżny (Weyprecht), nieprzerwanych ani krzykiem ptaka, ani odgłosem jakiegokolwiek żywej istoty, gdy skrzypienie śniegu pod łapami stęającego niedźwiedzia słyhać z wielkiej odległości, a głos mówiącego człowieka nawet z odległości wiorstowej, wszelkie głosy przenoszą się na wielkie odległości; raz słyhać cichy szmer, jakby dalekie falowanie na stromem wybrzeżu, to znów silny łoskot z niewielkiej odległości, jakby cała karawana ciężko ładownych wozów toczyła się po nierównej powierzchni lodowej. Grzmot pękających lodów, trzask i jęk nasuwanych na siebie tafli lodowych, huk spadających i roztrzaskujących się brył lodowych... wszystkie te dźwięki tworzą charakterystyczny koncert, który to jasno i wyraźnie w przerażającej bliskości, to nieokreślenie, niewyraźnie z dalekiej odległości, brzmiał nam bez przerwy w uszach całe miesiące.“

Ciągły ruch lodów, ciągła ich zmienność, krzyżują wszelkie rachuby i plany żeglarzy polarnych:

gdzie dziś jest morze otwarte, tam jutro wznosi się zapora lodowa, której przełamanie, mówi pewien pisarz, jest zarówno niepodobne, jak przebicie muru głową. Wielkie obszary lodów odbijają się na tle nieba jasnymi plamami, miejsca wolne od lodów—ciemnymi; niebo więc jest dla doświadczonego żeglarza jakby mapą, po której się orientuje i obiera drogę.

*

*

*

Mimo tylu niebezpieczeństw, mimo groźby zdruzgotania przez lody, zmarznięcia wśród mroźnych, nieprzenikniętych nocy, pożarcia przez białe niedźwiedzie, mnóstwo podróżników dąży corocznie w okolice polarne, (lub wdziera na niebotyczne szczyty gór), aby je zbadać i dosięgnąć wreszcie bieguna. Tak wielkie jest u jednostek wybranych pragnienie wiedzy, tak wielkie poświęcenie dla niej, iż nawet groza śmierci nie może ich odstraszyć. Dawniej bohaterowie poświęcali swe życie, by je móżdż odjąć innym, siac dookoła zniszczenie; dzisiaj poświęcają życie dla wydarcia tajemnic naturze, dla z bogacenia wiedzy, a stąd dla uszlachetnienia współbraci.

Wacław Nałkowski.





Co ja kocham?



Monolog Zosi.



Kto mi w piersi płomyk włożył?
Co się dzisiaj ze mną stało?
Czy mi serce kto otworzył
Ręką jasną, ręką białą?

Czy to zawsze tak już bywa,
Że się dusza ze snu budzi,
Taka czegoś w sobie tkliwa,
Że chce kochać—wszystkich ludzi!

Wszystkich ludzi, wszystkie kwiaty,
Łąki, pola, małe dzieci,
Te dalekie nawet światy,
Z których każdy gwiazdką świeci!

Wszystkich?.. Wszystko?.. Hola! Hola!
Po porządku kochać trzeba...
Od łąk kwietnych i od pola,
Nie tak blisko jest do nieba!

Nawet szary ten skowronek,
Nad zagonem wiosną wzbity,
Lecieć musi cały dzionek,
Nim doleci tam, w błękity...

I choć już nie widzi gniazdką,
Ani wioski po nad rzeką
I najmniejsza nawet gwiazdka
Wyżej jeszcze... hen... daleko!..

Ja nie latam tak wysoko,
(Nie puściłaby mnie mama!)
Ale czucie, myśl i oko,
Posłać mogę—gdzie chcę sama!

Tylko... czym ja taka skora?
Gdzieżbym w niebo aż latała?
Jeszcze na to mi nie pora,
Jeszcze sobie jestem mała!

Ja tu wolę, między swemi,
Gdziem z dziecięcych rósła latek,
Przy tej drodzej, czarnej ziemi,
Co jest matką wszystkich matek.

Mojej mamy, mego taty,
Całej, całej mej rodziny...
Co na łonie grody, chaty,
Tak piastuje jak dziecińy!

Tatę... Mamę... nie wiem sama,
Czy wpierw kocham, czy też potem?..
Swą „ptaszyną“ zwie mnie mama,
A zaś tata swoim „złotem“.

Sliczna, śliczna mi „ptaszyna!“
— Wujek mówi: — „Śliczne złoto!
Jeszcze wam się ta dziewczyna,
W kozła zmieni z tą pieszczotą!“

A ja wujka łap za szyję!..
— Bardzo proszę, wujku drogi!
Czy wuj widział, jak wuj żyje,
Aby pannom rosły rogi?

„Pannom“ mówię sobie śmiało...
Wszak dwanaście lat mam pono...
Już sukienkę oto białą
Aż do kostek mi zrobiono...

Piękna suknia! Ani słowa!
Lekka jak obłoczek z nieba...
Ale milsza mi domowa,
Bo jej strzedz tak nie potrzeba.

Taka sobie w drobne kratki...
Gdy ją włożę, mam swobodę!
Po przelaszczki i po bratki
Brnę przez łąki, choćby w wodę!

„A widzicie wy urwisa?“
Mówi wujek gdy się spluszczę.
„Ja tę pannę dam na flisa,
I do Gdańska Wisłą puszczę!“

Potem kocham... Tomaszową,
Nikt mi tego nie zabrania,
Bo choć chłopką jest wioskową,
Ale przecie moja niania!

Boże! Jak to dawno było!
Wprost się zdaje, jakby mara...
Tyle rzeczy się zmieniło...
— Ja już jestem bardzo stara!

Tomaszowa w to nie wierzy,
Dla niej wciąż ja dziecko małe...
Przynosi mi twaróg świeży,
I orzeszki doskonałe!

Ja orzeszkom bardzo rada...
(W domu mnie wiewiórką zową)—
A jak bajki rozpowiada!
— Bardzo kocham Tomaszową!

O macosze, o sierocie,
O zaklętym w dąb rycerzu,
O królewnie w samem złocie,
I o smoku, strasznym zwierzu.

Więc królewna, gdy go głaszczę,
To aż po mnie idą ciarki,
Bo to taką ot—miał paszczę,
A w niej buchał ogień z siarki!

Mnie nietylko bajka miła:
Lubię pieśni, księgi stare...
I, czy temu da kto wiarę, —
— Wciąż bym czegoś się uczyła!

Ksiąg u wujka—co też tego!..
Pocichutku czasem wpadnę,
I poczytam Brodzińskiego...
— Bardzo, bardzo rzeczy ładne!

„Wiesław“—to mój ulubiony
I Halina i Bronika...
Takie z słów tam płyną tony,
Prosto w duszę, jak muzyka!

Słyszę prawie to wesele,
Widzę kwiaty, tańce, wstęgi...
I jak Wiesław wóz ten ściele...
— Bardzo lubię stare księgi!

A jak ja już równo przędę!
(Tomaszowa mnie uczyła...)
Jak urosnę, biednym będę
Z własnej przędzy odzież szyła!

...Na ramionach włos powiewny,
A u serca kwiat niezwiędły...
— Tak prząść będę, jak królowny
W dawnych czasach kądziel przędły.

Teraz to mam krótkie włoski,
(Już je sobie czeszę sama!)
A dla biednych naszej wioski
Do chat niosę, co da mama.

Ach, co też tam głodnych dzieci!
Czasem niosę chleb w fartuszk,
A tu hurmem, wszystko leci...
— „Oj, panienko! Oj, kwiatuszk!“

To za chlebem aż się trzęsie,
Jak do miodu, tak się ciśnie!
Aż śmiech bierze... aż na rzęsie
Łza gorąca mi zawiśnie...

Są podobno tacy ludzie,
Co chłopami prosto gardzą,
Że to żyje w nędzy, w brudzie...
— Ja tam chłopów kocham bardzo!

Oni także by woleli
Światłem, wdziękiem życie zdobić,
I na białej spać pościeli...
— A jak niema, to co robić?..

A któż to nam sieje, orze,
Kto nam wiąże kopy snopów?
Kto nam na chleb młóci zboże?..
— Ja tam bardzo kocham chłopów!

Ach, i także tych nędzarzy,
Co po wielkich miastach żyją,
I głód noszą w bladej twarzy,
I lzy własne z wodą piją...

— Co też ludzie robią z złotem,
Że jest tyle tej niedoli?..
Czasem to tak myślę o tem,
Aż mnie z tego głowa boli!

Ja tam nie mam nic ze złota,
Bom dziewczyna jeszcze mała.
Lecz jak przyszlaby sierota,
Wszystkiegobym pół jej dała!

Za sierotą, ziemią, niebem,
Idzie cichy cień jej matki —
Kto rozłamie się z nią chlebem,
Temu kwitną w duszy kwiatki.

Za sierotą w ciernie, w głogi
Idzie smutny anioł biały,—
Kto otworzy jej swe progi,
Temu w duszy gra dzień cały...

Piosnka rankiem z snu go zbudzi,
Piosnka uśpi go o zorzy...
— Ja tam kocham wszystkich ludzi,
Kocham cały świat ten Boży!

Marya Konopnicka.



Ostatni strzał.

HUMORESKA.

Bohater niniejszego opowiadania, zwany powszechnie „Panem Michałem“, piastował u państwa Maszewskich w Wólce urząd tak zwanego kredencarza.

Godność ta, więcej honoru jak rzeczywistej pracy wymagająca, wytworzona została specjalnie dla pana Michała, w nagrodę półwiekowej jego służby w jednej i tej samej rodzinie.

Był to tak zwany „łaskawy chleb“, którego się pan Michał nie domyślał, przeświadczony jak najsilniej, że na jego siwej głowie rządy całego domu spoczywają.

Aczkolwiek czynność pana Michała ograniczała się na wydawaniu z rana potrzebnych z kredensu naczyń i stołowej bielizny, a następnie na przyjęciu od pomywaczki i lokaja, używanych przez dzień cały

utensylii, mimo to poczciwy staruszek dreptał od rana do wieczora, po kuchni, piwnicy, alkierzach i po stołowym pokoju, mrużąc coś ustawicznie pod nosem, drapiąc się po przerzedzonej czuprynie i zrzędząc bez miłosierdzia, ilekroć mu jeszcze jedną szklanekę, kieliszek lub łyżeczkę, po nad zwykły etat wydać z kredensu wypadło.

Znosili to państwo Maszewscy z całą pobłażliwością przyjaciół, którym postać starego sługi przypominała dawno minione czasy i drogie cienie rodziców, których pan Michał do snu wiecznego ułożył i w codziennych modłach swoich głośno po kilka razy wspominał.

Zrządzenie pana Michała znosiła również cierpliwie i służba dworska, widząc jaką opieką i poszanowaniem sami państwo starego sługę otaczają. Więc choć nieraz kredencarz dziewczkom dworskim od „smoluchów“ nawymyślał, choć lokaja nierzadko „fagensem“ ochrzcił, choć się kucharzowi za przydymioną jaką potrawę, miano „parzygnata“ dostawało, nikt się panu Michałowi nie odcinał i każdy obrażony ręką tylko machał w milczeniu, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Zrzedź sobie stary, kiedy ci z tem wygodnie.

Gorszym był jednak stosunek pana Michała z młodszą generacją Maszewskich, z dwoma wyrostkami: Piesiem i Grzesiem, którzy w sekrecie przed rodzicami, tysiącne figle poczciwemu kredencarzowi płatali.

Niepoprawne te bisurmany, złotego serca ale dziwnie psotnej natury, mimo szczerego przywiązania do starego „dziadzi“, cały dzień przemyśliwali tylko, czem-

by się panu Michałowi sprzeciwić. Kochali go oni serdecznie, całą siłą tradycyi i przyzwyczajenia, która się w młode serca od dzieciństwa już wszczepia, ...ale kochali na swój sposób, nie zawsze miły i pożądany.

Pieścili staruszka jak piastunkę, okrywając mu twarz i ręce pocałunkami — ale kiedy jeden ścisnął go za szyję, drugi z pewnością chustkę mu kraciastą z tylnej kieszeni wyciągał; i chodził wtedy pan Michał tak przystrojony, budząc śmiech ogólny wśród całej służby dworskiej... a przechadzał się tak długo, póki się wreszcie nad nim stary ogrodnik nie zmiłował, i chustki mu napowrót do kieszeni nie wsunął.

Innym znowu razem, Pieś siadał na kolanach, udając kawalerzystę, czemu staruszek rad był bardzo, ale podczas gdy Pieś klusował na podrygającym kolanie pana Michała, Grześ dosypywał mu cichaczem do tabakierki szczyptę ciemieżycy, a gdy staruszek po zażyciu tarł potem nos uporczywie, lub kichał, że aż szyby w oknach dzwoniły, psotnicy ukryci za drzwiami, dusili się od śmiechu, radzi, że im się tak figiel udał.

Pan Michał nie domyślał się psoty, a nieraz udawał nawet, że się niczego nie domyśla — ale jeśli żarciki przebrały już miarę, i jeśli przypadkiem złapał psotnika na uczynku, to bez dalszych ceregieli, albo mu uszów dobrze natarł, albo też klapką na muchy, którą dzień cały nosił w rękę, przetrzepywał winowajcę porządnie, dodając za każdym uderzeniem:

— A masz, bąku, żarciki! masz teraz figle!.. a szanuj siwą głowę... ty smyku jakiś!..

I odchodzili wtedy malcy, niby skruszeni grzesznicy, nie skarżąc się nigdy przed ojcem na te doraźne egzekucye, wiedzieli bowiem dobrze, że im się jeszcze coś gorszego dostanie, czuli też z kilkakrotnego smutnego doświadczenia, że klapka na muchy mniej była bolesną od ojcowskich napomnień.

Przyszła nareszcie kreska na Matyska, a więc i kolej na naukę. P. Maszewski zgodził do chłopców bardzo energicznego pedagoga, który służąc kiedyś wojskowo, umiał też wojskowy rygor utrzymać. Chłopcy bali go się jak ognia — imponowała im wyniosła postać „pana psora“... jego wąsy sumiaste, jego czupryna nastroszona, brwi krzaczaste i głos tubalny... a najbardziej imponowała im dłoń żylasta w kułak ściśnięta, której uderzeniem rozbijał orzechy laskowe na miazgę.

I zwolna ustawać zaczynały psoty panu Michałowi wyrządzane.

Pocziwy staruszek był pozornie z tej zmiany niby zadowolonym, w gruncie jednak niepokoiła go ona trochę.

— Czy te biedactwa nie chore? — myślał sobie nieraz, patrząc na korne minki dawniejszych basałyków. Często... sam przypominał chłopcom przeróżne ich figielki, śmiał się razem z nimi na wspomnienie owych psot, i w sekrecie przed uczniami zaczął prosić surowego pedagoga, aby im od czasu do czasu folgował, nie przeciążając zbyt lekcyami.

— Bo to widzi pan... serca u nich dobre... ale zwyczajnie chłopaki. Potrzebuje to jak źrebce... trochę swobody; muszą się wylatać... kozłów nawywra-

cać... namocować ze sobą... wytrząść się, wypocić, wytarmosić... wy ten... wy tego... Pan mnie rozumie... żeby Boże broń na zdrowiu znów nie podupadli!

I nudził prośbami swemi tak długo, aż nareszcie surowy pedagog uległ staruszkowi, wyznaczając czwartki na popołudniowe rekreacje dla chłopców.

Piesio i Grzesio nie mieli dosyć słów wdzięczności dla poczciwego dziadzi; upieścili go, obcałowali serdecznie... i żaden mu już tego dnia ani chustki z kieszeni nie wyciągnął, ani ciemężycy do tabakierki nie dosypał.

W najbliższy czwartek, będący zarazem pierwszym dniem rekreacji, chłopcy korzystając ze swobody i wolnego czasu, umyślili wywdzięczyc się równocześnie zacnemu ich obrońcy, za dowód jego dobrego serca.

Ledwie usta po obiedzie otarli, wybiegli z domu.

Dzień był prześliczny—sierpniowe słońce dogrzewało lekko, nie paląc promieniami swymi, ale roztańczając błogie ciepło, pobudzające do życia i roślinkę każdą i ptactwo świergocące wesoło po polach i lasach.

Kuropatewki zbite już w spore stadka, przelatywały ponad burakami, zapadając w koniczyny czerwonym kwieciem okryte,—zajęczki syte marchwi i kapusty, której sporo na radlinach i grzędach poobgryzały, skakały swobodnie po podoranych rolach, wyszukując sobie pulchnej ziemi do wygrzebania kotlinki, mającej im służyć za legowisko. Długonogi bocian zbierał z łąk żabki, znosząc je do gniazda na pożywienie dziatwy, z którą wkrótce wynosić się miał w kraj daleki.

Powietrze pełne było woni traw świeżo skoszonych, upajając rozkosznie każde żyjące stworzenie... rwała się też człowiekowi dusza w pole, bo cztery ściany dworku więzieniem się prawie stawały.

Piesio i Grzesio wymknęli się także z domu... ale cichaczem i oglądając się po za siebie, tak jak gdyby się zdradzić obawiali. Przebiegli przez najcienistszy szpaler grabowy... przeczolgali się chyłkiem prawie przez drogę, oblecieli do koła duży staw trzcina zarosły, a wydobywszy z ukrycia jakiś przedmiot, pobiegli z nim het... daleko w pola, na świeżo zorany ugór.

Wycieczka trwała z godzinę.

W kredensie tymczasem pan Michał znużony dretaniem i zmożony ciepłem sierpniewem, zasiadł był sobie w starym skórzanym foteliku, w którym od lat pięćdziesięciu dziurę już prawie wyżłobił, i zwiesiwszy głowę na piersi, zdrzemnął się starowina na dobre.

Śnił sobie o dawnych błogich czasach... o starszych państwu, za których służbę dworską rozpoczął; przychodziły mu we śnie na myśl ważniejsze uroczystości rodzinne... ślub dzisiejszych państwa Maszewskich, którym weselisko urządzał... chrzciny Piesia i Grzesia, oraz tysiączne figielki, jakimi dwaj ci psotnicy celowali. I uśmiechało się przez sen dobrodusznie oblicze pocziwego staruszka na te miłe wspomnienia... gdy nagle ktoś nim lekko potrząsnął.

Pan Michał drgnął... oczy roztworzył... przed nim stali chłopcy, o których śnił przed chwilą.

— Wszelki duch! — zawołał przerażony.

— Psss... — szepnęli przybyli...

— Co się stało?—spytał staruszek, przykładając rękę do czoła.

— Zając, dziadziu?—odparł Grześ.

— Gdzie?.. co?..

— W kotlinie śpi... jak pan Michał w fotelu — dodał Pieś.

— Kto go widział?

— My obaj—zapewniali chłopcy.

— Łżecie urwisy!..

— Dziadzio się przekona — powtarzali psotnicy.

— A nie zbudziliście go aby? — zapytał zrywając się nagle staruszek, w którym ozwała się dawna żyłka myśliwska.

— Niech Bóg broni—upewniał Pieś — zawróciliśmy cichutko z pola.

— Prawie na palcach—dodał Grześ zdyszany.

— A no to dobrze, moje chłopaki—dziękował im staruszek, głaszcząc obydwóch po czuprynach — czekajcie... czekajcie kotki... pójdziemy razem... — dodał zapinając surdut na sobie i zdejmując starą dubeltówczybę z kolka.

W kilka minut trójka myśliwych wymknęła się cichaczem z izdebki—chłopcy jak młode wyżyły z przodu, pan Michał z fuzyą za nimi.

W niespełna kwadrans znaleźli się już na podorze—chłopcy nagle przystanęli.

— O... o... widzi go pan Michał? — szepnął Pieś.

— Gdzie?.. gdzie?... —pytał stary kredencarz, wyciągając szyję jak żóraw.

— A... o.., tu przed nami—dodał cichutko Grześ, wskazując ręką przed siebie — o... ta szara kupa... widzi pan Michał?...

— A prawda ..—szepnął myśliwy odwodząc półkurdzę, drżącą ręką podniósł dubeltówkę do twarzy, przycisnął kolbę do policzka... i po chwili padł strzał tak silny, że drzewa przeciągłem echem rozniosły go kilkakrotnie po drogach.

— A co?! — zapytał staruszek, spuszczać broń i nie widząc nic jeszcze po przez dym z lufy dobyty.

— Ani zipnął!—zawołał Pieś, biegnąc po zająca.

— Ani drgnął! — dorzucił Grześ, podążając za bratem.

— Widzicie smyki?.. tak się strzela! -- zawołał uradowany pan Michał, biegnąc za nimi—czekajcież... chłopcy!.. —wołał zdyszany — niechże choć zająca za taki celny strzał przeproszę?..

Ale z chłopakami trudna była rada, i próżnemi były nawoływania dwóch roznamiętnionych basałków. Dobiegłszy zająca, porwali go za tylne skoki, i zawiesiwszy na przygotowanym już naprzód drążku olszowym, pobiegli przez wieś, niosąc trofea myśliwskie pana Michała, który z dumą podążał za nimi.

-- A co?—pytał ten ostatni przechodniów i chłopów, którzy się na odgłos strzału zbiegli po drodze — widzieliście, kpy, jakiegom grzmotnął kociaka?.. tak się strzela... o sto kroków palnąłem i ani zipnął!..

Cała gromadka wiejskich dzieciaków biegła za paniczami obładowanymi zającem, jakby grubszą jakąś zwierzyną — ciekawych przybywało co chwila, i nareszcie orszak z kilkunastu osób złożony, przybiegł za przyniesionym zającem przed kuchnię.

Wyległy też dziewczki dworskie, ogrodnik, lokaj i sam kucharz.

— A co smoluchy?! — wołał zadyszany pan Michał dopadając wreszcie do kuchni—widzieliście kiedy takiego zająca?.. co?.. razem palnął i ani zipnął... ot co znaczy myśliwskie oko! tylko proszę mi go zaraz wypaproszyć, żeby się na to ciepło nie zepsuł.

Otoczyli wszyscy kołem rozciągniętego na podłodze zająca... parzygnat dobył noża i z całą zręcznością wytrawnego chirurga, plątnął kociakowi brzuch.

W tej chwili śmiech szalony rozległ się do koła. Zamiast trzewi, wysypały się z zająca... trociny...

Pan Michał stanął jak wryty, krew uderzyła mu do głowy.

— Co to jest?! — zawołał zrozpaczony, oglądając się do koła.

— Trociny—zaśmiał się kucharz—nie trudno było go zastrzelić.

— A wy smyki przekłete! — wrzasnął wściekły staruszek, szukając oczyma sprawców tego niecnego żartu. Gdzieżecie wy nicponie!.. urwipolcie?!.

Ale wołania staruszka próżnemi były.. winowajcy znikli bez śladu... mimo poszukiwań zarządzo-nych przez rodziców, mimo śledztwa wyprowadzonego doraźnie przez pedagoga, nigdzie ich odnaleźć nie było można.

.....

Późną dopiero nocą, kiedy uspokojony już nieco pan Michał, zabierając się do snu po tylu wstrząśnieniach, kończył pacierz słowami: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“... a równocześnie dobijał klapką ostatnią muchę na ścia-

nie... drzwi jego stancyjki rozwarły się cichutko i w progu ukazali się dwaj psotnicy.

Na widok sprawców skandalu pan Michał zadrdzał.. i gwałtownym ruchem klapkę podniósł do góry...

— A a a... tuście smyki?! tuście urwipolcie?! — wrzasnął rozwścieczony staruszek... ale w tej samej chwili chłopaki rzucili mu się do nóg.

— Dziadziu przebacz!—wołali okrywając go pocałunkami...

— Ja wam tu dam przebaczenie! —krzyknął spuszcżając klapkę na plecy jednego z winowajców.

-- Odpuść nam nasze winy!..—błagał Pieś.

— Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!--dodał skruszony Grześ...

Przypomnienie tylko co zmówionej Modlitwy Pańskiej, magiczny skutek wywarło.

Pan Michał klapkę cisnął w kąt .. łza rozrzewnienia spłynęła mu po siwych wąsach.

— Wstawajcie ..—szepnął cichutko.

— A przed ojcem obroni nas dziadzio? — pytali nieśmiało urwisy.

— Jeszcze czego!.. widzicie!—bronił się staruszek.

— Dziadziuniu... to już ostatni raz — zapewniali winowajcy, całując starca po rękach — aby ten razik jedyny niech nam dziadzio wyprosi przebaczenie...

— Idźcie... idźcie .. jutro zobaczymy ..

— Jutro zapóźno—prosił Pieś,—bo ojciec chodzi po kancelaryi z fajką na długim cybuchu i co moment w okno zagląda.

— Ja nawet widziałem ze dworu, jak tata harapnik o fotel próbował—dodał zestrachany Grześ.

Ten ostatni argument rozbroił pana Michała do reszty... zarzucił na siebie surdut i powlókł się z psotnikami do pana Maszewskiego; długą była konferencya... wreszcie, na usilne prośby staruszka, ojciec chłopcom przebaczył.

Czy im tak gładko poszło z „panem psorem...” tego wam, moi młodzi czytelnicy, powiedzieć nie mogę.

.

Pocziwy pan Michał wrócił uspokojony do izdebki... fuzyę zdjął z kołka, schował ją w głębi szafy, i od tej pory nigdy już jej nie brał do ręki.

Celny strzał do wypchanego zająca był zarazem ostatnim strzałem starego myśliwca.

Jordan.



Z Warszawy do Konstantynopola.

Fantazyja z przyszłości.

Dnia 5 czerwca 19... roku pan Wiesław Zielski, członek Warszawskiego towarzystwa botanicznego, spał jeszcze smacznie po nocnej pracy nad klasyfikacją porostów, przywiezionych niedawno z głębin oceanu Atlantyckiego, gdy nagle zbudził go sygnał telefonu, stojącego u wezglowia jego łóżka.

— Kto tam chce się ze mną widzieć tak rano — zawołał nasz uczonego kwaśnym tonem.

I zeskoczywszy z pościeli, zbliżył się do przyrzędu, na tarczy którego ukazała się właśnie jakaś postać.

— Ach, to ty, Zbigniewie! — rzekł poznawszy przyjaciela i kolegę botanika. — Co mi powiesz nowego?

— Daruj, iż przerwałem ci tak niegrzecznie spoczynek — odparł wyraźnym głosem obraz Zbigniewa Rośnickiego. — Pozwoliłem sobie uczynić to dla twojego własnego dobra. Krótko mówiąc, dziś wiecz-

rem ma się odbyć zjazd botaników w Konstantynopolu; pewien Anglik będzie tam podobno pokazywał zebranym nowe gatunki wymoczków, otrzymane sztucznie z bezkształtnej protoplazmy. Warto je chyba obejrzeć, nieprawdaż?

— Bez wątpienia, odparł Zielski, ziewając.

— Oprócz tego Japończyk Tisato urządzi podobno doświadczenia biologiczne przy temperaturze absolutnego zera. Jednem słowem, chciałbym koniecznie udać się na ów kongres, o którym mój telefonograf gada mi już od wczoraj. Czy będziesz mi towarzyszył?

— I owszem.

— Dobrze więc! Ubierz się i idź na stację aeronautyczną południowo-wschodnią, gdzie będę za godzinę czekał ciebie.

— Zgoda.

Po chwili obraz Zbigniewa Rośnickiego zniknął z pola widzenia, nasz uczony, przerwawszy komunikację, zaczął się ubierać.

Niebawem był gotów i wyszedł na górną platformę.

Platforma ta, a raczej wysadzony drzewkami i kwiatami chodnik, ciągnął się na dachach domów, stojących po prawej stronie ulicy. Był on bardzo wygodną i przyjemną drogą dla pieszych, którzy nie chcieli korzystać z elektrycznej kolei miejskiej, kursującej bezprzestannie na dole, pomiędzy kamienicami.

Zielski, przestrzegający uparcie zasad higieny, postanowił przejść się na czczo, tembardziej, iż pogoda była prześliczna. Krzewy róż i jaśminu rosnące obfi-

cie na platformie wydawały uroczy zapach, piękne bzy, okwitłe niedawno, rzucały przyjemny cień; miasto tonęło w żywych promieniach wiosennego słońca, które przesunęło się pomiędzy rojem srebrnych, drobniutkich obłoczków, pokrywających pogodne niebo. Ożywczy południowy wietrzyk przynosił subtelne wonie z ogrodów i parków, przecinających szerokimi szlakami gród nadwiślański. Życie kipiało już wszędzie; tłumy mężczyzn zajmowały wagony kolei elektrycznej, spiesząc do wyznaczonych zajęć: aeroplany, aerostaty i inne statki powietrzne, pruły powietrze we wszystkich kierunkach, śmiechy wesołe i oderwane wyrazy rozmów dolatywały chwilami do uszu pana Wiesława, dążącego spieszonym krokiem ku widzialnemu zdala wzgórkowi, na którym znajdowała się aeronautyczna stacya.

W kwadrans potem nasz uczoney zeszedł po lekkich, aluminiowych schodach z górnej platformy na ulicę i przybył na miejsce, wyznaczone przez Rośnickiego.

Na stacyi, pomimo wczesnej stosunkowo pory, panował już ruch w całej pełni. Dwa olbrzymie, aluminiowe balony kołysały się majestatycznie na przytrzymujących je linach, gotowe do drogi. Na ich błyszczących w świetle słonecznym, wydłużonych, wrzecionowatych ciałach, pan Zielski z łatwością mógł zdaleka wyczytać nazwy miejscowości, do których się udawały: „Warszawa—Londyn—Paryż“; „Konstantynopol—Warszawa“.

Pod tymi napisami widniały godziny wyjazdu, namalowane dużemi czarnemi literami.

Pasażerowie tłoczyli się już do elektrycznej windy, która ułatwiała komunikację pomiędzy ziemią a pokładami tych olbrzymich powietrznych mostów, z których każdy mierzył przynajmniej 300 metrów długości, a 25 średnicy.

Pan Zielski wiedział doskonale, iż podróż aerostatem, jakkolwiek przyjemna, nie była szybką; statki tego typu podczas przyjaznego wiatru nie robią więcej jak 100 km. na godzinę. Brzydka pogoda i przeciwne prądy atmosferyczne wpływają bardzo ujemnie na ich chyżość i przedłużają często o kilka, a nawet kilkanaście godzin średni czas trwania przeprawy. Trudno więc byłoby przypuszczać, iż Zbigniew Rośnicki, niezmiernie ceniący swój czas, jak wszyscy resztą ludzie dwudziestego wieku, zgodzi się podróżować statkiem, lżejszym od powietrza. Odgadując to, nasz botanik upatrywał aeroplanu, udającego się na południe, aby niezwłocznie zająć w nim dwa miejsca.

Aeroplanom Zielski oddawał zawsze pierwszeństwo. Statki te cięższe od powietrza, a więc oparte na wręcz przeciwnej zasadzie aniżeli balony, składały się głównie z obszernej, lekko sklepionej, na podobieństwo ptasich skrzydeł, płaszczyzny, pędzonej szybko w horyzontalnym kierunku przy pomocy silnego, a lekkiego motoru. Opór powietrza, rozkładając się podług znanych praw fizycznych, wytwarza siłę pionową, która podtrzymuje w przestrzeni płaszczyznę wraz z maszyną i pasażerami.

Pan Zielski niejednokrotnie zachwycał się tym genialnym przyrządem, w którym aeronautyka tak do-

wcipnie potrafiła wyzyskać opór powietrza, tę najważniejszą przeszkodę dla ruchu acrostatów.

Uwagę naszego uczonego zwrócił przepyszny aeroplan, który właśnie przed chwilą wylądował na płaszczyźnie, rozciągającej się u podnóża wzgórza stacyjnego.

— Muszę go obejrzeć zblizka — rzekł do siebie Wiesław, zbiegając po pochyłości.

Należy nadmienić, iż Zielski czuł zawsze słabość do pięknych statków powietrznych i namiętnie lubił szybować, to też był jednym ze zręczniejszych i odważniejszych aeronautów; Zbigniew Rośnicki towarzyszył mu bardzo często w jego ryzykownych i długich sportowych wycieczkach; to wspólne upodobanie zaciesniało jeszcze węzły przyjaźni, łączącej naszych dwóch uczonych.

Zbliżywszy się do aeroplanu, Zielski począł się przypatrywać wszystkim szczegółom jego budowy.

Z zachwytem dotykał błyszczącej, poruszanej skroplonem powietrzem maszyny, która rozwijała imponującą siłę 300-u koni, jakkolwiek ciężar jej wynosił niespełna dwieście kilogramów; badał skrzydełka, których szybkie drgania z góry na dół, popędzały statek naprzód i nadawały mu zawrotną szybkość dwustu kilometrów na godzinę.

— Nasi praojcowie suszyli sobie głowy nad rozwiązaniem kwestyi żeglugi powietrznej, obmyślali rozmaite koła łopatkowe i śruby i naśladowali ruchy ptasich skrzydeł, a jednak nie doszli do upragnionego celu— rzekł do siebie pan Wiesław.

Gdyby im kto powiedział, iż należy się wzorować na locie owadów, to wyśmieliby go niezawodnie.

O ile mi się zdaje, umieli oni już skraplać powietrze, gdyby jeszcze zdołali je zamrozić, to pomimo swych błędów, rozwiązałyby może wielkie zagadnienie. Genialne wynalazki są zawsze bardzo proste...

Obejrzawszy dokładnie aeroplan, Zielski zwrócił się do sternika, który stał opodal.

— Dzień dobry! — rzekł kłaniając się uprzejmie, czy miałeś pomyślną podróż?

— Zupełnie pomyślną — odparł. — płynąłem z wiatrem od samego Belgradu, robiąc po 220 kilometrów na godzinę.

— Pyszna jazda! — zawołał w uniesieniu Zielski. — Żałuję mocno, iż mając wiatr trochę z boku, nie będę mógł żeglować równie prędko. Objasnij mnie, proszę, kiedy odchodzi wielki aeroplan do Konstantynopola?

— Och! odleciał już o samym świcie — odparł sternik, kiwając głową. — Spóźniłeś się, panie, nie trzeba tak długo spać.

— Tam do dyabła! — zaklął pan Wiesław, — nie zajedziemy chyba w porę, jeżeli wypadnie nam czekać do południa na następny statek. Widzę z przykrością, iż trzeba będzie uciec się do kolei elektrycznej, której nienawidzę.

Właśnie Zielski wymawiał te słowa, gdy nagle w powietrzu zaszumiało i ktoś krzyknął tuż ponad jego głową: Wiesławie!

Botanik nasz podniósł wzrok do góry i ujrzał ku niemałemu swemu zadowoleniu Zbigniewa Rośnickiego, opuszczającego się na swym samolocie.

Ze wszystkich wynalazków w dziedzinie aeronautyki samolot jest bez wątpienia najgenialniejszym.

Wykazał on stanowczo, iż osławione trudności, z jakimi borykano się od niepamiętnych czasów w celu podbicia kapryśnej atmosfery, w rzeczywistości wcale nie istnieją i że można się nauczyć latać zupełnie tak, jak się uczymy pływać.

Rzecz dziwna: ludzkość od początku świata patrzyła na ptaki morskie, szybujące w przestworzach bez żadnego mięśniowego wysiłku — dzięki samemu tylko wiatrowi, a jednak tak niedawno skorzystała z tej wskazówki.

Długie na pięć metrów, szerokie na dwa, płaskie skrzydła, z siedzeniem dla aeronauty w pośrodku, oto samolot.

Czyż można wymyśleć coś prostszego? Stanowczo nie! A jednak na tym przyrządzie po raz pierwszy zaczęliśmy naprawdę latać! Gdyby nie on, to kto wie, czy zdołalibyśmy wyjść kiedykolwiek z ciasnego kółka rozumowań teoretycznych i cudacznych projektów i czy stworzylibyśmy aeroplan.

Tak rozmyślając, Wiesław patrzył jak jego przyjaciel, zakreśliwszy po nad samą ziemią duże półkole, spuścił się łagodnie na murawę i zwijał skrzydła swego samolotu.

— Ach to ty, Zbigniewie?! — rzekł idąc naprzeciw, — czekam tu na ciebie od piętnastu minut, sądziłem, że będziesz punktualniejszym.

— Przepraszam cię stokrotnie — odparł Rośnicki, podając dłoń przyjacielowi — spóźniłem się, bom czytał depesze meteorologiczne na dzień dzisiejszy. Prze-

powiadają nam wiatr południowy, jakaś burza nadciąga podobno od strony oceanu Atlantyckiego, należy się jej spodziewać na dzisiejszą noc.

— Cieszy mnie twoja przezorność pod tym względem, dziwię się jednak, jak mogłeś zapomnieć, iż aeroplan Lwów, Belgrad, Konstantynopol odlatuje o wschodzie słońca.

— Cóż mnie obchodzi aeroplan? — odparł Rośnicki.

— Jakto? przecież nie pojedziemy aerostatem, bo napewno nie zdążylibyśmy na czas.

— Nie mam wcale zamiaru podróżować aerostatem.

— Ależ ja nienawidzę jazdy koleją, wiesz przecie o tem.

— Tam do licha! Zapomniałem zupełnie o twoim wstręcie do lądowych środków komunikacyi!

— Pyszny jesteś! Więc musimy się wyrzec przyjemności uczestniczenia w kongresie.

— Co? Wyrzec się?! — zawołał zaperzając się Rośnicki. — Nigdy! Trzeba ci wiedzieć, iż chcę odczytać na nim mój referat o pierwotnych formach życia roślinnego, nad którym pracuję od tak dawna.

— To jedź sam.

— Dlaczegoż to? Przecież możemy przebyć tę niewielką przestrzeń z Warszawy nad Bosfor na samolotach.

— Tysiąc kilkaset kilometrów?!

— No więc cóż?! Robiąc po 130 kilometrów na godzinę, staniemy na miejscu w samą porę. Mój

drogi, widzę z przykrością, iż zaniedbujesz cokolwiek szlachetny sport lotu i zanadto często uciekasz się do maszyn. Stracisz zupełnie wprawę, jeżeli tak będziesz nadal postępował.

— Nie obawiaj się o to — odparł urażony nieco Wiesław, prędzej zapomnę chodzić, aniżeli latać.

— Hm, hm, a jednak kilkogodzinna żegluga jest już nad twoje siły.

— Bynajmniej, możemy polecieć, jeżeli chcesz tego koniecznie.

— Doskonale! Wracaj więc do domu po samolot, spiesz się tylko, bo nie mamy ani chwili do stracenia.

Zielski kiwnął głową w milczeniu i zajął niezwłocznie miejsce w wagonie kolei elektrycznej, która dotykała stacyi aeronautycznej.

W dziesięć minut potem dwaj przyjaciele znajdowali się już na szczycie pagórka, skąd zwykle wyruszali zwolennicy sportu powietrznego.

— Mamy doskonały wiatr, prosto z południa — zawołał Rośnicki, rozwijając skrzydła: — jeżeli do wieczora nie zmieni on kierunku, to niezawodnie staniemy na czas w Konstantynopolu; pamiętaj tylko lecieć tuż obok mnie, ażebyśmy mogli trochę porozmawiać w drodze.

— No, czyś gotów?

Zielski, rozpostarłszy swe skrzydła, stanął obok towarzysza, na południowym stoku pagórka — pod wiatr i czekał na znak do odlotu.

— Naprzód! — zawołał Zbigniew.

I trzymając skrzydła pod kątem do poziomu, zaczął szybko zbiegać po pochyłości wzgórza, ażeby

nabrać rozpędu, który jest niezbędny dla pozyskania punktu oparcia w atmosferze.

Cisnienie powietrza na spód skrzydeł stało się niebawem tak silnem, iż aeronauci poczuli tracić grunt pod nogami. Jeszcze chwila, a bujali po nad samą ziemią, opisując w przestrzeni linię prostą, łagodnie pochyłą względem horyzontalnej płaszczyzny.

Slizgając się tak po powietrzu, spadliby oni po upływie kilkudziesięciu sekund, gdyby nie potrafili korzystać z wiatru, tak jak wielkie ptaki morskie. Nastawiając umiejętnie skrzydła, zaczęli stopniowo wznosić się w górę.

— Wzbijmy się!—zawołał Zielski, w którym nagle odezwała się namiętność do awanturniczych wypraw.

— Spiralnie?—zagadnął Rośnicki, który trzymał się tuż obok przyjaciela.

— Tak.

Zaraz po tych słowach p. Wiesław pochylił się nieco ku prawemu skrzydłu i jego samolot, posłuszny woli swego sternika, zaczął opisywać w przestrzeni koło o promieniu kilkudziesięciu metrów.

Było to naśladowanie dowcipnego manewru żagłościga, pragnącego wznieść się wysoko i pionowo z jakiegoś punktu. Nasi uczeni, jak większa część obywateli, umieli go wykonywać doskonale, dzięki teoretycznym studjom i szerokiej praktyce, która rozpoczyna się już w zakładach wychowawczych. Zużytkowując w jednej połowie opisywanego koła siłę podnoszącą wiatru, w drugiej zaś jego szybkość, nasi aeronauci wzbijali się już o jakie tysiąc metrów po

nad ziemię, skąd wzrok ich ogarniał olbrzymią przestrzeń.

Cała Warszawa, ze swemi licznemi ogrodami, kwiecistemi platformami na dachach domów, wspinałemi gmachami publicznymi, leżała pod ich nogami nisko, podobna do wzorzystego, haftowanego srebrnemi nićmi ulic i perłami kopuł, kobierca, rzuconego niedbale po obu brzegach modrej Wisły, której wstęga błyszcząca w słońcu, ginęła gdzieś na niezmiernym widnokręgu, w subtelnej mgle poranku wiosennego.

Na tem szarawo-zielonawem tle przesuwwały się roje, zaledwie dostrzegalnych z wysokości kilometru, samolotów i dużych aeroplanów, które wyglądały jak orły wśród stada strwożonych gołębi. Od czasu do czasu majestatycznie przesuwał się olbrzymi aerostat, wlokąc za sobą po ziemi cień, kapryśnie połamiany na dachach i ścianach budynków.

Stawy i sadzawki świeciły jak blachy wypolerowanego srebra, rażąc wzrok naszych aeronautów, oddychających pełną piersią w chłodnym i wonnym powietrzu, którego pęd rozwiewał im włosy i malowniczo fałdował lekkie ubranie.

Wzniósłszy się do wysokości dwustu metrów w pionowym kierunku, po spiralnej linii, Zielski i jego przyjaciel zwrócili się pod wiatr, wiejący od południa i zaczęli się ślizgać po powietrzu z błyskawiczną szybkością.

Lot tego rodzaju jest zupełnie biernym i nie wymaga najlżejszego wysiłku ze strony aeronauty, lub ptaka; przeniesiony ku przodowi, środek ciężkości całego przyrządu przypada tutaj w punkcie przyłożenia

siły oporu powietrza. Równowaga jest więc dokładną, a lekkie jej zakłócenia dają się łatwo naprawiać prostym wyciągnięciem nóg ku przodowi, lub cofnięciem w tył skrzydeł samolotu. Podczas takiego ślizgania się, aeronauta obniża się stopniowo i musiałby ostatecznie wylądować, gdyby nie zapobiegł temu zawczasu.

Wiesław i Zbigniew, obznajmieni gruntownie ze wszystkimi arkanami żeglugi powietrznej, z łatwością utrzymywali się na jednym poziomie. Przebywszy ślizgawkowym lotem przestrzeń tysiąca metrów, zmienili nagle nachylenie swych skrzydeł i pozwolili unosić się w górę wiatrowi, przyczem cofali się z lekka; odzyskawszy w ten sposób utraconą na chwilę wysokość, znowu zaczęli się ślizgać, aby po jakimś czasie powtórzyć ten sam, co poprzednio, manewr. Tak żeglując, posuwali się pod wiatr z szybkością 130 — 140-u kilometrów na godzinę; było to zręczne wyzyskiwanie siły wiatru bez żadnego wyężenia mięśni. Nic więc dziwnego, iż pływając się w bezmiernym oceanie atmosferycznym, nie doznawali wcale zmęczenia; nieznaczne ruchy, jakie wykonywali od czasu do czasu dla zachowania równowagi, lub dla dokonania powyższego manewru nie wyczerpywały ich bynajmniej.

— Pyszna żegluga! — zawołał Zbigniew Rośnicki, zbliżając się do przyjaciela lekkim poruszeniem steru. — Wiosłowanie, bieganie, pływanie, jazda na welocypedzie i inne rodzaje tak dziś rozwiniętego sportu, nie mogą nawet iść w porównanie z lataniem.

— Jestem tego samego zdania, odparł Zielski, zakreślając piękną linię w powietrzu, — poruszanie się po powierzchni ziemi uwłacza, podług mnie, godności człowieka, powinniśmy przepędzać całe dnie w górnych szlakach, pomiędzy obłokami. Tam właściwe dla nas miejsce!

— O tak! — rzekł Rośnicki z głębokim przekonaniem, — być może, iż ludzkość dojdzie do tej doskonałości; wtedy zacznie żyć na nowo.

— Ziemia tylko z wysokości wydaje się piękną! — mówił dalej Zielski, sunąc jak strzala po skośnej linii, obok przyjaciela. — Czyż nie prawda, Zbigniewie?

Rośnicki spojrział na dno przepaści, rozciągającej się pod nimi i kiwnął zgodnie głową.

Rzeczywiście, widok z tych wyżyn był zachwycającym: ziemia żeglarzom przedstawiała się jak olbrzymia misa, z podniesionymi brzegami, które dotykały szarofioletowego nieboskłonu, zesnutego delikatną przedzą oparów. Owa dziwna wklęsłość, którą obserwować może tylko aeronauta, lub górno-lotny orzeł, była pełną domków, kryjących się wśród ogrodów, jak kwiatki w trawie łąkowej; zagonów, falujących jak morze, w podmuchach wiatru; lasków i parków, podobnych do wielkich, ciemnozielonych plam. Od czasu do czasu ukazywała się jakaś fabryka, świecąca czerwoną plamą na kobiercu roślinności, lub elektryczny wiatrak, nagromadzający w akumulatorach i przechowujący na użytek ludzki, część energii prądu atmosferycznego, marnowanej przez naturę, na wznoszenie tumanów kurzu, lub kołysanie

liśćmi na drzewach. W każdym zakątku tej pięknej ziemi dostrzegałeś ślady bujnego, czynnego, panującego nad przyrodą i jej siłami życia.

Szczegóły tego uroczego, tętnącego szczęściem krajobrazu, zmieniały się co chwila, całość jednak pozostawała ta sama.

Zielski i Rośnicki z zachwytem ogarniali szeroki widnokrąg, z poza którego co chwila wychylały się nowe okolice i przesunąwszy się pod ich stopami ginęły znów dla ich wzroku w przeciwnej stronie.

— Oto Lublin! — zawołał nagle Zbigniew, przykładając do oczu perspektywę.

Niebawem z morza chmurek wyłoniło się potężne zbiorowisko domów, którego głuchy, daleki gwar dochodził aż do uszu naszych żeglarzy.

Ta wielka szachownica ulic, przecinających się pod kątem prostym, i skwerów i parków uciekła szybko w dal, ustępując miejsca nowym krajobrazom, które zmieniały się jak w czarodziejskim kalejdoskopie.

W trzy godziny po wyruszeniu z Warszawy, uczeni nasi, z biciem serca dostrzegli na horyzoncie dalekim imponujący mur skalistych Karpat, których wierzchołki, przypruszone tu i owdzie śniegiem — świeciły jak srebrne obłoczki na pogodnym firmamencie. Z poza niebieskawo-fioletowej opony mgły wynurzały się stopniowo poszczerbione stoki, fantastyczne urwiska, głębokie doliny i wąwozy z pienistymi potokami, które z odległości były podobne do cieniutkich, kapryśnie powyginianych niteczek pajęczyny, błyszczącej w słońcu.

W miarę jak żeglarze powietrzni zbliżali się, szczegóły tego dzikiego a pięknego krajobrazu, zaostarzając

się, nabierały wyrazistości: góry pojedyncze wydzie-
lały się z ogólnej masy, rosły w niebo, zmieniając
kształty co chwila, rozpiezchały się po widnokregu,
zajmując go od końca do końca.

— Musimy wznieść się wyżej — rzekł Zielski —
wśród gór trafiają się często niebezpieczne wiry, któ-
rych należy unikać.

— Tak, to prawda! — odparł Zbigniew Rośnicki
zatrzymując się na krótką chwilę, jak sokół czekają-
cy na zdobycz. — Kierujmy się pomiędzy tamte dwie
góry, a po drodze starajmy się wzbijać, o ile się da.

Powziąwszy to postanowienie, dwaj przyjaciele
wypełnili je z całą zręcznością rutynowanych żagłolo-
tów. Po kilkunastu minutach ujrzeni pod sobą obszer-
ną dolinę, ponad którą płynęli w towarzystwie kilku
orłów, prawowitych władców niebotycznych szczy-
tów, które swe czoła w mgły spowite dumnie ku niebu
wznosiły.

Przebycie pasma górskiego, gdzie ścierają się po-
między sobą najróżnorodniejsze prądy atmosferyczne,
jest niezmiernie trudnem i niebezpiecznem zadaniem,
nietylko dla samolotów, kierowanych najwprawniej-
szą ręką, ale i dla wielkich aeroplanów, pędzonych po-
tężnymi motorami.

Nasi botanicy odetchnęli więc swobodnie, ujrza-
wszy się na południowych stokach Karpat.

Było południe, kiedy minęli ostatni szczyt, przed
oczyma ich rozpościerały się obszerne błonia węgier-
skie, ginące gdzieś w nieskończoności.

— Sądzę, że ruch na świeżem powietrzu musiał ci
dodać apetytu; — rzekł Zbigniew Rośnicki do swego

towarzysza, zarumienionego w skutek doznanych niedawno wzruszeń.

— Nie mylisz się—odparł Zielski.

— No to możemy opuścić się i zjeść obiad w hotelu Karpackim, który widzisz tam na prawo, na płasko wzgórzu.

— I owszem.

— Kieruj więc w prawo.

W pięć minut potem aeronauci wylądowali na obszernej platformie, tuż przed fasadą wspaniałego gmachu z aluminium i szkła. Był to Hotel Karpacki, przystanek dla wszystkich statków powietrznych, przebywających pasmo gór.

Podróżny, oprócz noclegu w wytwornie umeblowanych pokojach i doskonałego posiłku, znajduje tu bibliotekę fonograficzną, stacye telefoniczne i telefotowe, telefonograficzne doniesienia, jednym słowem wszystko, czego może potrzebować człowiek, pragnący nie zrywać ani na jeden dzień stosunków z myślącą i pracującą ludzkością.

Zielski i Rośnicki, poprosiwszy o lekki obiad, udali się do oddziału meteorologicznego, w którym zastali urzędnika.

— Jaki wiatr panuje na półwyspie Bałkańskim?—zapytał Zbigniew, zwracając się doń z powitalnym ukłonem.

— Południowy do 7-ej wieczór... — odparł urzędnik.

— A potem?

— Pomiędzy siódmą a ósmą nadciągnie z zachodu spodziewana od dwóch dni burza.



Był to Hotel Karpacki....

— Jakto? o ósmej? — zawołał Rośnicki, nieprzyjemnie zdziwiony tą nowiną.

— Tak. Wątpię zatem, czy wam się uda żeglować dalej na samolotach.

— Ależ burza miała nadejść dopiero w nocy — odezwał się Wiesław.

— Zwiększyła szybkość—odparł urzędnik.

—Dziękujemy! — rzekł Rośnicki, żegnając urzędnika — pilno nam, bo przed ową burzą pragniemy stanąć w Konstantynopolu.

— Nie zdążycie.

— Właśnie, że zdążymy!

I Rośnicki, pociągnąwszy za sobą przyjaciela, pobiegł jak strzała do jadalni i pochłonąwszy na stojączkę obiad, przyczepił do ramion samolot.

— Nie mamy ani minuty do stracenia, prędzej, prędzej—mówił nagłaco do Wiesława. Ta burza może nam splatać figła.

Zielski pospieszył i po chwili obaj szybowali znów w przestrzeni, unosząc się ponad łagodnie spływającymi na równiny południowymi stokami Karpat.

— Patrz, aeroplan nas goni! —zawołał nagle Zbigniew, odwróciwszy się.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy dał się słyszeć szum przeciągły, który stawał się coraz głośniejszym; po kilku minutach olbrzymi statek powietrzny, napelziony dwudziestoma pasażerami, przemknął szparko tuż obok naszych uczonych.

— Nie pozwólmy się wyścignąć! — zawołał z zapalem Zielski!

— Dobrze!—krzyknął w odpowiedzi Rośnicki.

I obaj polecili wśląd za aeroplanem. Z początku zdawało im się, iż ten ostatni płynie wolno, niebawem jednak przokonali się, iż było to złudzeniem. Wielki statek wyprzedził ich z łatwością i pozostawił daleko poza sobą.

— Do licha! — zaklął Zbigniew, rozgniewany tą porażką. — Jak się pokazuje, motor sztuczny jest lepszym aniżeli wiatr.

— Zdaje mi się, iż lecimy bardzo szybko — rzekł Zielski.

— Tak — odparł Zbigniew, — mamy wiatr doskonały i robimy co najmniej 130 kilometrów na godzinę.

— Jest więc nadzieja, iż zdążymy.

— Musimy zdążyć! — rzekł z naciskiem Rośnicki — zapowiedziałem już swoje przybycie na kongres i zawiadomilem przewodniczącego sekcji, iż zamierzam odczytać referat.

— Przyspieszmy jeszcze lotu — dodał, wyciągając nogi.

Zielski, idąc za przykładem towarzysza, przeniósł także punkt ciężkości swego samolotu ku przodowi, przez co zwiększył znacznie swą chyżość.

Nasi dwaj uczeni pruli teraz powietrze, jak mewy, igrające w objęciach orkanu: pęd wiatru uderzającego w ich twarze, był tak gwałtowny, iż zmuszał ich do mrużenia oczu, tamował oddech w piersiach. Prędzej lecieć było już niepodobieństwem.

— Nie, nie — zawołał po kilkunastu minutach Zielski — zwolnijmy cokolwiek. — Odzwyczailem się i czuję się osłabionym od takej szalonej żeglugi.

Zbigniew uśmiechnął się pogardliwie.

— A co!, nie mówiłem, że zapomnisz latać! — rzekł. — Przez twoje niedołęstwo możemy się spóźnić.

Chcąc nie chcąc musiał jednak spełnić prośbę przyjaciela; zmienił więc znowu nachylenie skrzydeł i wnet szybkość jego samolotu zmalała znacznie.

Była godzina szósta, kiedy nasi aeronauci, po całodziennym prawie pobycie w powietrzu, ujrzeli przed sobą wyniosłości bałkańskie. Pogoda aż dotąd dopisywała im stale, teraz jednak na zachodniej stronie horyzontu poczęły się gromadzić groźne czarne chmury, zwiastuny nadchodzącej od Atlantyku burzy.

Rośnicki nie zwracał jednak uwagi na te zmiany w atmosferze, postanowił bądź co bądź dotrzeć do celu podróży przed zachodem słońca i puszczał mimo uszu przestrogi zaniepokojonego Wiesława.

— Jeszcze mamy dość czasu—powtarzał, spoglądając na pogodne przy zenicie niebo. — Kiedy wybuchnie zapowiedziana nawałnica, będziemy już w Konstantynopolu. Lećmy tylko trochę prędzej.

Teraz Zielski pomimo woli musiał ustąpić przyjacielowi, jakkolwiek niepokój jego wzrastał.

Do godziny siódmej żeglowali pomyślnie ponad wznoszącymi się coraz wyżej szczytami północnych odgałęzień Bałkanów, w dziesięć minut później jednak wiatr zaczął nagle słabnąć.

— Oho, podróż nasza kończy się—zawołał Wiesław—spuśćmy się.

— Jeszcze nie — odparł Rośnicki — możemy to zrobić w każdej chwili, nie utkniemy przecie w tych pustkowiach. O kwadrans drogi stąd znajduje się

stacya kolei elektrycznej, musimy koniecznie dostać się do niej przed burzą.

Rzekłszy to, Zbigniew poleciał jak strzała, nie oglądając się za przyjacielem, który rad nie rad podążał za nim.

Stacya drogi elektrycznej południowej majaczyła już w dali na dnie głębokiej doliny, otoczonej stromemi wyniosłościami.

Naszych żeglarzy dzieliła od tego punktu przestrzeń dwudziestu zaledwie kilometrów, które można było przelecieć w dziesięć minut. Wiesław uspokoił się trochę i starał się doścignąć towarzysza, który go wyprzedził o kilkaset metrów.

Nagle jednak uczuł, iż zupełna cisza zapanowała w atmosferze, samolot nie podtrzymywany wiatrem zaczął się ześlizgiwać pod kątem pięciu stopni ku ziemi, wprost na ostre wierzchołki skał, otaczających dolinę.

Zielski, wyteżywszy wzrok starał się wypatrzyć najdogodniejszy punkt do wylądowania. Uwagę jego zwróciła łagodnie pochylona ściana, która dosięgała samego dna doliny, przeciętej wzdłuż linią kolei.

Wiesław pociągnął więc zlekka za sznurek od steru i zmieniwszy kierunek, zaczął lecieć na południ-zachód.

Zaledwie wykonał ten manewr, gdy z chmur wypadła pierwsza błyskawica; wnet potem straszliwy łoskot gromu rozległ się nieskończonem echem w górach, duże krople deszczu poczęły uderzać w rozpostarte skrzydła samolotu.

Burza nadchodziła wśród majestatycznego spokoju w atmosferze.

Zielski w półmroku szukał oczyma towarzysza; po kilku chwilach znalazł go na tle białawej, złowrogo odbijającej od czarnego nieba chmury... Rośnicki jednak, zamiast płynąć spokojnie, młynkował w powietrzu, spadając w próżnię jak ptak, rażony nagłym postrzałem.

Głuchy, szatański poświst, zamiatający szczyty skał, dobiegł do uszu Wiesława i wstrząsnął boleśnie jego sercem. Nasz żeglarz zrozumiał wszystko: To orkan zaczynał hulać. Pierwszy jego podmuch, uderzwszy z nienacka, z boku, w samolot Rośnickiego, wyprowadził go z równowagi i strącił w otchłań.

Na ten widok, Zielski wydał głośny, pełen rozpaczny okrzyk, który jednak rozplynał się i zginął wśród ryku piorunów.

Jeszcze sekunda śmiertelnego oczekiwania i huragan dosięgnął z kolei drugiego śmiałka, zakręcił nim w przestrzeni jak źdźbłem słomy i zepchnął w próżnię, wprost na ostre wierzchołki skał, oświetlane co chwila czerwonym światłem potężnych błyskawic.

W przesyconym elektrycznością powietrzu rozległ się drugi, przejmujący krzyk, ale szum burzy zagłuszył go znowu.

.
O godzinie ósmej wieczór, ponad Konstantynopolem zajaśniała wspaniała zorza elektryczna, oświetlając go dokładnie od końca do końca. W powodzi tych łagodnych, spokojnych promieni, walczących o lepsze ze światłem wschodzącego księżyca, rysowa-



Orkan, uderzywszy w samolot Rośnickiego, strącił go w otchłań.

ły się delikatnie, na pionowym tle niebios, kontury olbrzymiego gmachu Wschodniej Akademii Nauk, ku któremu ze wszystkich stron zlatywały roje aeroplanów i samolotów—(niby pszczoły do ula)... Kryształowe ściany budynku błyszcząły jak kolosalne diamenty od wielkich żarzących aż biało kul, które oświetlały jego wnętrze. W głównej sali zgromadzał się powoli międzynarodowy kongres botaników, uczeni zajmowali w milczeniu miejsca, oczekując niecierpliwie zagajenia rozpraw.

Wszyscy obecni z ciekawością spoglądali na długi stół marmurowy, zastawiony tajemniczymi maszynami i przyrządami naukowymi.

Punkt o ósmej ukazał się prezes i wśród grzmiących oklasków zaczął czytać listę uczonych, którzy obiecali złożyć referaty, lub wykonać zapowiedziane w programie doświadczenia.

— Pan Hamifan: Nowe gatunki sztucznych bakteryi.

— Jestem.

— Pan Tisato: Doświadczenia biologiczne.

— Tutaj.

— Pan Zbigniew Rośnicki: Referat o pierwotnych formach roślinnych.

Tym razem nikt nie odpowiedział.

Zebrani oglądali się dokoła, lecz daremnie szukali pomiędzy sobą wymienionego.

— Rośnicki! — powtórzył prezes — czy pan Rośnicki znajduje się tutaj?

W tej chwili człowiek jakiś wpadł gwałtownie do sali.

— Jestem!—zawołał

Tuż za nim ukazał się Wiesław Zielski i obaj zajęli w milczeniu najbliższe krzesła.

Obecni patrzyli ze zdziwieniem na ich zmoczone, zabłocone i podarte ubranie, na ślady krwi na twarzach, nie mogąc pojąć, co to wszystko znaczy.

— Cóż to, panowie, czy wam się przytrafił jaki wypadek?—zagadnął ich jeden z sąsiadów.

— Och, maleńka przygoda—odparł Rośnicki; — burza złapała nas podczas żeglugi na samolotach i spadliśmy w jezioro.

— To całe nasze szczęście—dodał Zielski—gdyż inaczej roztrzaskalibyśmy czaszki o skały bałkańskie.

— I nie zdążylibyśmy na kongres kolejną elektryczną—dokończył Zbigniew, uśmiechając się.

Wł. Umiński.



PODANIE O KRÓLEWICZU INDYJSKIM.

Był król i królowa; on mężny i bogaty, ona piękna i dobra; mieli syna bardzo zacnego i rozumnego; gdy doszedł lat męskich, ożeniono go z piękną i dobrą księżniczką, którą szczerze pokochał i szanował. Zdawałoby się, że mając tak pomyślne życie, powinienby nasz królewicz być wesołym i szczęśliwym; a jednak nim nie był; od dzieciństwa trapiły go smutne myśli: zdawało mu się, że na świecie więcej jest złego niż dobrego, więcej smutku niż radości, że jednym słowem żyć nie warto, lecz lepiej myśleć o tem, jaksię pozbyć wszystkich tych zgryzot i cierpień, które przynosi życie.

Razu pewnego wyjechał on z licznym orszakiem za miasto, zmierzając ku pięknemu ogrodowi, w którym, dzieckiem będąc, bawił się często; przejechawszy wschodnią bramę miejską, jechał wielką drogą i ujrzał staruszkę, ledwie idącego, tak go starość przygniatała: na całym ciele jego widać było naprężone

żyły i mięśnie, zęby miał popsute i chwiejące się; twarz i czoło pokrywały zmarszczki; łysy był, wywędły, strasznie zgarbiony, na kiju oparty, ledwo mógł mówić, a głos jego chrapliwy był i niewyraźny, trząśł się cały i stękał.

— Co to za istota? — spytał królewicz swego woźnicę.—Jakieś skurczone, bezsilne stworzenie; krew jego i mięso zeschły, ciało przyrosło do skóry, głowa obnażona, zęby spróchniałe; kij go zaledwie na nogach podtrzymuje; co krok się potyka i chwieje. Powiedz mi, co to za nędzna istota?

— Najjaśniejszy królewiczu,—odpowiedział woźnica, — to starzec; cierpienia go udręczają, siły mu wypowiedziały posłuszeństwo; rodzina go znać nie chce, bo już pracować nie może.

— Czy to ta jedna rodzina, czy wszystkie do takiego stanu starców swoich doprowadzają? — spytał znowu królewicz.

— Panie, wszystkich ludzi to spotyka—odrzekł woźnica;—ale nie tylko z ludźmi, lecz w całym przyrodzeniu tak samo się dzieje: młodość ulega starości; przebacz, co powiem, jasny królewiczu, ale i ojciec twój i matka i wszyscy krewni dożyć muszą takiego losu; starość oczekuje każdego człowieka, każde stworzenie na świecie.

— Więc to takie jest życie!—zawołał smutny królewicz;—dopóki się jest młodym, ani się myśli o starości, a potem nadchodzi ona, nieubłagana, konieczna! Mój bracie—rzekł do woźnicy—zawracaj do domu. Ja, co mam wkrótce zostać ofiarą starości, miałbym myśleć o zabawach i rozrywkach?

Wrócił do pałacu i cały dzień był smutny i zamysłony.

Wkrótce potem znowu wyjechał królewicz nasz na przejażdżkę, z licznym orszakiem dworzan, tym razem już bramą południową. Odjechawszy kawał, spostrzegł leżącego na drodze chorego człowieka; gorączka go paliła, ciało miał wychudłe i czerniałe, był sam bez dozoru i przytułku, oddychał z trudnością, sapał i zdawał się być przejęty obawą boleści i śmierci.

Królewicz znowu spytał woźnicę, coby miał znaczyć tak okropny stan biednego człowieka. Woźnica mu wytłomaczył, że to jest ciężka choroba i że na nią narażony jest każdy człowiek, stary i młody, a nawet każda istota na świecie.

— Więc zdrowie jest prózną igraszką,—zawołał królewicz, — a obawa bólu i śmierci w tak strasznej objawia się postaci! Któż z ludzi rozsądnych, zobaczywszy, co ja widziałem, pomyśleć odtąd zdoła o przyjemnościach lub radości? Mój bracie,—rzekł do woźnicy, — zawracaj do domu!

Raz jeszcze potem, bramą zachodnią, wyjechał królewicz z orszakiem za miasto. Ujrzał na drodze nieboszczyka, leżącego na marach, przykrytego płachtą. Garstka krewnych, płacząc i zawodząc, włosy sobie z głowy wydzierając, proch na nią sypiąc i bijąc się w piersi, kupiła się około zmarłego. Królewicz, nie wiedząc co to znaczy, spytał znowu woźnicę, co się tu dzieje; a dowiedziawszy się odeń, że to tak oplakują zmarłego, wykrzyknął:

— O, biada młodości, którą starość oszpeci; biada zdrowiu, na które tyle chorób czyha; biada życiu

ludzkiemu, które tak szybko mija! O, gdybyż nie było ani starości, ani chorób, ani śmierci! O gdyby można było i starość i choroby i śmierć na zawsze poskromić! Mój bracie—rzekł do woźnicy—zawracaj do domu! Trzeba myśleć o wyzwoleniu człowieka z niedoli!

I czwarty raz, raz ostatni, wyjechał nasz królewicz za miasto, szukając rozrywki, tym razem przez bramę północną. Spotkał na drodze człowieka, ubogo ubranego, mającego pozór żebraka, ale o wyrazie twarzy spokojnym, pełnym godności i zamyslenia, z oczami spuszczone, z miseczką żebraczą w ręku.

— Kto to jest?—spytał woźnicę.

-- Panie —odpowiedział spytany — jest to człowiek z rzędu tak zwanych *bhiksżów*. Ci bhiksżowie wyrzekają się wszelkich pragnień i chęci, prowadzą życie surowe, starają się zupełnie zapanować nad sobą; są to mnisi-żebracy.

— Takie życie to mi się podoba! — zawołał królewicz.—Mędrzec zawsze doradza wyrzeczenie się świata i jego rozkoszy. Poszukam i ja w niem mojego i innych szczęścia. Mój bracie, zawracaj do domu. Dostyc tej walki, trzeba raz jej koniec położyć.

Po powrocie do pałacu, królewicz oznajmił ojcu i małżonce swojej, że postanowił wyjechać, wyrzec się rodziny, państwa i wszystkich marności świata, że odda się rozmyślaniu nad uszczęśliwieniem ludzi i będzie ich potem nawracał do swej wiary. Żona zrozumiała stan duszy jego i choć ze łzami, zgodziła się na rozstanie. Ojciec nie mógł się pogodzić z myślą, że stracić ma ukochanego syna, więc rozkazał pilnować

pałacu i nie wypuszczać królewicza, gdyby chciał uciekać.

Ale nic to nie pomogło. Tej nocy jeszcze, zabrawszy z sobą jednego sługę i wiernego konia, niepostrzeżony przez straż, wymknął się nasz królewicz z pałacu i miasta i w świat daleki powędrował...

Odjechawszy tak daleko, że się już nie obawiał pogoni, zdjął szaty królewskie, oddał je wraz z koniem słudze, kazał wrócić do króla i pożegnawszy go, poszedł dalej w świat, szukając nauki i pociechy.

Przyłączył się naprzód, jako uczeń, do pewnego sławnego bramina, czyli kapłana indyjskiego. Kilka lat cierpliwie słuchał nauk jego; ale nie dosyć mu było tego; poszedł do drugiego, jeszcze sławniejszego z mądrości bramina, który miał siedmuset uczniów; i u tego kilka lat uczył się i rozmyślał; ale i teraz jeszcze nie czuł się dość rozumnym. Opuścił tedy towarzystwo ludzkie, osiadł jako pustelnik niedaleko pewnej wioski i tam na rozmyślaniu spędził kilka lat jeszcze.

Nareszcie, przekonany że już dosyć umie, aby innych nauczać, wrócił znowu do ludzi i zaczął do nich przemawiać, nawracając do swego sposobu myślenia. Poszło mu bardzo szczęśliwie. W krótkim czasie przyłączyło się doń mnóstwo ludzi, uczniów i wyznawców. Byli w ich rzędzie nawet królowie. Całe okolice, całe państwa wiarę jego przyjęły. Mówią, że po latach kilkunastu, wrócił do miasta rodzinnego, zastał ojca i żonę przy życiu. Małżonka jego, Gopa, tak się przejęła nową nauką, że została jedną z najgorliwszych jego uczennic, których miał bardzo wiele, bo i kobiety

ej nauki przypuszczał. Żył długo i szczęśliwie. I, mając lat przeszło siedmdziesiąt.

Niara, której nauczał, nie zgasła z nim razem. Właściwie, tysiące lat i dzisiaj wyznaje ją około czterysta milionów ludzi, zamieszkujących południową część Azji.

* * *

Królewicz ten indyjski, to sławny *Buddha*, założyciel religii, nazwanej od niego buddyjską. Opowiadałem setną tylko część podań, które o nim w Indiach opowiadają.

Czy istniał Buddha? Czy też podania wymyśliły osobę jego i otoczyły ją całym splotem bajek i legend? Różni uczeni różnie na to pytanie odpowiadają.

Jedni mówią, że ani taki Buddha, jakim go leżą wyobrażają, buddyjskie mieć chcą, ani żaden inny nie istniał; zaś twierdzą, że był jakiś człowiek. Wasty wojskowy, którego potem Buddhą, czyli „oświeconym“ lub „natchnionym“ nazwano, a który żył w Indiach, stał się założycielem od niego nazwanej religii i umarł w roku 543 przed erą naszą. Jakkolwiekby to było, rzecz jest pewna, że w szóstym wieku przed naszą erą w Indiach pojawiła się nowa wiara, nazwana później buddyjską i że istnieć przecież musiał ktoś, co nową naukę wymyślił.

Nie wchodząc w rozbiór pytania, kto to był, jak nazywał i kiedy żył mianowicie, zastanówmy się krótko nad tem, czego ta nowa religia nauczała i czego takie miała powodzenie.

Przed pojawieniem się jej, panowała w Indii religia bramińska. Nakazywała ona wierzyć w licznych bogów i duchów; wkładała na wyznawców spełnianie mnóstwa obowiązków i obrządków; uświęcała przytem taki stan społeczny, że ludzie dzielili się na liczne klasy, czyli *kasty*: braminów, wojowników, koczowniców i wiele innych. Prócz tego nakazywała wierzyć w wędrówkę dusz, czyli z grecka tak zwaną *metempsychozę*, to jest, że dusza po śmierci nie tylko może wcielić się w człowieka, lecz każdej istoty żyjącej, przechodzić musi w inne jestestwo, aż do zupełnego oczyszczenia, a wtedy dopiero wracała tam, skąd była poszła, to jest do *brahmy*, do boga najwyższego, oświeczonego ducha powszechnego i z nim na wieki się zlewała. Ci wyznawcę braminizmu trapiła na każdym kroku troska, aby dusza jego po śmierci nie weszła w inną jałową istotę. A że człowiek skrępowany był mnóstwem przepisów i obrzędów, więc najmniejsze ich przekroczenie nabawiało go strachu, że po śmierci duch jego przędzie za karę w jakie zwierzę, roślinę, w kamień, w kawałek drewna, albo też, w najlepszym razie, w człowieka niższego stanu i że doznawać będzie wszelkich przykrości, cierpień i upokorzeń, znoszonych zwykle przez jałową istotę. Nikt nie miał nadziei zostać po śmierci czemś lepszym, niż był za życia; owszem, ponieważ wola ludzka była, jak jest i dzisiaj, słabą, a sposobności do grzeszenia było, jak i dziś jest, bardzo wiele, więc najmniejsze, nawet mimowolne wykroczenie, zagrażało ludzi przejściem po śmierci w konia, osła, koguta, tygrysa, w ptaka lub rybę i tak dalej, dopóki się nie doszło do najniższego ustroju. Potem zaczynało się znowu prze-

dzanie w wyższe twory i tak bez końca, aż kiedyś znowu, po lat tysiącach, najłżejsze przekroczenie jakiegoś drobnego przepisu religijnego mogło powtórnie strącić biedną duszę wędrowną na najniższy szczebel w stworzeniu.

Buddyzm przynosił zrozpaczonym tą obawą ludziom niespodziewaną pociechę. Mówił on człowiekowi: odkryłem drogę wyzwolenia dla wszystkich, dręczonych obawą nieskończonej metempsychozy; jeżeli chcecie nie odrodzić się po śmierci, bądźcie dobrymi, miłosiernymi, łagodnymi; wszystkie grzechy pochodzą z pragnień naszych, więc nie pragnijcie niczego: niech was świat niczem nie nęci. Wyrzekajcie się go, usuwajcie od niego, znoście wszystko cierpliwie, nikomu nie zadawajcie ani bólu, ani cierpienia; a nadewszystko, nie pragnijcie niczego, ani bogactwa, ani sławy, ani miłości, ani panowania; rozmyślajcie, gotujcie się do śmierci. Jeżeli tylko usłuchacie mnie, możecie być pewni, że dusza po śmierci zgaśnie, jak świeca zdmuchnięta, zniknie, jak dym rozwiany, jak dźwięk przebrzmiały: nastąpi *zwianie* jej, czyli po indyjsku *nirwana*, a z nią koniec obaw odrodzenia się w niższej jakiejś istocie, koniec wszystkiego, wieczny odpoczynek. Cel ten, mówili buddyści, jest najwyższym dla człowieka. Spełnianie obrzędów bramińskich niczem jest, w porównaniu z dążeniem do nirwany. Wolno nie spełniać żadnych obrzędów, wolno nie modlić się do bogów, nawet w nich nie wierzyć, byle tylko być cichym, beznamiętnym, bez chęci i pragnień, łagodnym, rozmyślającym, pokornym, przebaczącym urazy, niezazdrośnym, dobroczyнным, kochającym

wszystkie istoty, nawet nie ludzkie, bo i w nich może pokutować dusza człowieka. Każdy człowiek, bez różnicy kasty, płci i narodu, może ku temu celowi zmierzać, tak mówili dalej buddyści; a to ogromne miało znaczenie, bo dopuszczało do wyzwolenia wszystkich, wszystkich bez wyjątku ludzi, czyniąc ich zupełnie równymi w obec życia, cnoty, śmierci i nirwany.

Otóż widzimy, dla czego buddyzm tak ogromne powodzenie znalazł w świecie azyatyckim, a szczególnie w Indjach, skąd później rozszerzył się po wschodnim półwyspie indyjskim, Tybecie, Chinach, Syberyi i t. d. Milionom ludzi, utrapionym straszną nierównością za życia i strasniejszą od niej obawą nieskończonej wędrówki po śmierci, obiecywał on równość na tym świecie, a wyzwolenie od dalszego istnienia po śmierci. Nie dziwny się więc, że dziś jeszcze setki milionów ludzi czczą Buddę, jako oswobodziciela ludzkości. Przypisywana jemu nauka była w swoim czasie i jest dla wielu ludzi dzisiaj jeszcze pociechą i promieniem nadziei, a więc prawdziwym dobrodziejstwem.

Fan Karłowicz.



❧ B E Z. ❧

Zadudniło na ciemnych, krętych schodkach, nizkie sutereniane drzwi skrzypnęły pchnięte niecierpliwą ręką—i na progu izdebki, w półmroku, dysząc szybko, stanął Felek. Stanął jak wryty, bo przeraził się swym pośpiechem i hałasem, jakiego narobił wpadając tak znienacka i przestraszony wzrok utkwiał w głębi izdebki, gdzie na starym trzciniowym fotelu, z nogami na stołeczku, otulonemi wyblakłą długim użytkowaniem, niebieską kołdrą siedziała chora. Jasna smuga światła, wdzierając się tu przez małe okienko jakby ukradkiem, padała wprost na spuszczoną na piersi lnianą jej główkę, zdobiąc aureolą złotych małych włosków woskowo bladą twarzyczkę; pod oczami długa cboroba naznaczyła jej sine podkowy, jeszcze ciemniejsze w tej chwili od ciemnych rzęs spuszczonych; piersią poruszał miarowy oddech—spała.

Chłopak postać chwilę, obejmując wzrokiem to wszystko, a potem cicho drzwi zamknął, zdjął czapkę,

przystawił sobie z kąta drewniany stółek i usiadł naprzeciw niej. Na razie nie kontent był z takiego obrotu rzeczy. Wolalby był zastać ją nieśpiącą, porozmawiać trochę, rozruszać ją i rozweselić, a wiele czasu przecież na to nie miał. Silił się zwykle na koncepta i żarciki, ażeby choć na chwilę wywołać uśmiech na zastygłej cierpieniem jej twarzyczce, i czasem mu się to nawet udawało. Ale potem przyszło mu na myśl, że sen może jej przynosić pokrzepienie i siły, których jej tak bardzo potrzeba, że wreszcie i sam pan doktor, ten młody student z trzeciego piętra, który ją leczył, zalecił snu jak najwięcej; więc dobrze, że teraz zasnęła, a ponieważ on ma całą godzinę prawie wolną, więc posiedzi sobie i poczeka, aż się przebudzi.

Tak rozmyślając, znużonym ruchem skurczył się na taborecie, wspierając łokcie na kolanach, a w dłoniach twarz i patrząc na śpiącą siostrę, zadumał się. Jak ją jednak podcięła ta choroba, jak pochłonęła!... Wygląda teraz na jakie lat trzynaście conajwyżej, twarz blada, wychudzona, a te ręce, co trzyma na kolanach prawie przezroczyste—tak bezkrwiste—to same kostki.

A to przecie czas leci i będzie już pewno z dziesięć lat, jak umarł ojciec, a z pięć jak pochowano matkę.

Mieli wtedy chyba po jedenastym roku, bo w jednym dniu przyszli na świat oboje, i od tego też czasu rozpoczęli walkę z życiem i poszli drogą po świecie o swoich siłach. No i jakoś dotychczas Bóg im dopomagał i dobrzy ludzie. Staszkę wyuczyła jedna pani

haftu na bieliźnie i dziś jest już w jej magazynie jedną z płatnych pracownic, może najzdolniejszych, a on, Felek zaczął od chłopca do najniższych posług przy sklepie, a dziś bierze już dwanaście rubli miesięcznie, a pan buchalter, poczciwy staruszek, w wolnych chwilach poducza go buchalteryi i mówi, że ma tęgą głowę. Tylko ta choroba Staszki, co ją pochwyciła w środku zimy, zamieszała wszystko i zachwiała najpiękniejsze ich plany. Wątpła z natury dziewczyna musiała się przeziębic na mrozie, biegnąc rano czy wieczór do magazynu i straszne zapalenie płuc położyło ją do łóżka na kilka miesięcy. Co to za okropne chwile były dla niego podczas tej choroby!...

Dziś jeszcze, choć już przecież oddawna jest wiele lepiej, prawie że dobrze, przejmuje go dreszcz na to wspomnienie, a do gardła ciśnie się łkanie. Ma ją jedną jedyną na tym szerokim świecie, tę swoją Staszkę, cóż więc dziwnego, że kocha ją całym uczuciem takim, jakie inni podzielić muszą na całą rodzinę. Miesiąc cały spędził przy jej łóżku, pozostawiwszy w sklepie swego zastępcę, miesiąc co rano chwytał rozpalone jej ręce i zaglądał w szklane źrenice, żeby się przekonać, czy żyje jeszcze, czy mu jej Bóg nie zabrał, jak zabrał po jednym ojca i matkę... A matka, konając, powiedziała mu przecież: „Pamiętaj Felku, że ciężki obowiązek wkłada na ciebie Bóg i ja... to Staszka!...” Chciała mówić więcej biedna, ale już sił jej zbrakło. Chciała może nakazać mu ją miłować i wychować i opiekować się nią zawsze, boć on przecie choć równy wiekiem, ale mężczyzna,—lecz ostatni dreszcz śmierci przeciął jej słowa. On i bez tego wie o tem. Wyczy-

tał te niedopowiedziane słowa na zastygłych, sinych już ustach i poprzysiągł sobie wtedy obietnicy docho-
 wać. No, i dotrzymuje jakoś bez trudu. Zastępuje jej
 ojca, opiekuna, dorosłego brata na każdym kroku,
 a ona znów jest mu słodką, kochającą mateczką, dba-
 łą o niego w najdrobniejszych szczegółach, jak ta pierw-
 sza. Ale oto teraz, nagły przewrót nastąpił w ich ży-
 ciu, straszny przewrót... Był już czas, że urządzili
 się w swym maluchnem gospodarstwie tak rządnie, iż
 szczupłe ich dochody razem wzięte wystarczały im na
 utrzymanie, a czasem, czasem przy święcie i na jaką
 małą przyjemność nawet!... a dziś?... Długów już spo-
 ro narosło przez tę chorobę: i w aptece coś i w sklepiku
 i pani Marcinowej za dwa miesiące mieszkania, a ra-
 czej za ten kącik, który odnajmowali w jej izdebce,
 oddzielony starym parawanem, z którego jednej stro-
 ny spała Staszka, a z drugiej—on. Ale całe szczęście,
 że pani Marcinowa jest poczciwą kobietą: pranie, któ-
 rem się zajmuje po domach, przynosi jej jaki taki ka-
 walek chleba, więc na pieniądze obiecała Felkowi za-
 czekać. Tamtych tylko trzeba spłacić co najprędzej,
 bo sklepiczarka dopomina się jak go tylko zobaczy
 przechodzącego ulicą, a w aptecę krępuje go to, że
 mu tak zawierzyli na słowo i chciałby jaknajprędzej
 podziękować im za to i dowieść, że się na nim nie za-
 wiedli. A tu tymczasem i dla Staszki potrzeba wciąż
 różnych rzeczy: trzeba mięsa na rosół przynajmniej co
 parę dni i mleka i o winie coś wspominał ten pan stu-
 dent. Ale o winie nie ma co myśleć. Niepodobna
 mieć na takie zbytki, może też Bóg pozwoli, że powie-
 trze, nadchodząca wiosna i ciepło, siły jej bez tego po-

wracając... Żeby tylko to ciepło i ta wiosna prędyj na-
deszła. . Albo jaka ona teraz dziecinna się zrobiła ta
Staszka: tak, jakby choroba odjęła jej pamięć i rozsą-
dek, wypytuje się teraz o rozmaite rzeczy i miewa za-
chcienia, któremi wprowadza go czasami w prawdzi-
wy kłopot. Marzy o tem naprzykład, żeby już była
wiosna, a z nią ciepło, słowiki, słońce, zieleń i kwiaty
i żeby ona spacerowała pośród tego, jak zaklęta króle-
wna... Każdy promień jaśniejszy słońca wprowadza
ją w radość szaloną. Z uśmiechem na swych bladych
ustach odsuwa wtedy coprędyj stojące na framudze
okienka doniczki fuksyi, myrtu i pelargonii i jak małe
dziecko woła: „O, słońce, słońce! To już zaraz bę-
dzie wiosna—będzie bez kwit!..“ A ten bez tak wlaźł
jej w głowę, że nie było dnia jednego, by o nim nie
myślała. To zdawało się jej, że czuje jego zapach
przez okienko sutereny, to się jej śnił taki cudny, peł-
ny, liliowy, pokrywający całe krzaki, niby jeden bu-
kiet—to zdawało jej się, że widzi zdaleka, jak ktoś go
niesie całymi pękami. Codzień pytała Felka, czy nie
rozkwitł jeszcze po skwerach? czy prędyk rozkwitnie?...
a on, widząc jak bardzo zależy jej na tem, obiecywał:
„O już tylko patrzeć—kilka dni cieplejszych i słone-
cznych, a popękają listeczki i zakwitnie!.. Tymczasem
był to dopiero koniec kwietnia chmurnego i chłodne-
go; zieloność rozwijała się jeszcze wolniej niż zwykle
i na 'bzie zaledwie że gałązki pękać poczęły. Miał
nadzieję, że rozkwitnie zanim ona wstać będzie mogła
i wyjść z nim na ulicę, ale tymczasem wstyd mu było
już i przykro tak wciąż ją zwodzić. Kiedyś miał już
nawet szaloną myśl, której mu teraz wstyd doprawdy.

Bo jak też to można takiemu biednemu jak on, który zaledwie ma co w usta włożyć sobie i siostrze, mieć podobne myśli. Kiedyś, gdy tak marzyła o tym bzie przy nim, wzięła go taka ochota kupić jej chociaż nieduży pęczek ze sklepu ogrodniczego, że aż wszedł do jednego i zapytał się, co kosztuje. Zaceniono mu rubla za trzy małe gałązki, nikłe, bezbarwne i wybujałe widać w cieplarni; uklonił się więc, przeprosił i wyszedł. Teraz sobie przypomina, że jednak zapach miały ładny, taki łagodny, delikatny — zapach pierwszego bzu na wiosnę. Ale cóż kiedy tak drogo, tak szalenie drogo, przecież...

Byłby dumał tak dalej pewno, ale śpiąca poruszyła się nagle, zwolna otworzyła jasne duże oczy i spojrzawszy na niego, uśmiechnęła się.

— To ty Felku, skąd się tu wzięłeś? — zapytała słabym jeszcze głosem.

Zerwał się, objął ją za szyję i z czułością dziecka a zarazem powagą starszego opiekuna, pocałował ją w czoło.

— Ja, Stachno, siedzę tu już z pół godziny i czekam, kiedy się obudzisz. Czy ci dziś lepiej, co?..

Badawczo, z niepokojem i radością patrzył w jej modre oczy, chcąc w nich wyczytać dobrą wróżbę o jej zdrowiu, którego pragnął tak gorąco.

— O lepiej, zdaje mi się nawet, że mam tyle, tyle sił, że mogłabym już wstać i wybiedz na dwór.— Ach tak, na dwór, bo patrz—ciągnęła wolno, zwracając głowę ku oknu — jest przecież słońce i ciepło już być musi, prawda?

— Prawda Stachno, jest coraz cieplej—ale ty

jeszcze tak prędko nie wstaniesz, dopiero jak pan doktor pozwoli, to sobie razem wyjdziemy kiedy, w święto albo niedzielę i pójdziemy na spacer do Łazienek. Zresztą nie masz co spieszyć—dodał, pragnąc jej jak małemu dziecku osłodzić czemś odmowę,—jest jeszcze wilgoć, mokro i jak słońce się skryje za chmury, to zimno.

— Zimno?..—powtórzyła smutno, zimno.. A mówiłeś, że już są kwiaty...

— Mówiłem, że będą niedługo pewno, ale ich jeszcze niema. Zaczekaj, zanim wstaniesz i wyjdiesz będą już niezawodnie.

Objęła go za szyję i tuląc głowę do jego ramienia, mówiła:

— Ale przecież ty mnie nie zwodzisz, Felku... wszak tam gdzieniegdzie można już spotkać fiołki, a na bzowych krzakach musi już bez rozkwitać. Nie mówię wcale dlatego, żebyś mi go zaraz przynosił, bo wiem, że nie lubisz szkody robić nikomu; ale jakbyś tak czasem, przechodząc koło jakiego skweru, zobaczył jaką gałązeczkę rozkwitającą, małą, maluchną, przy samej ziemi, to mi ją urwij... dobrze Felku?.. mój złoty, przynieś...

Felek w milczeniu patrzył na twarz siostry, rozjaśniającą się przy tych słowach i uśmiechniętą. Za ten uśmiech, teraz, kiedy niedawno mógł być tak łatwo ją utracić, dałby całe swoje serce, a że nie mógł dać nawet takiej rzeczy, jak kwiatek, więc zrobiło mu się przykro bardzo.

— I cóż byś ty zrobiła z tym bzem, gdybyś go miała?—spytał.

— Co bym zrobiła? O, mój Boże! Wstawiłabym go sobie w garnuszek z wodą i postawiła na krzeselku przy łóżku. Jakbym nie spała, tobym sobie oczami szukała w nim szczęścia z pięciu listeczków, a jakbym spała, toby mi tak cudnie pachniał, że śniłoby mi się pewnie, że jestem jaką wróżką albo królewną.

Spojrzała mu w oczy z radością dziecka, a on, wdzięczny jej za tę radość, odgarnął jasne włosy z nad czoła i czując się tak wiele starszym od niej w tej chwili i poważniejszym, szepnął:

— Oj, ty dziecko, dziecko!

A jej się tak podobał ten tytuł od niego i tak jej dobrze było w tej chwili, czując się jeszcze tak słabą i bezsilną, pomyśleć sobie, że jest dzieckiem, iż tem śmieiej przyczepiła się do zachcianki.

— A co, przyniesiesz Staszce bzu, Felku, prawda, przyniesiesz?

— Przyniosę—odparł nagle stanowczo.

— A kiedy?—podchwyciła ciekawie.

— No, a kiedy chcesz?

— Jutro, dobrze?

— Dobrze.

— A widzisz, ty niedobry chłopcze, już jest bez, a ty nie przyniosłeś mi do tego czasu.

— Bo dopiero rozkwita, Stachno. Ale i tak nie myśl, że przyniosę ci dużo, bo rwać przecież nigdzie nie wolno, a mało gdzie jest.

— Dobrze, dobrze, to choć odrobinę.

Byliby rozmawiali dłużej, ale Felkowi przypomniało się, że już czas wrócić do sklepu, a na podwórko przyszła katarynka i zajęła całą uwagę Staszki,

którą teraz wszystko bawiło. Dał jej jeszcze lekarstwo, które zalecił ten poczciwy student z poddasza, co jak dobry duch czuwał nad chorą przez cały czas, poprostu z miłosierdzia, bo płacić by mu przecie nie mogli, — pocałował ją i wyszedł. Na podwórzu dał katarzyniarzowi cztery grosze, prosząc, aby grał długo, kiedy to tak bawiło Staszkę i pobiegł spiesznie. Do sklepu miał parę ulic, jął tedy po drodze rozmyślać.—A więc nie mógł się oprzeć i w końcu uległ. Zwykle tak bywało z jego miękkim sercem, że dobrocią mógł każdy zrobić z nim co mu się podobało. Tak, każdy—cóż dopiero Staszka! Obiecał jej na jutro te kwiaty, a dziś ma wszystkiego kilka złotych w kieszeni. Ale z chwilą, kiedy obiecywał, miał już ułożony cały plan w myśli. Wczoraj jego towarzysz i przyjaciel ze sklepu, znając jego chwilowe położenie, ofiarowywał mu jakiegoś rubla pożyczki. Podziękował na razie, ale jutro go weźmie. Za tydzień—pierwszy, to spłaci i ten dług razem, a pieniądze potrzebne mieć będzie za swoje obiady. Że też mu to wcześniej nie przyszło na myśl!.. Na obiady chodzi codziennie do taniej kuchni i płaci za nie po złotówce, nie przecież prostszego, jak przez ten ostatni tydzień nie chodzić, a pieniądze na nie przeznaczone zebrać dla Staszki na bukiet. Trochę głodu pocierpi to i co, a jaką radość zrobi Staszce, jaką radość!.. I tak ten projekt zajął chłopaka, że cały dzień niemal o nim myślał i w nocy nawet spać dobrze nie mógł, myśląc o przyjemności, jaką sprawi swej chorej.

Drugiego dnia, w porze, w której zwykle szedł na obiad, poszedł do sklepu z kwiatami. Poszedł do

innego, myśląc, że może taniej dostanie, ale zaceniono mu tak samo. Przytem z pewnem zaciekawieniem, które mu przykreść sprawiło spoglądano na chłopca ubranego biednie, który tak się interesował tym bukietem, że widać było, iż to dla niego. Prosił ażeby była gałązka bzu białego, gałązka jasnego lila i trzecia ciemnego perskiego. Zrobiono mu podług życzenia i chciano jeszcze związać wstążeczką, ale wziął bez niej, aby nie wzbudzić w Staszce jakiego podejrzenia. Prosił tylko, aby mu go zawinięto w papier, bo najpierw zdawało mu się, że każdy na ulicy odgadnie jego zamiary i wstydził się ich, a potem żał mu było ulatującej tej nikłej woni, której jak najwięcej chciał zatrzymać dla Staszki.

Przed drzwiami sutereny dopiero, na ciemnych schodkach rozwinął kwiaty i z bijącym sercem otworzył drzwi. Staszka nie spała. Siedziała jak wczoraj na fotelu, o który pani Marcinowa wystarała się dla niej u jakiejś sąsiadki i szczupłymi swymi palcami płotła jeden z jasnych Inianych warkoczy, spadających za poręcz prawie do samej ziemi. Na widok Felka i bzu wydała okrzyk.

— Bez, bez, Felku, jakiś ty dobry, jaki dobry!...

Pochwyciła go za szyję, ale wnet zajęła się oglądaniem bukietu.

— Jaki jeszcze blady, delikatny, widać, że zamało słońca mają jeszcze krzewiny,—mówiła. Ale wiesz — dodała po chwili namysłu—on taki jakiś nikły, wybujały i wątły, zupełnie jak ja teraz po chorobie, prawda, że nie ładny jeszcze... napewno mu zamało słońca...

Felkowi o mało łzy nie zakręciły się w oczach. Pomyślał sobie, że gdyby wiedziała co on kosztuje, nie mówiłaby, że nieładny i dziękowała mu goręcej.

— Ale pachnie ładnie, bardzo ładnie,—ciągnęła wachając.—A tutaj, o patrz, Felku, już w białym znalazłam szczęście. W białym najczęściej szczęście się znajduje, dlaczego to, ciekawam, Ale prawda, dajno wody w jaki garnuszek albo szklankę, trzeba mu przecież dać wody, bo zwiędnie do reszty, a i tak mu się nie wiele należy...

Przyniósł dzbanuszek z wodą, włożyli w niego gałązki i postawili na oknie. Z początku Staszka spoglądała na niego częściej i mówiła jeszcze czasem, że ładnie pachnie, ale kiedy po jakimś czasie zajęli się rozmową o czem innym, zapomniała o nim zupełnie.

— Ale, ale — ozwała się nagle przerywając. — Czyś ty jeszcze nie jadł obiadu, czyś go jadł dzisiaj jakoś wcześniej, co?

Spuścił głowę nisko, ażeby ukryć rumieniec i pomieszanie i niewyraźnie, kłamać bowiem nie umiał:

— Jadłem już—odparł — tylko dziś trochę wcześniej...

— Bo wiesz, mnie dzisiaj od tej bogatej pani z pierwszego piętra, przyniosła pani Marcinowa, która tam dziś pierze, talerz rosółu i kawałek pieczeni z kompotem, a takie to było dobre, że zjadłam z apetytem wszyściuteńko...

Mówiła to dlatego, że wiedziała, że mu opowiadaniem o swym apetycie zrobi przyjemność. I tak było w istocie. Felek podniósł głowę i uradowany ją pochwalil:

— To dobrze, Stachno, to dobrze, trzeba jeść jak najwięcej, to i siły powrócą ci prędko... — A w duszy pomyślał sobie, że będzie się starał częściej dawać jej do jedzenia dobry rosół i pieczeń z kompotem.


A bez cieplarniany, już prawie zwiędły i zapomniany, stał sobie w garnuszku na oknie, pomiędzy ciemną fuksyą i pelargonią, nikły, wybladły, a Stachna o jego szlachetnem pochodzeniu nie dowiedziała się nigdy...

Kiedy po wyzdrowieniu wyszła z Felkiem na ulicę po raz pierwszy, były już w istocie, tak jak on przepowiadał, prawdziwego, barwnego i wonnego bzu skwery i ogrody pełniutkie.

V. Cairo.



Owady i Człowiek.

adna gromada zwierząt bezkręgowych nie jest nam z pewnością tak dobrze znaną z osobistego doświadczenia, jak owady, — z żadną też nie mamy tyle bezpośredniej styczności przez całe życie. Wspomnijmy tylko natrętne muchy, chciwe krwi naszej komary, krzykliwe świerszcze, błyskotliwe motyle, pszczoły, mrówki, koniki polne i chrabąszcze, a będziemy już mieli cały szereg owadów, które spotykamy nieustannie na każdym kroku, — w naszym mieszkaniu, w ogrodzie, na polu i w lesie. Bo też istotnie, nie masz prawie miejsca na ziemi, gdzieby nie było owadów: żyją one w powietrzu i w wodzie, na ziemi i w jej głębi, na skórze i we wnętrznościach zwierząt, na powierzchni i we wnętrzu roślin...

Takie zdumiewające wszędobylstwo owadów warunkuje się kilkoma okolicznościami.

Najpierw są to zwierzęta małe: pszczoła jest już owadem średniej wielkości, chrabąszcz jest dużym,



nasz jelonek jest jednym z największych żuków, gdyż zaledwie parę gatunków podzwrotnikowych (np. Herkules, Tytan) przewyższają go wielkością, a motyle ze skrzydłami tak dużymi, jak ćwiartka papieru, należą do osobliwości krajów gorących. Otóż ta drobność większej części owadów przedewszystkiem ułatwia im wciskanie się i życie we wszelkich zakątkach.

Dalej, posiadają one zdolność żywienia się najróżnorodniejszymi pokarmami: trudno znaleźć taką materię roślinną czy zwierzęcą, świeżą lub zgnilą, któraby nie stanowiła pożądanego przysmaku dla licznych gatunków owadów. Nigdzie też wśród gromad zwierzęcych nie spotykamy takiej różnaitości w budowie i uzbrojeniu ust, służących jednym owadom do gryzienia, innym do ssania, jeszcze innym do lizania lub klucia.

Następnie, ciało owadów, lekkie i zwinne, pokryte, niby pancerzem, mniej więcej twardą skórą, czyni je wysoce odpornymi na nieprzyjazne wpływy zewnętrzne, a potężny przyrząd zmiany miejsca — skrzydła, przy sześciu nogach, tembardziej ułatwiają im warunki życia.

Do tego dodajmy jeszcze względnie niepospolitą siłę tych drobnych istot. Małeńka pchła robi skoki metrowe: gdyby lew, przy swej wielkości, miał siłę stosunkowo równą pchle, każdy skok jego musiałby wynosić wiorstę! Pszczoła, według doświadczeń, może uciągnąć ciężar, przenoszący dwadzieścia razy wagę jej ciała: gdyby miała wielkość konia, pociągnęłaby 60 tysięcy funtów, gdy koń ciągnie zaledwie tysiąc. Przy wznoszeniu się w górę, owad może unieść ciężar sta-

nowiący od $\frac{3}{4}$ do $1\frac{3}{4}$ wagi jego ciała, np. zwyczajna mucha domowa unosi w powietrze ciężar, równający się 1,77 jej wagi. W ogóle, im mniejszym i lżejszym jest owad, tem siła jego względnie jest większą.

Wreszcie, owady odznaczają się nadzwyczajną mnożnością. Jedna mucha wydaje rocznie tysiące potomstwa, rozradzającego się w ciągu lata w miliony osobników. Królowa pszczół sama jedna daje początek kilkudziesięciotysięcznemu rojowi. Chrabąszcze, szarańcze przerażają nas częstokroć swemi chmarami.

Jeśli przypomnimy sobie jeszcze wysoką inteligencją większości owadów, pozwalającą im przystosowywać się do najróżnorodniejszych zmian i okoliczności życia—zrozumiemy, że te drobne i słabe z pozoru istoty obdarzone są w rzeczywistości olbrzymim zapasem sił i środków, zapewniających im przewagę nad wieloma innemi zwierzętami.

Wobec tylu warunków, sprzyjających utrzymaniu bytu owadów, nic dziwnego, że, zajmąwszy sobą całą prawie ziemię, rozrodziły się one w milion przeszło gatunków najrozmaitszej postaci, wielkości, barwy i sposobu życia.

Z taką to niezliczoną rzeszą—wiecznie głodną, nie gardzącą niczem, co tylko może być strawionem, spotyka się oko w oko człowiek... Napastowany przez nie bezpośrednio, od kolebki aż do grobu, a nawet i w grobie, pan stworzenia w obronie własnej musiał wypowiedzieć im, a raczej przyjąć z ich strony walkę. Z nieskończonej ilości objawów tej walki, a właściwie tego stosunku owadów do człowieka, pozwolimy sobie parę przykładów przytoczyć.

Pomijając roje naszych nieproszonych współlokatorów—much, karaluchów, persaków i t. p., przejdźmy odrazu do tych krwiożerczych bandytów, którzy, napastując bolesnemi ukłuciami nas samych i nasze zwierzęta, stanowią prawdziwą plagę wielu okolic ziemi. Pierwsze miejsce pośród nich zajmują liczne gatunki owadów dwuskrzydłych i pluskwiaków: słynne *moskity* i *sankudosy* lasów podzwrotnikowych, *meszki* tundry podbiegunowej, nasze *komary*, *gzy* i *bąki*, *pchły*, *pluskwy* i t. p. pasorzyty.

Opisy podróży po gorących krajach Afryki i Ameryki pełne są narzekań na roje *moskitów*, napastujących o każdej prawie porze dnia i nocy ludzi i zwierzęta. W nocy niepodobna tam obozować bez dymiących ognisk, a podczas snu koniecznem jest szczelne okrywanie ciała siatką gazową.

Niepotrzeba jednak szukać Afryki i Ameryki, — także same roje *komarów* zjawiają się częstokroć w środku lata we Włoszech, Hiszpanii i innych krajach południowej Europy. Nawet u nas, prócz wielu odmian *komara kłującego*, spotykają się w miejscach błotnistych roje maleńkich szarych *meszek*, dających się dobrze we znaki kosiarzom, zbierającym siano, lub myśliwym, brodzącym za ptactwem po błotach.

Na tundrach dalekiej północy podobna *meszka* zmusza stada reniferów do stałych wędrówek nad brzeg morza lub w lasy (tajgi), dla uchronienia się od jej dokuczliwej napaści. A wraz z reniferami muszą, chcąc nie chcąc, wędrówki te odbywać także ludzie tamtejsi, których cały byt zależnym jest od renifera.

Tak więc nędzna meszka północna okazuje poważny wpływ na sposób życia tysięcy ludzi.

Pewna mucha, zwana *tse-tse*, pod tym względem jest jeszcze ciekawszą, nie pozwala bowiem zupełnie na utrzymywanie bydła rogatego, koni i psów w znacznej części wschodniej i środkowej Afryki. „W parę dni po ukąszeniu przez muchę *tse-tse*, — pisze słynny podróżnik Liwingston, —bydlę zaczyna chorować, z oczu i pyska płynie mu obfity śluz, skóra drży, jakby od zimna, podgardle silnie obrzmiewa... Pomimo przyjmowania paszy, biedne zwierzę chudnie z dnia na dzień, mięśnie jego tracą sprężystość, — wreszcie dostaje zawrotu głowy, ślepnie i ginie w skutek zupełnego wyczerpania. Dziwna rzecz, iż ukąszenie tej muchy nie szkodzi wcale kozom, osłom, mułom, a także młodym — ssącym jeszcze cielećtom, dzikim zwierzętom i ludziom... To też koza jest jedynem zwierzęciem domowem wielu ludów, zamieszkujących okolice rzeki Zambezi“...

Wiadomo, że w skutek niemożności użycia w tamtych stronach bydła i koni, utrudnionem też jest badanie wnętrza Afryki i stosunki handlowe z jej mieszkańcami: w drogę wybierać się trzeba wielkimi gromadami, pieszo, niosąc towary i zapasy żywności na plecach.

Nie szukając daleko, i w Europie na Węgrzech i w Siedmiogrodzie, zjawia się od czasu do czasu meszka zwana *komarem golubackim*, która nieraz daje się we znaki tamtejszym mieszkańcom. Napastując woły i świnie, mucha ta włazi im krociami do nosa, oczu i uszu, kłuje bolesnie do krwi, doprowadzając biedne

ofiary do prawdziwej wściekłości: w ucieczce przed tym wrogiem, biegną one naoslep, depcą się wzajemnie, spadają z gór lub wysokich brzegów rzek i giną tysiącami. Tak w r. 1813 dziesiątki tysięcy bydła i świń wyginęły na Węgrzech, dzięki napaściom tego drobnego owada.

Niemniej dokuczliwymi są różne gatunki naszych bąków, ślepców, gzów końskich, wołowych i owczych, spotykają się one jednak rzadko i w małej ilości. Jedne z nich, jak szary z zielonemi oczami *ślepiec*, ssą krew naszych zwierząt domowych, inne np. *bąk wołowy* i *owczy*, składają jajka w ranki, zrobione na skórze bydła, w jamy nosowe i t. p., — wszystkie są postrachem i plagą zwierząt.

W podobny sposób napastuje nie tylko zwierzęta, ale i ludzi, pchła amerykańska, zwana *tungą*. Nakłuwana ona najczęściej skórę za paznogiemi palców u nóg lub pod podeszwami i w zrobioną ranę wsuwa się całym odwłokiem napełnionym jajkami, sprowadzając opuchnięcie, ból nieznośny, a często bolesne wrzody, kończące się odcięciem palca lub stopy. Murzyni brazylijscy, a za nimi i nasi emigranci, z przerażeniem opowiadają o tych pchłach ziemnych i ich dokuczliwości.

Weźmy teraz drugą grupę owadów, stokroć ważniejszą, niż poprzednia, jakkolwiek nie napastującą nas bezpośrednio, — mianowicie rozmaitych *grabieżców chleba powszedniego*, niszczących nam wszelkie zboże, warzywa, owoce; psujących tysiące roślin bądź dzikich, bądź uprawnych, które stanowią główną podstawę bytu milionów ludzi.

Zatrzymywać się długo nad niemi, a tembardziej wyliczać je wszystkie, byłoby niepodobieństwem, należy tutaj bowiem większość owadów ze wszystkich rzędów. Weźmy więc parę tylko gatunków dla przykładu.

Któż nie słyszał o *szarańczy*, tym groźnym wrogu rolnika, na którego pstrych skrzydłach, trapiiony przez niego arab zdaje się czytać wyraźny napis: „kara boża?“ Wylągłszy się miliardami osobników, szarańcza, dopóki nie posiada jeszcze rozwiniętych skrzydeł, rozpoczyna dzieło zniszczenia od rodzinnych okolic, potem posuwa się naprzód, nie dając się zatrzymać niczem i zjadając po drodze zboże, warzywo, drzewa, wszystko co tylko napotka. Gdy wyrosną jej skrzydła, zaczyna dalsze przeloty. Jak czarna chmura leci, zasłaniając sobą słońce na całe godziny, z szelestem, podobnym do padania wielkiego gradu. Biada rolnikowi, na którego pole lub plantację upadnie: głośny chrzęst, jakby tysiąca gryzących koni, oznajmia mu zdaleka o czekającej go klęsce.

Szarańcza pospolitą jest we wszystkich częściach świata, szczególnie w krajach cieplejszych. Do nas zalatuje na szczęście bardzo rzadko, a parę gatunków krajowych, z powodu niewielkiej ich ilości, nie są bynajmniej groźnymi.

Historja od najdawniejszych czasów notuje nam lata napaści szarańczy. Już w Piśmie Św. spotykamy ją, jako ósmą plagę w Egipcie. W starożytnej Grecji prawo nakazywało jej tępienie. W r. 170 przed Chrystusem, chmary szarańczy zniszczyły Kapuę; w r. 181 po Chrystusie północne Włochy i Gal-

lię. W r. 1690 czytamy o ich napadzie na Polskę i Litwę, gdzie, mrąc wskutek deszczów, pokryły ziemię na 4 stopy wysokości. W r. 1780 w Siedmiogrodzie trzeba było przeciw szarańczy przywołać pomocy wojska, które tępiło ją ogniem i wodą...

Afryka środkowa, Algerya, Arabia, Azja mniejsza i Brazylia — oto nieszczęsne krainy, gdzie szarańcza szerzy najczęściej spustoszenia. W roku 1866 Algerya była tak zniszczoną przez szarańczę, że rząd francuski musiał ogłosić publiczną składkę dla niesienia pomocy zrozpaczonym mieszkańcom.

Nie tyle groźnym, co szarańcza, ale często bardzo szkodliwym szczególnie dla pszenicy i żyta, jest małe owad dwuskrzydły, zwany *muchą heską*. Składa ona jajka u podstawy liści naszych zbóż ozimych, tam zimuje i rozwija się, wydając w ciągu roku dwa pokolenia, szkodliwe zarówno dla młodej, jak i dojrzewającej oziminy. U nas mucha heska spotyka się rzadko, bywa jednak w Poznańskim i na Szląsku, a pospolitą jest w Niemczech i Ameryce północnej. Za to nasze zboża cierpią niemało od innych szkodników, mianowicie od różnych drobnych motyli, jak: ogłódki, rolnice, sówki i wiele innych, od niezliczonej ilości pędraków podziemnych chrabąszcza, sprężyka i t. p. żuków.

Ze wszystkich tych szkodników najlepiej znanym i najpospolitszym jest *chrabąszcz*. Wiadomo, że lęg nie się on z jajek, złożonych przez samice w ziemi, potrzebując do zupełnego wyklucia się czterech lat. Przez trzy lata żyje on, jako biały, do dwóch cali dochodzący pędrak, w ziemi, żywiąc się korzonkami

zboż, traw, jarzyn, drzew owocowych lub leśnych. W czwartym roku zamienia się pod ziemią w poczwarkę, potem w żuka — i wychodzi na powierzchnię, aby tutaj dalej szerzyć spustoszenie. Wylęgle w maju chrabąszcze rzucają się na młode soczyste liście drzew owocowych, dębów, grabów, kasztanów i objadają je doszczętnie.

Od kilku lat słyhać u nas w kraju co wiosna narzekania na gromady chrabąszczy; niczem są one jednak w porównaniu z tem, co zdarzało się dawniej. W r. 1686 w pewnej okolicy Irlandyi wysypała się gromada chrabąszczy, podobna do wielkiej chmury, pokrywającej niebo na przestrzeni paru wiorst. Zniszczyły one wówczas wszystką roślinność do tego stopnia, że cała okolica wyglądała, jak w zimie. Gdzie spadły na pola lub drzewa, tam szczęki ich sprawiały chrzęst, podobny do tarcia wielkiej piły, a wieczorem brzęczenie ich skrzydeł rozlegało się, jak daleki odgłos bębna... Nieszczęśliwi Irlandczycy, ogłodzeni przez tych niszczycieli, z rozpaczki łapali wówczas chrabąszcze, piekli je i jedli w braku innego pokarmu, podobnie, jak to robią Arabowie z szarańczą.

Następujący przykład pouczy nas, jak wielką bywa ilość pędraków chrabąszcza w ziemi. W pewnym miejscu przeorano trzykrotnie kawałek pola, mający przeszło pół morga. Idąc za pługiem, zbierano z bruzd pędraki. Otóż za pierwszą orką zebrano ich z każdej z 72 bruzd przeciętnie po 300 sztuk; za drugim razem po 250, za trzecim — jeszcze po 50. Razem wybrano z każdej bruzdy po 600 pędraków, czyli 43,200 z całego półka. Wypadło więc przeszło 80,000 szkodników na jednym morgu pola!

Blizki krewniak chrabąszcza, *żuk zbożowy*, na Ukrainie i Wołyniu nieraz tak znaczne szkody wyrządził, że trzeba było wyznaczyć nagrodę za jego tępienie i całymi powiatami występować z nim do walki.

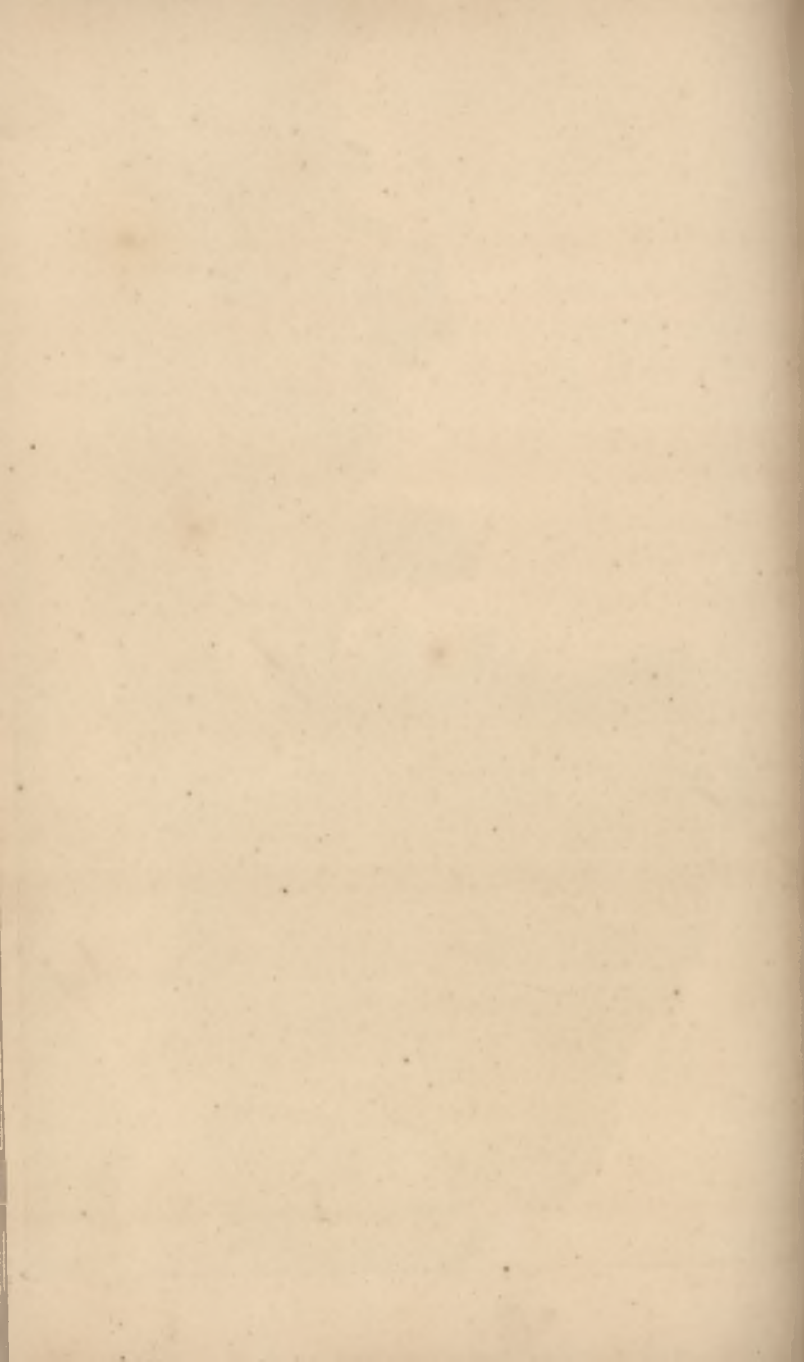
Przed kilkunastu laty stał się słynnym ze spustoszeń, jakie czynił w „chlebie biednych,” t. j. w kartoflach, pewien żuczek amerykański, pokrewny naszym złotkom, mianowicie *chrząszcz kolorado*. Przeniesiono go wypadkiem do Niemiec z Ameryki, gdzie zaczął już dawać się we znaki. Przerażeni rolnicy wzywali wówczas wszystkich do tępienia tego szkodnika: rysowano go i malowano we wszelkich stopniach rozwoju, opisywano szczegółowo, u nas nawet rozsyłano do gmin tablice, przedstawiające tego niszcyciela kartofli. Na szczęście od pewnego czasu o nim nie słychać.

Przenieśmy się teraz z pól do sadów i ogrodów warzywnych i przyjrzyjmy się walce, jaką tam toczą z nami niewinne napozór *motyle, ćmy, drobne żuczki, pluskwy drzewne, mszyce* i tysiące innych. Niemasz prawie liścia na drzewie lub warzywie, niemasz szpary w korze, gdzieby nie gospodarował którykolwiek z tych szkodników. Dość przypomnieć zielone liszki *kapustnika*, objadające doszczętnie kapustę, brukiew i kalafior; — włochate liszki *brudnicy* i *pierścieniówki*, lub szare z brunatnymi wpodłuż pręgami liszki *głogowców*, niszczące liście drzew owocowych; dość spojrzeć na osnute pajęczyną gniazda *moli owocowych*, policzyć opadające przed czasem jabłka, gruszki i śliwki, popsute przez czerwie różnych *ryjkowców*, żeby uprzytomnić sobie ogrom doznawanej przez nas rok rocznie klęski od owadów. A to sam widok przed-

stawiają nasze lasy, toczone przez roje *korników*, *szttycharzy* i t. p. drobnych żuczków, żłobiących sobie korytarze pod korą drzew i wyjadających ich miazgę. Znanym jest fakt uschnięcia w lasach czeskich, w końcu zeszłego stulecia, przeszło miliona świerków, dzięki pożłobieniu ich przez korniki. Podobnie w roku 1837 w lasku Vincennes pod Paryżem trzeba było ściąć 20,000 starych dębów, zniszczonych zupełnie przez liszki pewnego sztycharza. A ileż to najrozmaitszych owadów tępi liście i igły drzew, ich drewno, korzenie kwiaty i owoce?

Ostatni przykład. Jednym z darów natury, stanowiących prawdziwe bogactwo wielu krajów cieplejszych, jest niewątpliwie wino. Francya, Włochy, Hiszpania, Węgry i południowa Słowiańszczyzna, części Niemcy i Czechy, Krym, Kaukaz—oto w samej Europie kraje, których pokaźną rubrykę dochodów stanowi uprawa szczepu winnego. Trzebaż nieszczęścia, że około r. 1865 we Francyi, a potem i w innych krajach, zjawiała się, przeniesiona wypadkiem z Ameryki, małeńka mszyca, która do dziś dnia doprowadza do rozpaczki właścicieli winnic, przeciw której wystąpiła cała falanga uczonych, wydano już miliony rubli: i dotąd nie można znaleźć skutecznej obrony dla ocalenia napastowanego przez nią krzewu winnego. Jest to *winiac* czyli *filoksera*, pokrewna tym brunatnym, do pluskiew podobnym mszycom, które spotykamy często na liściach lub gałęziach oleandrów i kaktusów. Filoksera daje kilka pokoleń, z których bezskrzydłe żyją na korzeniach wina, wysysając jego soki, skrzydlate zaś wychodzą nazewnątrz i w równej mierze





niszczą jego liście. Samica na wiosnę składa do 40 jajek, z których już po tygodniu wylęgają się młode, a te nie dalej jak po 3 tygodniach, składają już własne jajka. W ten sposób z jednej samicy powstają w ciągu roku miliony mszyc, zdolnych ogromny obszar winnic wyniszczyć.

Ciekawym jest zwycięski pochód filoksery przez winnice Francji. Spostrzeżono ją na dobre w r. 1865 w południowej Francji, w departamencie Gard. W roku 1869 rozpostarła się już na winnice Hérault i Bordelais, a w roku 1873 dosięgła Cognac'u w Burgundyi—w kierunku północno-zachodnim. Drugim szlakiem szerzyła się filoksera na północ, doliną Rodanu i Saône'y ku Szampanii. W r. 1879 te dwa isticie tatarskie szlaki złączyły się na północy, i w ten sposób cała winorodna część Francji została zajęta przez straszego wroga. Na 2,400,000 hektarów winnic francuskich 1,500,000 zostały zniszczone przez filokserę, a roczny zbiór wina z 60 milionów hektolitrów spadł dziś do połowy... Rozumie się, że potem filoksera rozeszła się po całej Europie i obecnie niema kraju winodajnego, gdzieby nie było różnych komisji i urzędów, prowadzących—niezbyt skutecznie—walkę z tym owadem.

Dość może jednak tych przykładów. Czytelnicy nasi, między którymi niewątpliwie znajdzie się wielu miłośników przyrody, bądź z własnych spostrzeżeń, bądź z licznych już dziś u nas książek, przypomną sobie sami z życia owadów więcej faktów, dowodzących ich ścisłego stosunku do człowieka i prowadzonej przez nie walki z ludźmi.

Dla uzupełnienia odwrotnej—pochlebnej dla owadów—strony tego stosunku, musimy wszakże wspomnieć jeszcze o tej grupie, która okazuje dodatni, dobroczynny wpływ na nasze życie. W pierwszym rzędzie należy tutaj większość owadów błonkoskrzydłych, motyli i drobnych żuków, które, zbierając słodki sok z kwiatów, mimowoli przenoszą pyłek i pomagają zapylaniu olbrzymiej ilości gatunków roślin. Liczne, a sumienne, doświadczenia wykazały dowodnie tę ważność owadów dla zapylania wielu roślin. Tak np. jeśli pewną przestrzeń koniczyny zakryć siatką, niedopuszczającą do niej trzmieli, pszczoł i t. p. owadów, poszukujących w jej kwiatach słodkiego soku, wówczas słupki jej nie będą zapylone, a więc kwiaty nie dadzą owoców i nasion. Ten stosunek owadów do kwiatów wyraża się całym szeregiem ciekawych faktów, odnoszących się do postaci zarówno kwiatów, jak owadów—że przypomnimy tylko cudowną budowę storczyków, których pyłek przylepia się do głowy odwiedzających je żuków,—pochylanie się pręcików szalwi łąkowej na grzbiet wchodzących do jej wnętrza trzmieli, żywą pułapkę na owady w kwiatach kokorycznika i t. d. Nie mogąc wszakże zatrzymać się tutaj na tym przedmiocie, odsyłamy naszych młodych przyjaciół do ciekawej książki Taylora — „Moralność i zmysłność roślin“, do rozdziału „Owady i kwiaty“ w „Czarach z krainy wiedzy“ Miss Buckley —i innych książek. Sami zaś, zaznaczywszy powyższy wpływ owadów na zapylanie, a więc i owocowanie wielu ważnych dla nas roślin, przypomnimy jeszcze takie owady, jak *szczy-pawki*, *gąsieniczniki*, *grabarze*, *ważki*, *osy*, *mrówki* itp.,

które niewątpliwie wielkie oddają nam przysługi, bądź tępiąc inne owady, bądź niszcząc najrozmaitszą padlinę.

W maju szczególnie, gdy wszędzie pełno jest chrabąszców, na każdej wycieczce możemy spotkać taki obraz, jak wielka czarna *szczypawka ogrodowa*, napadłszy chrabąszcza, zagryza go, i zanurzwszy swą długą, wąską głowę w jego ciało, — jak sęp, wyjada mu wnętrzności. Albo też na płotach lub korze drzew z łatwością odnajdziemy dogorywającą liszkę motyla, z ciała której wychodzą drobne liszki innego owada — *gąsienicznika*: zapomocą długiej, ostrej rurki wpuścił on liczne jajeczka pod skórę żywej liszki, i ta stać się musiała żywym pokarmem dla wylęgłych pod jej skórą gąsienic. Inny gatunek drobnych os, — *karzątek kudłaty*, wsuwa po jednym jajeczku w jajka pewnej ćmy — *przędki pierścieniówki*, tępiąc w ten sposób w zarodku jedną z największych niszczyielek naszych sadów.

Otóż niewątpliwie wszystkie powyższe owady zaliczyć musimy do prawdziwych, choć mimowolnych, naszych przyjaciół.

Dodawszy do tego nieliczną grupę owadów, dostarczających nam jedwabiu, miodu i wosku (*jedwabniki* i *pszczoły*) — prawie wyczerpiemy większą część stosunków, jakie łączą nas ze światem owadów.

Przystąpmy teraz do ogólnego obrachunku. Oczywiście, wypada on na niekorzyść owadów: szkody, jakie nam większość z nich wyrządza, przewyższają o wiele rozmiarami przysługi, oddawane przez inne. Stąd ta zajadła walka pomiędzy człowiekiem a owa-

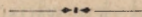
dami, walka dwóch rodzajów stworzeń o życie, właściwie o pożywienie. Z jednej strony występują do niej niezliczone roje drobnych, pozornie bezsilnych istot, z drugiej — olbrzymi stosunkowo ciałem, potężny rozumem człowiek. A jednak zwycięzcami wychodzą z tej walki najczęściej owady, pobijając go swą nieskończoną ilością. Dopiero w sojuszu z innymi działaczami przyrody — ptakami, ssakami owadożernymi, zimnem, deszczem, nadmierną suszą i chorobami, człowiek pomimo ponoszonych klęsk, zostaje niekiedy panem położenia.

Badanie samodzielne tego stosunku owadów do człowieka, stosunku bezpośredniego czy pośredniego, stanowi jedno z tych pouczających a przyjemnych zajęć, jakie polecamy gorąco uwadze młodych czytelników.

Mieczysław Brzeziński.



SEN RZEŹBIARZA.



śró d pól różnem zbożem zasianych wznosiła się chata, snopem kryta, z gankiem oplecionym dziki m winogradem, z okienkami, w których kwitły jaskrawe geranie. Bogate kłosy żyta i pszenicy skłaniały głowę przed tą chatą białą; gryka miodowym zapachem napełniała powietrze; zielone łąki, wystrojone w różnobarwne kwiaty, rozłożyły się niby wzorzysty kobierzec, a lasy, ciemnym szlakiem opasujące ją, szumiały uroczyście co wieczór w około. Tuż przed chatą, na kilka kroków, wznosiła się wysoka, stara topola, na niej bocian usłał gniazdo i klekotem radosnym budził każdego ranka mieszkańców chaty, a wieczorem przypominał im, że czas już spocząć...

W chacie owej mieszkał młody snycerz z rodziną. Słońce właśnie zapadało; on siedział na ganku, zielone festony winogrodu zasłaniały jego oczy od blasku zbytniego. Snycerz strugał z drzewa skrzydlatego anioła, a twarz wioskowego artysty wyrażała cichy

spokój i zadowolenie głębokie. Od czasu do czasu przerywał robotę, zwracał się ku oknu chaty i uśmiechał. W głębi izby siedziała staruszka, wpatrzona w niego, na pomarszczonej twarzy malowało się szczęście, oczy jej mówiły: „tyś moja pociecha, moja chluba, tyś mój żywiciel, moje słonko, moje wszystko“. (Była to jego matka, której starości on był podporą). Czasami spoglądał naprzeciw siebie, tam dwie dziewczynki siedziały, wpatrzone z zachwytem w anioła, którego strugał; były to dzieci jego zmarłej siostry, przezeń przygarnięte sieroty, które ojca jeszcze w kołysce straciły. Czasem Jan wzrok posyłał ku wiosce, a nawet i dalej poza nią, gdzie na drodze stała figura błogosławiącego Chrystusa. On to ją wykonał i każdego wieczora cieszył się swą pracą, bo wiedział, jak ludzie, wracając z pola przyklekali, skłaniali głowy i dziękowali Bogu za dzień szczęśliwie przebyty. Widział też nieraz, jak złamani trudem fizycznym, zgarbieni troską moralną, pomodliwszy się przed jego Chrystusem, wstawali pokrzepieni i żwawiej szli dalej; widział nieraz: blade, smutne kobiety, jak ukłękawszy u stóp Zbawiciela, po chwili podnosiły się z twarzami jasnemi i pocieszone wracały do wioski. I radowało się serce wioskowego artysty, bo czuł, że jest pożytecznym i kochanym. Kochał on również,—kochał to niebo jasne nad nim rozpostarte, te lasy ciemne szumiące, łąki zielone, pola kołyszące się zbożem, kochał tę starą topolę z gniazdem bocianiem, kochał przyjaciół i sąsiadów i siwą matkę, która mówiła mu codzień: „Tyś moją chlubą, moją pociechą, tyś moje słonko i mój żywiciel“. Kochał swą pracę, która mu tyle dodawała:

chleb powszedni, miłość i szacunek ludzki i sławę wśród wioski.

Wieczór był cichy, noc zbliżała się powoli, już oznajmiła swe rychłe przybycie ziemi przez gwiazdy, których kilka wybiegło na niebo, by ludziom mniej tęskno było, gdy noc posępna czarny swój płaszcz roztoczy. Gdzieś od wioski rozległ się cichy dzwonek, leciał on od kościołka, którego wieżyczkę widać było za łąkami.

— Jasiu, czas spać—ozwał się z głębi chaty głos łagodny i wyszła na ganek staruszka siwa, wsparta na kiju sękatym i wzięła dziewczynki za ręce. Już Anioł Pański głoszą—dodała, zbliżywszy się do syna.

— Idźcie matko, ja skończę robotę—odparł i pochylil się do jej ręki z pocałunkiem; na czołach dzieci krzyże nakreślił, poczem wrócił do roboty. Staruszka z wnuczkami weszła do chaty;—cisza w około zaległa, a Jan pracował dalej, póki nie skończył anioła. Potem wpatrzył się wdał, którą noc mrokiem coraz więcej zasłaniała i utonął w zadumie. Snuły się po jego myśli postacie różnych świętych bohaterów, jakich pragnąłby jeszcze dla wioski wystrugać...

I coraz ciszej robi się w około niego, — od wioski slychać jeszcze gwar głuchy, ale i ten cichnie stopniowo, bociany zaklekotały raz, drugi, trzeci i umilkły wkońcu; psy tylko naszczekują od czasu do czasu, a Janek wciąż marzy i dumia, a nowe pomysły wciąż cisną mu się do głowy i coraz ma więcej pięknych postaci w duszy. O! długo będzie mógł jeszcze pracować z pożytkiem.

Wtem na gościńcu jakiś punkt czarny się ukazał; spostrzegł go snycerz, począł wpatrywać się weń

uważnie, punkt zwiększał się, zbliżał, przybierał coraz wyraźniejsze kształty, aż zarysowała się wreszcie na tle nocy postać ludzka i, rzecz szczególna, rozmarzonej wyobraźni snycerza zdało się, że ujrzał szatana.

Człowiek ów na gościńcu szedł krokiem szybkim—dążył wyraźnie ku wiosce, wreszcie ukazał się na drodze, która do chaty prowadziła i stanął u stóp ganku, dzikiem winem oplecionego.

— Antoni!—wykrzyknął Janek.

— Poznałeś mnie?—zapytał wędrowiec, wyciągając do Jana rękę. Uścisnęli sobie dłonie, siedli obok siebie na ławie, a podróżny kij i tłumoczek u nóg swych położył.

— Lat ośm nic prawie cię nie zmieniło — rzekł Jan.—Cóż ty porabiasz, skądże idziesz i dokąd?

— Z wielkiego miasta powracam — odparł Antoni. — Tam to dopiero życie, tam uciech nie brak, tam pieniądze łatwo zdobywać. Kupcem jestem, nie źle mi się wiedzie. A ty co robisz?

W miejsce odpowiedzi Jan pokazał towarzyszowi lat dziecinnych wyrzeźbionego anioła.

— Tyś artysta!—wykrzyknął tamten.

— Nie wielki — odparł z uśmiechem Jan,—lecz wśród swoich zdobyłem miłość, szacunek i chleb powszedni; za dolę swą codzień Bogu dziękuję.

— Wśród obcych szeroką sławę byś zdobył. Rzuć wioskę, idź ze mną do miasta — rzekł Antoni. — Przyśedłem swoich odwiedzić, przebyć tutaj letnie upały, potem wrócę do miasta; razem pójdziemy, tam złotem płacić będą twoje prace.

— Nie warte one złota, jam skromny, a potem

czyż godzi się dla obcych trudzić, a swoich krzywdzić? Matki nie rzucę, tak blizka już jest grobu i sierot nie rzucę. Ja je kocham, Antku.

— Przysyłać im będziesz pieniądze.

— Lecz one bezemnie będą tęsknić i płakać; sąsiedzi będą mieć żal do mnie, że obcych wybrałem przed nimi.

— I dlatego swoją przyszłość zwiczniesz? Tyś artysta, świat tutaj za ciasny dla ciebie, za mało masz wrażeń; tobie trzeba uciech, swobody, tyś wielki, ciebie nie ocenią tutaj dostatecznie, tam bić czołem przed tobą będą.

I długo tak gadali ze sobą, jeden kusił, drugi opierał się coraz słabiej; już uwierzył w swą wielkość—tylko mu żal jeszcze było starej matki, sierot i wioski... Północ już była, gdy Antoni pożegnał Jana i ku chacie ojców się skierował.

Snycerz sam pozostał i utonął napowrót w zadumie, ale myśli jego inne teraz być musiały, bo na jasnym jego czole troska osiadła, a pogodne zwykle spojrzenie było zmaczone. Otaczała go głucha cisza i noc czarna, smutna. On patrzył w dal posępną, a słowa: „tyś wielki, tam przed tobą bić czołem będą“, słodką pokusą brzmiały mu w uszach. Oparł głowę o ścianę, oczy zamknął i marzył.

Naraz tam w dali, naprzeciw niego poczęło wyrastać z ziemi wielkie jakieś miasto; gwar, szum leciały od niego, na ulicach było tłoczno od ludzi, wśród wspaniałych gmachów miasta jeden był najwspanialszy, koło tego było najrojnziej. Snycerz wpatrzył się w ów pałac. Wtem podwoje jego się rozwarły i wyszedł z nich, strojny w jedwabie i złoto, możny pan,

otoczony rojem sług, którzy zginali się przed nim kornie. Pan ów wprost do snycerza przystąpił i rzekł:

— Pójdź za mną; rzuć nędzną twą chatę, dam ci mieszkanie w moim pałacu; mówiono mi żeś wielki artysta; hojnie za twe prace płacić będę.

Snycerz powstał i poszedł za panem, jakiś głos wprawdzie zawołał nań z prawej strony:

— Nie rzucaj swoich dla obcych, obcy serca ci nie dadzą, a serce to twoje natchnienie; nie wdzieraj się tak wysoko, siły twoje niewielkie, stoczysz się i upadniesz.—Lecz głos drugi zawołał nań z lewej strony:

— Tyś wielki, brak ci tylko śmiałości, swoi nigdy nie ocenią sprawiedliwie, idź do obcych, oni czołem uderzą przed tobą.

I poszedł, a możny pan wprowadził go do swego pałacu i ukazał mu dzieła mistrzów, którzy u niego pracowali niegdyś. Złękł się tych dzieł snycerz, tak piękne były. I usłyszał znowu głos z prawej strony:

— Nie tobie mierzyć się z nimi, wróć do swoich, dla nich z pożytkiem pracować zawsze będziesz, oni kochać i szanować cię nie przestaną; tutaj wyszydzą cię, zdepcą, bo im nie dasz tego, czego żądają.

Lecz drugi głos odezwał się jednocześnie:

— Nie większe tamci mieli siły, tylko śmielsi byli.

I pozostał snycerz. Pan powiódł go do wspaniałej pracowni i rzekł:

— Chcę, byś mi wykuł z marmuru postać wiosny.

To powiedziawszy, wyszedł. Snycerz pozostał sam; siadł przed bryłą kamienia, wziął dłuto do ręki i pograżył się w myślach,—ale postać wiosny nie zjawiała się przed oczyma jego duszy i nie mógł zabrać

się do pracy, bo czuł że bryle kamiennej kształtów nie nada. W wspaniałej jego pracowni tak dziwny chłód panował, tak posępną mu się wydawała, że natchnienie nie chciało zstąpić na artystę. Zdawało mu się, że gdyby siwa jego matka zjawiała się nagle i pocałowała go w czoło, gdyby usłyszał srebrny śmiech dzieci, lub gdyby zobaczył jednego z sąsiadów, to możeby tworzyć począł... lub gdyby choć klekot bociana go doleciał, choć dźwięk dzwonu kościołka, lub chociażby jeden z polnych kwiatków wyrósł na jego oknie...

Tymczasem zamiast tych, których wzywał sercem, ujrzał przed sobą jednego z dworzan. Przyszedł pewno zobaczyć, czy snycerz rozpoczął już pracę, a widząc bryłę marmuru nietkniętą, uśmiechnął się złośliwie.

Gniew zakipiał w sercu snycerza. Nie czekając aż w duszy zrodzi się natchnienie schwycił za dłuto i wykuł posąg wiosny, a gdy go skończył i spojrzał nań, głos z lewej strony szepnął:

— To arcydzieło.

On uwierzył temu głosowi, usiadł naprzeciw i podziwiał swoją pracę.

Wtem rozwarły się drzwi pracowni i wszedł pan, dworzanami otoczony. Snycerz powstał i z pychą pracę swą mu pokazał. Dworzanie patrzyli w oblicze pana, czekali co powie, ani chwalili, ani ganili. Pan spojrzał, czoło zmarszczył i rzekł:

— Zawiodłem się na tobie, mistrzem ty nie jesteś! Gdybyś był odrazu się przyznał, żeś niezdolny wykonać podobne arcydzieła do tych, które ci pokazywałem, byłbym ci powiedział:

— Dam ci wzory, dam ci mistrzów, pracuj, a dościgniesz ich, „Bóg nie rzekł nikomu, ty nie pójdziesz dalej“. Lecz ty sam siebie nie znasz, zarozumiałość ślepym cię czyni na własne błędy. Nie wzbijesz się wyżej, idź precz z mych oczu.

Snycerz wyszedł zgnębiony z pałacu; za nim leciały śmiechy szydercze dworzan; nikt nie użalił się nad nim, nikt słowa pociechy mu nie powiedział; w wielkiem, ludnem mieście czuł się jak gdyby na pustyni.

I zdjął go żal nad samym sobą i począł szlochać.

— Co tobie Jasiu?—odezwał się naraz głos, znany mu dobrze.

Otworzył oczy i zdziwił się: toż on był u siebie, siedział na ganku, oplecionym winogradem, przy nim stała siwa jego matka, jedną rękę trzymała na jego ramieniu, drugą opierała się na kijku sękatym i patrzyła mu w oczy troskliwie.

— Co tobie Jasiu?—powtórzyła.

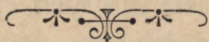
— Nic matko — odparł całując jej rękę—to był sen tylko... O dzięki Ci Boże, zem się przebudził.

I opowiedział matce spotkanie z dawnym przyjacielem, jego namowy, a potem widzenie senne.

Matka wstrząsnęła głową.

— Znać siebie samego, to mądrość najwyższa, synu; mało kto ją posiada i dlatego ludzie błędzą. Pracuj wytrwale, a wzniesiesz się wyżej, praca cuda czyni. Nie ten szczęśliwy, którego wielbi świat cały, lecz ten, który dobro sieje, a miłość zbiera.

Teresa Fadwiga.



SALVE!



Wśród wyniosłości Sabińskich, spowitych zielenią oliwek, lauru i winnej latorośli, stoi miasto marmurów. Wybredny pomysł zestawiał tu przepych sztuki z wiejską prostotą. Tam w dolinie pola rzymskiej Kampanii dojrzałem zbożem cicho się kołyszą, tam wyżej młody pasterz czepia się skał urwistych, dążąc za stadkiem kóz swoich—a tu kolumny, sklepienia, rzeźby, malowania, godne świata stolicy. To wiejska siedziba cesarza Adryana.

Wszystko, co w granicach rzymskiej monarchii podziw budzi, tu wierne odbicie znalazło.

Tam oto, na tle ponurego piękna tessalijskiej doliny Tempe — rysuje się wspaniale trójkątny fronton ateńskiego Prytaneum. Dalej w sadzawce Poikile przegląda się dumnie spiętrzone półkole teatru. Tam wesołe gaje Liceum, tu poważny portyk Akademii.

Dumny grek z uśmiechem wita strony swoje. A tam znów surowe prostotą swych linii mury Kano-

py rozsiadły się po obu stronach kanału, co do przed-
sionka świątyni Serapisa wiedzie. Dwa rzędy zaduma-
nych sfinksów, dwa poważne kolosy witają u wstępu
przybysza, chcącego poznać swą przyszłość z wyroc-
ni faraonów boga. Owdzie gęsty gaj palmowy osła-
nia tajemnicę czci Mitrasa. Bogobojny pers skupił się
w pobożnem rozmyślaniu. A tam wre życie rzymskie.
Oto z koszar wyszli pretorianie i aleją z cyprysów
dążą na plac ćwiczeń. Na Stadium ¹⁾ przed wspania-
łemi termami ²⁾ szermują ci, co kąpieli użyli. W ba-
zylice ³⁾ znakomici jurisconsulci rozstrzygają sprawy.
Biblioteka pałacowa skupiła chciwych nauki,—w Sali
Filozofów uczeni żwawe wiodą dysputy. Gościnne
komnaty przepełnione przybyszami, a stoły na przy-
ległym tarasie zgromadziły tłumy.

Wśród ogólnego przepychu i rozłożystości dzi-
wnie skromnemi i ciasnemi wydają się osobiste komna-
ty cesarza. Niewielkie triclinium ⁴⁾, niewykwintna sy-
pialnia, wielu średniozamożnych obywateli zadowol-
niłoby nie zdołały. Cesarz wspaniały dla innych, sam
rad prostocie i umiarkowaniu.

Oto właśnie w todze białej, bez wieńca na głowie
spoczywa na lwiej skórze, która posłanie jego łoża sta-
nowi. Odprawił orszak, jest sam z myślami swojemi.
A myśli te smutne być muszą, bo twarz cesarza wy-
raża zgnębienie, a oczy w przestrzeni zawięzłe, zda
się, rozpatrują obrazy ciężkich zawodów. Co utrapia

¹⁾ Miejsce zapasów gimnastycznych.

²⁾ Łaźnia.

³⁾ Sala sądowa.

⁴⁾ Sala jadalna.

sędziwe lata cesarza? Nigdy nie zapomniał o swojej godności: nie splamił jej występkiem, chwycił każdą sposobność opromienienia jej sławą. Młodością oddaną nauce i obowiązkom obywatelskim zyskał sobie purpurę cesarzy, a czyż nie hojnie za nią narodowi płaci? Toż wzdłuż i wszerz schodził państwo całe, a kroki swe dobrodziejstwami znaczył. Słyszy naokół uwielbienie i błogosławieństwa, ma prawo w nie wierzyć. Starcy, co pamiętają złoty dom Nerona na Eskwilinie, chwałą jego skromność, — odrodzenie ducha Cincinatów w nim widzą. Obywatele młodszy używają rozkoszy pokoju i chwałą mądrość jego polityki. Lud błogosławi władcę, który, zbiorem praw wszędzie jednako obowiązujących, potrafił go uchronić od krzywd samowoli. Niewolnicy błogosławią pana, który panom prawo nad ich życiem odjął. Uczni wielbią w cesarzu znawcę i opiekuna, kapłani panteonu chwałą hojność jego, chrześcijanie wyrozumiałość. Roma brzmi chwałą swego imperatora—bo ozdobił ją budynkami, co dalekim pokoleniom o jej potędze świadczyć będą.

Taką koleją biegną myśli Adryana. Na chwilę uznanie dla własnych czynów rozpromienia mu czoło, — oczy z upodobaniem przebiegają po modelach budynków, które wznosił w swem państwie. Ach, ten własny jego grobowiec, który z za Tybru tak dumnie i władczo na Rzym spogląda, czyż nie jest najpiękniejszym grobowcem na świecie! Oto nagroda, którą za nieskażone życie wyznaczył sobie.

Gorzki uśmiech spędził chwilową pogodę z twarzy cesarza.

Ha! skończyłem rachunki, dałem światu wszystko

dla sławy — on mi też chwałę wszechmierną odplacił. Wyczerpałem puhar sławy do dna, tak jak Tyberyusze, Nerony wyczerpali puhary zbytku. Nic mi się nie należy — a jednak w duszy próżnia, czczość bezmierna!

Tortura tych myśli przeszła widać siły Adryana, bo porwał się z łoża gwałtownie i zawołał:

— Po co myśleć o tem, czego zmienić nie można. Ananke! ¹⁾ Na to żaden mędrzec sposobu nie znajdzie!.. Trzeba się ratować od bezmiernego bólu. Ruch rozrywkę przyniesie.

Cesarz klasnął w dłonie.

U wejścia stanął wspaniałej postawy pretor.

— Niemi murzyni, lektyka, do orszaku nikogo nie trzeba!

Do samotnych wycieczek cesarza po okolicy dworzanie przywykli.

Po chwili czterej murzyni, niosący bambusową lektykę, wynurzyli się z kryptoportyku ²⁾ pałacowego na drogę prywatną cesarza do Tibur wiodącą.

Dziś Adryan czuł się szczególnie wzburzonym, nie chciał, by go w tym stanie kto widział.

W miarę przybliżania się do miasta, obawa spotkania ludzi gwałtownie w nim wzrastała.

W bliskości willi Mecenasa cesarz na murzynów zawołał:

— Tędy, na prawo, do kaskady Neptuna!

Posłuszni murzyni ku urwistym skałom się zwró-

¹⁾ Przeznaczenie.

²⁾ Podziemne przejście.

cili, lecz zdumienie ich było wielkie. Do wodospadu chodzili zwykle brzegiem rzeki Tirerony. Tu droga zdawała się tylko dla kóz przystępną. Mimo całego wysiłku, równości ruchu nie zachowają. Jakże nieść lektykę?

Adryan sam spostrzegł trudność tej drogi, lecz w rozdrażnieniu to narażanie na niebezpieczeństwo siebie i swoich ludzi przyjemność mu sprawiało. Zawołał więc:

— Naprzód!

Murzyni zmienili sposób niesienia lektyki. Dwaj podjęli się jej ciężaru, dwaj drudzy dla strzeżenia ich równowagi tuż za nimi postępowali. Trudność pochodu z każdym krokiem wzrastała. Nadludzki wysiłek utrzymywał niewolników w równowadze. Niepewność ich ogarnęła, przystanęli.

— Naprzód!—rozległ się rozkaz Adryana. Zacięty upór brzmiał w jego głosie.

Po kilku jeszcze krokach udało się murzyńcom wydobyć na niewielką płaszczyznę. Dalszy pochód był wprost niemożliwym. Przed nimi zrab skały sterczały pionowo—pod nimi czerniała głębia wąwozu.

Nieźrównanie piękny widok wywabił cesarza z lektyki.

O stóp sto poniżej płaszczyzny, na której się zatrzymali, z wielkiej groty, fantastycznie ozdobionej wapiennymi naciekami, kaskada Neptuna szerokim wałem w przepaść się rzuca. Siła upadku zamienia wodę w pyłki wilgotne, a słońce barwi je kolorami tęczy. Wody potężnego boga skaczą dalej po głazach pochyłego zbocza; wiją się, burzą, pianą gniewu

obrzucają i w tym szale złości do grotty nadobnej Syreny bieżą. Słodycz mieszkanki ucisza ich wzburzenie. Po chwili potok łagodnym spadkiem nowej kaskady w wąwóz się stacza i wśród jego zieleni zygzakuje wartkim nurtem Tirerony. Gra światła dorzuca czarę do tego widoku.

Adryan patrzył z zachwytem; jakaś rzewność ujęła go za serce. Nie chciał mieć świadków swojego wzruszenia—zwrócił się do murzynów z rozkazem:

— Czekać mnie tam, na dole, dam sygnał, gdy mi potrzebni będziecie!

Niewolnicy zstępować zaczęli — i po chwili znikli z oczu cesarza za urwiskiem skały.

Urok piękna przyciszył wszystkie niezrozumiałe pragnienia i tęsknoty Adryana. Dręczące myśli go odbiegły, czuł niewysłowioną rozkosz spokoju.

Po chwili jednak przyzwyczajenie zajmowania się sobą prawa swoje odzyskało. Czoło cesarza znowu okryła chmura smutku. Przysiadł na złomku skały, splótł dłonie i żalił się głośno.

— Czemuż duszy człowieka nic całkowicie zapełnić nie zdola? Czemuż pragnienie szczęścia mieszka w niej stale,—a chwile zadowolenia tak lotne?

Tu szmer jakiś podrażnił słuch Adryana. Porwał się gniewny. Czyby zuchwalec jaki śmiał śledzić samotność cesarza? Rozejrzył się wokoło.—Pustka. Tuż obok w sterczącym pionowo skalnym zrębie czernieje szczelina. To tylko kryjówka dzikiego zwierzęcia być może. Słychać jednak gdzieś kroki i głosy rozmowy.

Adryan nie zniesie, by tu kto widział jego samot-

ność i wzruszenie. Jednak ukrywać się on nie zwykł. Wyprostował się dumnie, chwycił srebrny flecik, co mu na łańcuszku u szyi wisiał i do ust go przycisnął. Gwizdnie, murzyni wrócą i wnet ciała natrętów, co się tu pojawiają, inną pójdą drogą—niż tą, którą imperator obrał dla siebie.

Odgłos rozmowy zdawał się iść z dołu, z pod stóp cesarza. Adryan wychylił się nad przepaść i ujrzał dwóch młodzieńców mozolnie po urwisku się pnących. W jednym z nich poznał Waleryana, syna ulubionego pretora.

— Odwagi, Rufinie—mówił młodszy z idących,—odwagi!—Przykrości tej drogi, to jak zwykle przykrości życia: gdy tylko zaczniesz rozważać ich wielkość, to one ciężarem ogromnym przygniotą ci duszę.

— To tylko chwila słabości, Waleryanie—odrzekł towarzysz. — Gardzić wrażeniami, co duszę gnębią, nauczyła mnie dawno stoików filozofia.

— Rufinie, ty na chrześcianina się sposobisz,—tobie w niedoskonałych naukach filozofów przeszłości pomocy szukać nie wypada. Co za fałsz w słowie „gardzić“ cierpieniem, albo też uciechą. Każdy szczęścia pragnie, a bólów się lęka. Po co wmawiać, że szczęście nie jest radością, a ból utrapieniem, kiedy w szczerości ducha każdy czuje inaczej. Chrześcianin nie gardzi wrażeniem, ale się z nim godzi, a ból smutku, lub szal radości miarkuje oderwaniem od nich myśli swoich, zwróceniem ich do Boga, do bliźnich—wyrywa się czczym marzeniom—oddaje czynowi!

Cesarz pilnie wsłuchał się w mowę młodzieńców.

— Więc wy szczęściem nie gardzicie?—wykrzy-

knął Rufin — wy, których spokój wśród tortur i płomieni cały świat zdumiewa!

— Szczęście! — z zapalem mówił Waleryan. — Co jest szczęście? To nie życie, nie sława, nie bogactwo — to stała pełnia serca i błogość spokoju. My tego szukamy!

— Jak? — zapytał Rufin, a to samo pytanie powtórzył Adryan w swej myśli.

Waleryan pomyślał chwilę.

— Czyniąc wszystko, co dobre i szlachetne, nie dla nagrody, którą świat dać może. Jeżeliś spełnił czyn wielki dla sławy, lub bogactwa — on szczęścia ci nie da, bo wszelka nagroda z czasem powszednieje i cieszyć przestaje. A ten brak uciechy w sercu — to rana dotkliwa. Tylko od oka ludzkiego płaszczem dumy stoickiej ukryć ją możesz — lecz z sobą poniesiesz ją wszędzie.

— Ach! — szepnął Adryan, — jak ten młody chrześcianin zna bóle starców filozofów!

— Lecz — ciągnął dalej Waleryan, — jeżeliś spełnił czyn by najmniejszy, nie z myślą, wynikających z niego dla ciebie korzyści, lecz z celem chwały Boga, pożytku bliźniego — jeżeliś spełnił go w cichości, wedle sił twoich — to on ci wypełni serce uciechą tak wielką i trwałą, że jej los najgorszy nie zatrze bez śladu!

— Och! — szepnął Adryan — czemu życie całe goniłem za błędnym ognikiem własnej sławy!

— Waleryanie — zawołał z zapalem Rufin — boską jest wasza nauka!

— Jam najlichszy z grona braci naszych, ja ci jej dobrze tłumaczyć nie umiem, Rufinie. Jeszcze

kroków parę— tam w tym zrębie skalnym jest wejście do naszego korytarza. W nim czeka cię nasz pasterz, mąż święty. On cię słowem natchnionem i przykładem nauczy.

— Oni tu idą! — myślał Adryan, spoglądając na szczelinę w skale.

Co robić? Chrześcianie cesarza widzieć tu nie powinni. Ten widok jakizby popłoch wzbudził w ich drużynie!

Współczucie odbiło się na twarzy Adryana. Nie było czasu do stracenia—młodzieńcy już do płaszczyzny podchodzili. Cesarz zsunął się za głaz sterczący nad przepaścią. Najwyższe naprężenie sił zdołało utrzymać go w równowadze.

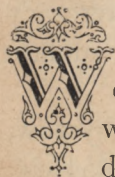
Gdy w korytarzu ucichł odgłos chodu przybyszów, Adryan wczołgał się na płaszczyznę z trudnością. Twarz jego szczęściem promieniała, podniósł ręce i oczy ku niebu i zawołał:

— Witaj jutrzeńko dnia nowego, w którym ludzkości przyświecać będzie słońce poświęcenia.

Tomasz A.



Z dziejów mniemanych cudów i czarów.



W dawniejszych czasach, gdy wśród ludzi panowała zupełna ciemnota i przesady, wiara w cuda była powszechną. Bo też istotnie wówczas nie trudno było o zjawiska, których nietylko zwykli śmiertelnicy, lecz i uczeni nie umieli wyjaśnić. Wszystko, co wykraczało z granic codziennych faktów, każdą rzecz niezwykłą, zdarzającą się rzadko, skłonni byli ludzie uważać za objaw sił nadprzyrodzonych i przejmowali się na ich widok obawą. Komety uważano za zwiastuny wojny i nieszczęść; bolidy, aerolity, gwiazdy spadające wzbudzały paniczny strach, uważano je bowiem za objawy gniewu Bożego. Pyłek, wysypujący się na wiosnę z kwiatów sosny, roznoszony w powietrzu przez wiatr i następnie opadający wraz z deszczem na ziemię, dał powód do mniemania, iż z nieba spadać może siarka. Wierzono w zjawienie się różg ognistych na niebie, w deszcze ogniste, w deszcze siarczyste, nawet w deszcze krwawe i w tym po-

dobne nadzwyczajne zjawiska, zsyłane przez niebo na ziemię, jako widome ostrzeżenie dla ludzi przed niewidzialnym gniewem Niebios.

Za objawy takiego gniewu uważane też były epidemie różnych chorób, nawiedzające dość często i dziesiątkujące ludzi lub zwierzęta. Czasami znów przypisywano choroby klątwie, rzucanej przez ludzi bogobojnych na grzeszników, lub też czarom i urokom rzuconym przez czarowników, albo też wprost sprawce złych duchów. Odprawiano modły, poszczono, składano ofiary, zamawiano i odzegnivano złe, wypędzano szczególnymi sposobami dyablów, spalano na stosie czarowników i czarownice, topiono wiedźmy. Nie przypuszczano nawet, aby epidemię można było opanować, a tembardziej, aby w ludzkiej leżało mocy chorobie zapobiedz. Smutne to były czasy, w których ludzie przez własną nieświadomość więcej przyczyniali sobie szkód i klęsk, niż ich wyrządzić mogła natura.

Dziś, gdy nauka poznała te niezwykle zjawiska, gdy potrafiła sprowadzić je do znanych przyczyn naturalnych, gdy zjawienie się komet umiemy z góry przewidzieć, a z klęską epidemii nauczyliśmy się walczyć skutecznie, wydają się nam dziwnymi naiwne poglądy przodków naszych;—ich nieuctwo i brak zaradczości wzbudzają politowanie, a surowość ich obyczajów przejmuje odrazą; żal nam ludzi pogrążonych w tak głębokim mroku ciemnoty umysłowej; czujemy litość, zarówno dla niewinnych ofiar przesądów, jak i dla ich ciemnych oprawców.

Do rzędu takich przesądów, w których ciemnota ludzi najjaskrawiej występowała, które wprawiały ich

w nieopisany strach i bywały powodem czynów, wywołujących dziś boleść i litość, należy wiara w deszcze krwawe i w cudowne plamy krwiste, zjawiające się czasami na gotowanych potrawach, zwłaszcza na ziemniakach i na chlebie.

* * *

Zjawisko, zwane deszczem krwawym, jest nader rzadkiem. W niektórych miejscowościach, zwłaszcza w Szwajcaryi i ościennych krajach Europy środkowej, w zagłębieniach i szczelinach gładów, skał, kamieni, nagrobków lub murów, zauważyć można niekiedy wodę deszczową, zabarwioną na kolor krwisty. Dało to właśnie powód do wiary w spadanie deszczów krwawych. Skoro wierzone w deszcze ogniste i siarkowe, czemuż wierzyć nie miano w deszcze krwawe, w strumienie krwi zlewającej się z niebios na ziemię? Rzecz jasna, iż w zagłębieniach kamieni, czy murów, może się znaleźć rzeczywiście krew zranionego zwierzęcia lub człowieka, iż może się do nich dostać jakiś czerwony sok roślinny lub też farba sztuczna. W wielu wypadkach jednak dowiedzionem zostało w sposób nastroczający wątpliwości, iż woda deszczowa, stojąca spokojnie przez czas dłuższy, zabarwiała się na czerwono bez żadnego takiego widocznego powodu. Bywały wypadki, iż woda w beczkach na podwórzach domów nabierała barwy czerwonej, wywołując zgrozę wśród mieszkańców, dając im powód do wzajemnych podejrzeń o przelanie czyjejs krwi, lub do oskarżeń o rzucanie czarów. Domy, w których się to zdarzało,

uważano za nieczyste, przeznaczone na zgubę; w najlepszym razie zamykano je, nakazując mieszkańcom oczyścić się i przebłagać Niebiosa pokutą, modłami lub umartwieniem ciała; czasami jednak kończyło się to gorzej, bo spaleniem na stosie domniemanych grzeszników, lub rzekomych czarowników.

Później poznano inne podobne zjawisko: „czerwony śnieg“. Pierwszy zauważył w r. 1760 francuski przyrodnik Saussure śnieg zabarwiony na czerwono na szczytach śnieżnych gór sabaudzkich; następnie nieraz widziano śnieg taki na szczytach Alp, Pireneów, północnej części Uralu, na północy Skandynawii, na górach śnieżnych Sierra-Nevady w Kalifornii, a nawet na szczytach gór Karpackich. Najczęściej i w największej ilości znajduje się śnieg czerwony w Grenlandyi.

Nauka, do najnowszych niemal czasów, pozostawała w zupełnej nieświadomości co do przyczyn tego rodzaju zjawisk. Dziwić się przeto nie można najdziwniejszym poglądom i wyjaśnieniom, najfantastyczniejszym podaniom i wierzeniom, do jakich zjawiska te powód dawały. Trzeba było całej potęgi środków, którymi dzisiejsza rozporządza wiedza, aby zedrzyć zasłonę, zakrywającą przez tyle wieków przed okiem człowieka tajemnicę tych, rzekomo nadprzyrodzonych, zjawisk. Jak z postępami astronomii, dzięki spokojnej, wolnej od uprzedzeń i przesądów pracy badaczy, dzięki pomysłom geniuszów i nowym środkom badania, zwłaszcza udoskonalonym przyrządom, pierzchły obawy przed „rózgami na niebie“ i t. p. zjawiskami, tak również z postępem i rozszerzeniem się pojęć naszych

o formach świata ożywionego, znikła wiara w krew cudowną, zlewającą się z obłoków.

Zawdzięczamy to głównie udoskonaleniu mikroskopów, które rozwarły przed nami nowy, rozległy świat nieznanych dotąd istot najdrobniejszych. Dziś każdy, uzbrojony w mikroskop, z łatwością dostrzedz i zrozumieć może przyczynę deszczów, czy śniegów krwawych i przekonać się, jak daleką jest rzeczywistość od wyjaśnienia, które dawniej wydawało się najzrozumialszem i najprostszem. Czyż nie powinoby to nam posłużyć za naukę i na przyszłość?

Skoro kroplę wody, zwanej deszczem krwawym lub odrobinę czerwonego śniegu rozpatrzymy pod mikroskopem, spostrzeżemy mnóstwo drobnych kuleczek różowych, leżących obok siebie (rys. 1). Bez mikroskopu dojrzeć tych kuleczek nie możemy wcale; przy pomocy zaś tego narzędzia poznać możemy nietylko zewnętrzną postać, lecz i całą ich zawartość. Każda taka kuleczka składa się mianowicie (rys. 2) z naprężonej, bezbarwnej błonki, jakby z pęcherzyka, lub balonika nadętego. Wewnątrz takiego pęcherzyka znajduje się masa gęsta, na wpół płynna, ziarnista (jak to widzimy na rysunku, gdzie oznaczono ją ciemnymi kropkami), złożona z tak zwanych ciał białkowatych, mających wiele podobieństwa do białka i wykazująca własności życiowe: wrażliwość na zewnętrzne podniety, zdolność odżywiania się, oddychania, rozmnażania i t. d. Masę tę nazywamy „zarodzią“ lub „protoplazmą.“ Oprócz zarodzi wypełnia kuleczkę taką sok zabarwiony na różowo, a pod samą błoną kuleczki znajdziemy jesz-

cze ciałka, zabarwione na zielono, czyli tak zwane ciałka zieleni (chlorofilowe).

Badając kuleczki te przekonac się można, iż każda przez pewien czas rośnie, przytem odżywia się, oddycha, wreszcie wydaje inne podobne do niej kuleczki, czyli rozmnaża się. Gdy więc do wody lub śniegu dostanie się jedna choćby taka kuleczka, której dostrzedz wcale okiem, jak powiedzieliśmy, nie można, tak, że woda czy śnieg zrazu nie zabarwiają się wcale, to jednakże, po pewnym czasie kuleczka ta, rozmnażając się wytworzy mnóstwo innych do siebie podobnych, w skutek czego łatwo dostrzeżemy już w wodzie barwę czerwoną, lub na śniegu plamkę czerwoną, powoli się ciągle powiększającą, z powodu ciągłego rozmnażania się tych różowych kuleczek. Widzimy z tego, iż każda oddzielna kuleczka jest całą istotą żywą, rosnącą, żywiącą się, rozmnażającą i t. d.

Gdybyśmy rozpatrzyli pod mikroskopem cienki skrawek, wzięty z jakiegokolwiek miejsca liścia jakiejś rośliny, przekonalibyśmy się, iż liść każdy również składa się z mnóstwa, jakby zrosłych z sobą, pęcherzyków (rys. 3), otoczonych błoną, wypełnionych zarodnią i sokiem, zwykle bezbarwnym, oraz ciałkami zabarwionemi na zielono; niezielone organy roślin składają się również z takich pęcherzyków, nie posiadających tylko ciałek zieleni, które liściom nadają ich barwę typową. Pęcherzyki owe, z których się cała roślina każda składa, nazywamy „komórkami“; mogą one być różnego kształtu (rys. 1, 3, 4). Czasami widzimy umyślnie pielęgnowane w ogrodach lub mieszkaniach rośliny z liśćmi czerwonymi lub

brunatnymi, co pochodzi stąd, iż w komórkach takich liści mieści się sok czerwony, maskujący całkowicie zieleni, zupełnie tak, jak w kuleczkach deszczu lub śniegu czerwonego, o których mówimy. Z tego wynika, iż owe kuleczki różowe, rozmnażające się niekiedy w stojącej wodzie, lub śniegu, są komórkami, niczem nie różniącemi się w zasadzie od komórek, z których się składa wszelka roślina. Każda taka kuleczka jest jednak zarazem, jak powiedzieliśmy, całą już istotą żywą, podczas gdy zwykle spotykane, większe rośliny stanowią skupienie milionów komórek. Zwierzęta również składają się z komórek, złożonych jednak przeważnie tylko z bryłki zarodki, bez błonki i bez ciałek zieleni cechujących rośliny. Ponieważ przeto kuleczki czerwone, żyjące w wodzie, czy śniegu, są nieruchome, obłonione i posiadają ciała zieleni czyli mają najważniejsze cechy komórek roślinnych, więc uważać je musimy za istoty roślinne, za drobne roślinki, pozbawione korzeni, łodyg, liści i innych narządów typowych roślin.

Takiego pierwotnego ustroju roślin, nie posiadających żadnych organów, znamy mnóstwo; należy do nich np. wiele tak zwanych wodorostów, (przedstawionych w znacznym powiększeniu na rys. 4), żyjących w naszych wodach w postaci jedno, lub kilkokomórkowych istot różnego kształtu, w postaci np. kuleczek, półksiężyców, gwiazdek i t. d., lub w postaci podłużnych, cienkich jak włos nici zielonych; niektóre z takich roślin są powodem barwy brunatno-czerwonej, jaką przybierają w niektórych miejscach wody morza czerwonego. Często zielony nalot, pokrywa-

jący korę drzew, wilgotne kamienie, lub wilgotną ziemię, składa się, jak to widzimy pod mikroskopem, z mnóstwa drobnych, niewidzialnych gołym okiem kuleczek (rys. 5), wypełnionych zarodnią, ciałkami zieleni i sokiem bezbarwnym, którym jedynie niemal różnią się one od takich samych, lecz różowej barwy, kuleczek czerwonego śniegu. Te drobne, zielone, jednokomórkowe roślinki, nazwano *pierwotkami zielonymi*; kuleczki różowe czerwonego śniegu nazywamy *pierwotkami śnieżnymi*; istoty zabarwiające wodę deszczową niczem się prawie od pierwotków śnieżnych nie różnią i uważane być mogą za te same istoty.

Że pierwotki śnieżne są istotnie roślinami, o tem, prócz wymienionych cech, przekonywa nas najlepiej ich sposób życia, a przede wszystkim sposób odżywiania. Wiadomo iż zwierzęta żywić się muszą ciałami, wchodzącymi w skład innych zwierząt czy roślin, podczas gdy rośliny żywią się ciałami mineralnymi, a mianowicie wodą wraz z solami mineralnymi, które woda w sobie z ziemi rozpuszcza, oraz tak zwanym kwasem węglanym, pobieranym z powietrza, to jest tym gazem, który wydychają z siebie zwierzęta i który wydziela się z ciał palących się i gniących. Z tych mineralnych pokarmów wytwarzają rośliny tak zwane związki organiczne, jak np. krochmal, gumę, cukier, białko i t. d. to jest owe ciała, z których składają się wyłącznie tylko rośliny i zwierzęta; ciał tych nigdy nie znajdujemy w minerałach, słowem, istoty żywe im zawdzięczają swe życie. Żadne zwierzę nie jest w stanie tych ważnych ciał w sobie wytworzyć i musi pobierać je już w stanie gotowym

wraz z mięsem, mlekiem, roślinami, czy innym pokarmem, którym się w tym celu żywi. Jedyne tylko rośliny i to mianowicie ciała zieleń, zawarte w komórkach roślinnych, stanowią to jedyne miejsce na ziemi, w którym odbywa się tworzenie się związków organicznych, przemiana martwej, mineralnej substancji na ciała zdolne do funkcji życiowych.

Wszystkie istoty żywe zawdzięczają tym sposobem swe życie wyłącznie pracy zielonych części roślin. Niezielone rośliny, jak np. grzyby, nie są zdolne do takiej pracy twórczej i muszą się żywić jak zwierzęta, pasorzytować na innych roślinach, czy zwierzętach, na ich zwłokach lub wydzielinach i przerabiać tylko wyciągany z nich gotowy pokarm organiczny.

Pod tym względem przeto stanowi pierwotek śnieżny, zawierający, jak widzieliśmy, ciała zieleń, roślinę typową; przy pomocy bowiem owych ciałek wytwarza on substancje organiczne na pokarm dla siebie i dla innych istot roślinnych i zwierzęcych, które za jego życia, lub po jego śmierci, pierwotkiem tym się żywią.

Gdy pierwotek śnieżny, żywiąc się i rosnąc dojdzie do pewnej objętości, wówczas zwykle rozpada się na dwie oddzielne części (rys. 6), na dwa jednakowe pierwotki, z których każdy jest o połowę mniejszy od pierwotnej kuleczki, lecz poza tem niczem się więcej od niej nie różni. Każdy z tych dwóch nowych pierwotków żywi się i rośnie dalej, a po pewnym czasie rozpada się znów na dwa nowe pierwotki, podlegające takiemu samemu rozwojowi i t. d. Tym sposobem z jednego pierwotka powstają 2, następnie 4, dalej 8, 16, 32 i t. d.

Oprócz tego sposobu rozmnażania mogą się jednak pierwotki śnieżne, jak i niemal wszystkie inne najprostsze rośliny rozradzać jeszcze innym sposobem.

Zaródź ich rozpada się wówczas na 4 jednakowe części, które w skutek napęcznienia i rozpuszczenia się błonki komórkowej wypadają (rys. 7), przybierając kształt gruszkowaty i wypuszczając z węższego swego końca 2 cieniutkie niteczki, czyli tak zwane rzęsy. Poruszając temi rzęsami szybko na wszystkie strony i obracając się wciąż dokoła swej podłużnej osi, pływają te bryłki zarodki w wodzie, do której się dostały (pierwotki bowiem leżą, jak wiemy, w wodzie deszczowej, lub na powierzchni topniejącego na słońcu śniegu) i poruszają się zupełnie tak, jak zwierzęta pływające w wodzie, w skutek czego nazwano te bryłki *plywkami*.

Gdy uczeni spostrzegli po raz pierwszy pływki, tworzące się z wodorostów, byli przekonani, iż są to istoty zwierzęce i sądzili, że rośliny mogą się zamieniać w zwierzęta, nie przypuszczano bowiem dawniej, iżby istoty roślinne mogły być obdarzone zdolnością poruszania się. Przekonanie to było tem silniejsze, iż pływki nie są z początku obłonione, jak wszystkie komórki roślinne, iż chociaż grubszy ich koniec jest zielony, nie można w nich dostrzedz oddzielnie ciałek zieleni, iż wreszcie pływki okazują widoczną wrażliwość na zewnętrzne podniety, odczuwają zmiany temperatury i inne bodźce.

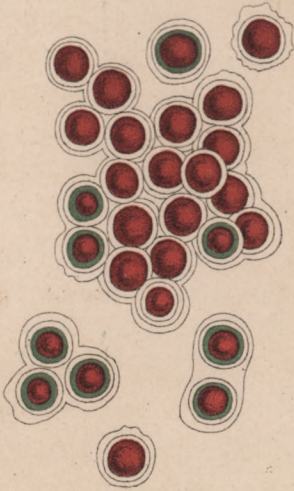
W owych czasach, gdy uczeni byli przeświadczeni, iż nie tylko pomiędzy światem roślinnym i zwierzęcym istnieje ścisła granica, lecz że każdy gatu-

nek roślin i zwierząt stanowi odrębną grupę istot, wiecznie i stale niezmienną, niezłączoną węzłami pokrewieństwa z żadną inną grupą, takie spostrzeżenie musiało wprawić świat uczony w niemalże zdumienie. Przemiana rośliny w zwierzę — toż to nowy cud! I ten cud jednak pierzchl, jak inne, w świetle dalszych badań.

Poznano wkrótce, iż ruch i wrażliwość nie są własnościami wyłącznie ustrojów zwierzęcych, iż jest to własność zarodzi zarówno roślinnej, jak zwierzęcej; poznano wiele roślin, mogących się poruszać jak zwierzęta (należy do nich bardzo wiele roślin mikroskopowych, np. drobniejsze na rys. 4, rys. 10 i 11), spostrzeżono objawy wrażliwości w organach wielu wyższych nawet roślin, przekonano się, iż pływki (rys. 4. u góry z prawej strony, rys. 7 i 8) powstają z mnóstwa wodorostów, grzybów, mchów, paproci i innych roślin, iż po pewnym czasie zamieniają się na powrót w rośliny podobne do tych, z których powstały, iż stanowią więc tylko jedno ze stadyów rozwoju roślin i nie są bynajmniej zwierzętami. Zarazem jednak granica nieprzebyta, jaką ustanowiono dawniej pomiędzy własnościami roślin i zwierząt, zniesioną być musiała w skutek tych spostrzeżeń zupełnie. Dziś nie znamy ani jednej własności, któraby cechowała wyłącznie tylko rośliny lub zwierzęta.

Pływki pierwotka śnieżnego (rys. 7), pływając w wodzie, rosną szybko, otaczają się w ciągu kilku dni błonką, rzęsy wciągają, opadają na dno wody, jako kuleczki nieruchome, podobne do tych, z jakich powstały (rys. 1, 2, 6), zamieniają się więc znów na

1.



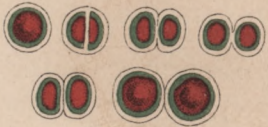
3.



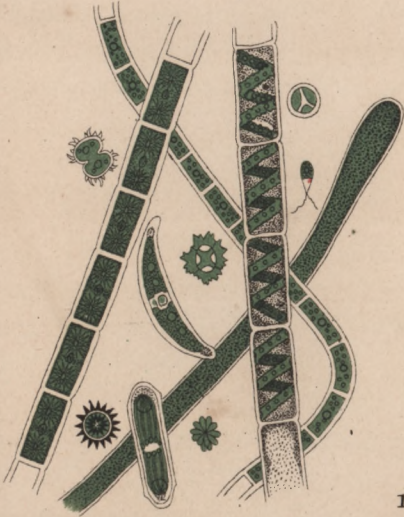
2.



6.



4.



7.



8.



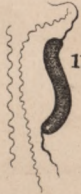
9.



10.



11.



12.





pierwotki! Czasami powstaje z pierwotka więcej, bo 16 lub 32 drobniejszych znacznie pływecek, które zlewając się z sobą po dwie (rys. 8), tworzą tą drogą tak zwane „siemię“, otaczające się grubą błonką, opadające na dno wody i mogące przetrwać przez czas długi w niepomysłnych warunkach życia, aby następnie znów ożyć, wytworzyć dużą pływkę, taką samą o jakiej wyżej mówiliśmy (rys. 7), zamieniającą się w ciągu kilku dni znów w pierwotek.

Jakżeż to wszystko dalekiem jest od dawnych pojęć. Jakżeż to dalekie, a jednak godniejsze poznanie i podziwu, od owych mniemanych czarów, którym w zjawisku tem niegdyś główną przypisywano rolę i za które niewinni ludzie szli na tortury i na stos. W jakżeż pięknem natomiast świetle przedstawia to nam tajemniczy dotąd ustrój niewidzialnego świata drobnych istot, a zarazem doniosłość wiedzy naszej, która ustrój ten, jak i ustrój świata całego, acz z mozołem, lecz coraz pewniej i jaśniej, wykrywa.

*

*

*

Przyczyna, powodująca powstawanie innego podobnego zjawiska, a mianowicie wzmiankowanych powyżej „cudownych plam krwistych“ na pokarmach, jest nieco inna.

Plamy czerwone, w zupełności podobne do plam krwi, dostrzegano na chlebie, rzemie, ziemniakach i innych gotowanych potrawach, już w prastarych czasach. Posiadamy zupełnie pewną wiadomość, iż jeszcze w r. 332 przed Narodzeniem Chrystusa zauważyli je

żołnierze armii Aleksandra Wielkiego, których przejął w skutek tego taki strach, iż wojownicy porzucali gromadnie obóz, oblegający wówczas miasto nieprzyjacielskie. Rozsypce armii zaledwie zdołali zapobiedz kapłani, którzy wytłómaczyli żołnierzom, iż plamy te są przepowiednią mającej się polać krwi nieprzyjacielskiej, że zwiastują przeto armii Aleksandra zwycięstwo.

Daleko gorsze skutki pociągało za sobą zjawienie się plam takich w czasach późniejszych, zwłaszcza w wiekach średnich, w których uważano je najczęściej za groźne objawy gniewu Bożego, zdradzające spełnienie przez ludzi grzechów śmiertelnych, najczęściej zabójstwa. Zdarzały się wypadki występowania nagle plam czerwonych na hostyi, przechowywanej w szczelnie zamkniętych miejscach. Tak np. w Niemczech, w 1292 roku wystąpiło to zjawisko naraz w wielu okolicach, zwłaszcza we Frankfurcie, gdzie w ciągu jednej nocy hostya pokryła się mnóstwem plamek barwy krwistej, tak, iż wyglądała jak zbryzgana krwią świeżą. Wzburzenie umysłów wśród ludu, wywołane tem zjawiskiem, doprowadziło we Frankfurcie, Würzburgu i Norymberdze do wymordowania 10000 żydów, których czary miały krew tę sprowadzić. W 218 lat po tym wypadku spalono znów w Berlinie na stosie 38 żydów przy okazji podobnego zjawiska.

W roku 1819 zjawily się plamy czerwone na chlebie we Włoszech, w r. 1848 w Niemczech, następnie widziano je często w różnych krajach, a ostatnio w r. 1894 w Anglii, gdzie wzbudziły obawę już tylko

wśród najciemniejszej sfery ludności. Uczeni wiedzą już bowiem od lat 50 co o tem zjawisku sądzić.

Przyczyną tych plam są również mikroskopowe roślinki, atoli nie są to rośliny typowe, gdyż nie zawierają, jak np. pierwotki, ciałek zieleni. Rośliny te pasorzytują na innych roślinach i ich przetworach, tak jak grzyby i w ogóle niezielone rośliny, nie mogące przyswajać kwasu węglanego i wytwarzać w sobie samodzielnie ciał organicznych. Należą one do tak zwanych bakteryj, o których dziś tyle słyszymy, i jak wszystkie bakterye, są one nadzwyczajnie drobnymi, bezbarwnymi komóreczkami roślinnymi, nie zawierającymi ciałek zieleni, ani nawet zupełnie wyraźnej, oddzielnej błonki komórkowej (rys. 9, 10, 11). Bakterye są przeważnie tak drobne, iż tylko przy pomocy silnie powiększających mikroskopów mogą być dostrzeżone jako drobne ciała; z powodu zaś swej bezbarwności i prostej, jednolitej budowy, uchodzą często uwadze badaczów, którzy, dla lepszego wykrycia ich, uciekać się muszą do zabarwiania tych drobnych istot rozmaitymi sztucznymi barwnikami.

Wszystkie bakterye posiadają postać bądź drobnych kulistych ziarenek (t. zw. koki rys. 9), bądź drobnych pałeczek (laseczniki, czyli bacylusy rys. 10), bądź wreszcie skręconych, najczęściej śrubowato, cieńszych lub grubszych niteczek (rys. 11); niektóre obdarzone są zdolnością poruszania się (rys. 10 i 11); rozmnażają się zaś przez podział (rozpadanie się na części), lub przez wydawanie z siebie drobnych ziarn, czyli zarodników (podobnych do koków, rys. 9); rosnąc w sprzyjających warunkach tworzą znów istoty

podobne do tych, z których powstały. Zarodniki unoszą się w znacznej ilości wszędzie w powietrzu, w wodzie, w ziemi, opadają wraz z kurzem na sprzęty nasze, odzież, pokarmy i t. d., przebywają we wnętrzu, jak i na powierzchni naszego ciała i wszystkich innych żywych i obumarłych zwierząt i roślin, znajdując niemal wszędzie tę odrobinę pożywienia, jakiej potrzebują.

Rozróżniamy bardzo liczne gatunki bakteryj, z których jedne są przyczyną wielu zakaźnych chorób, trapiących nasze ciało, inne znów nie przynoszą nam szkody żadnej. Pierwsze mianowicie, dostając się do naszego ciała z powietrzem wdychanem, z wodą pokarmami, które wprowadzamy do naszego ciała, lub też wnikając przez najmniejsze choćby ranki w skórę naszej, mogą, o ile ciało nasze jest osłabione i niezdolne do zwalczania tych wrogów, rozłożyć krew naszą, wytworzyć z niej ciała jadowite (tak zwane toksyny), zatruwające nasz organizm i sprowadzające często jego śmierć.

Dziś nauczyliśmy się już jednak walczyć z tymi wrogami naszymi, po większej części skutecznie; pokonywamy nawet groźne epidemie i nie pozostajemy wobec nich w bezczynności, jak dawniej, gdy epidemie przypisywano sprawie sił nieczystych. Co więcej, poznawszy przyczynę chorób, umiemy dziś im nawet zapobiegać, przekonawszy się, iż najczęściej dość jest w tym celu ustrzedz się wtargnięcia bakterji do ciała naszego, drogą utrzymywania tego ciała i wszystkiego, z czem się stykamy, w czystości.

Najwięcej jednak jest bakteryj zupełnie nie gro-

żących zdrowiu naszemu, żyjących nie we wnętrzu istot żywych, lecz na ciałach roślinnych i zwierzęcych obumarłych, na ich wydzielinach, przetworach i t. d.

Do takich właśnie bakteryj, rozwijających się najlepiej na przetworach roślinnych, służących nam za pożywienie, zwłaszcza na chlebie pieczonym, gotowanej rzemie, gotowanych ziemniakach i t. p., należy i bakteria, wytwarzająca owe plamy czerwone, o których mówiliśmy. Bakterye te (rys. 12), dostrzegamy pod mikroskopem w postaci nader drobnych, bezbarwnych, nieco owalnych ziarenek, niemal punkcików (mikrokoków). Gnieźdzą się one najlepiej w wilgotnych miejscach, w kościołach, piekarniach i t. d., występują jednak rzadko, tak iż mijają całe szeregi lat, zanim te bakterye się gdzieś zjawią. Rozkładając chleb lub ziemniaki, wytwarzają one barwnik czerwony, przypominający barwę krew zwierzęcą, a mający pod względem składu swego i własności wiele podobieństwa do najpiękniejszych z używanych dziś barwników anilinowych (jakkolwiek ustępuje ostatnim pod względem swej trwałości). Dziś umiemy bakterye te hodować sztucznie zarówno na chlebie, ziemniakach, jak i na innych ośrodkach i wytwarzać tą drogą dowolnie owe plamy czerwone. Plamy te mają wygląd karminowej, śluzowatej substancji, różnej wielkości i postaci i wydają woń nader przykrą. W ciepłe 37° C. tracą te bakterye zdolność wytwarzania barwnika, tak, że nawet wielkie ich skupienia są bezbarwne; w niższej ciepłocie powraca znów ta zdolność po pewnym czasie.

Nietylko ten gatunek bakteryj wytwarza barwni-

ki. Znamy wiele innych gatunków posiadających zdolność wytwarzania różnych substancyj, żółtych, zielonych, różowych, niebieskich i t. d.; tak np. zdarzające się niekiedy niebieskie zabarwienie mleka powstaje również pod działaniem pewnego gatunku bakteryj. Do takich bakteryj barwiących należy też tak zwana bakteria czerwonego potu, która gnieździ się niekiedy pod pachami i jest powodem, iż pot w tych miejscach zabarwia się na czerwono. Obok barwiących znamy również bakteryje świecące, sprawiające np., iż nieświeże mięso w ciemności często świeci.

Istnieją liczne gatunki bakteryj, przynoszących ludziom pożytek. Kwaśnienie ogórków, kapusty, mleka i t. p., możność zmiękczenia lnu i konopi przez wymacanie, wytwarzanie tak zwanego „kwasu“, służącego do rozczyniania ciasta żytniego, wytwarzanie octu z wina i t. d., im zawdzięczamy. Wszystkie te zmiany, zarówno jak wiele innych, niekiedy pożytecznych dla nas, lub też, przeciwnie, szkodliwych i niepożądanych (np. jęlczenie masła) stanowią początek psucia się, rozkładu pokarmów naszych, czy innych ciał, wydzielin przetworów roślinnych i zwierzęcych. Skoro raz rozkład taki się zacznie, następuje po nim cały szereg dalszych zmian, dalszej działalności niszczącej, sprowadzanej znów przez inne gatunki bakteryj, później przybywające, gdy już poprzednie bakteryje odpowiedni dla nich grunt przygotowały.

Ten szereg zmian nazywamy ogólnie „gniciem“. Każde ciało roślinne, lub zwierzęce opadane jest zawsze po śmierci przez miliardy bakteryj, które je roz-

kładają, toczą, niszczą tak, iż wreszcie nie pozostaje z ciała tego prawie śladu. Gdyby nie bezustanna działalność tych bakterij gnilnych, ziemia cała byłaby pokrytą trupami zwierząt i roślin. Tocząc ciało organiczne po śmierci zamieniają je bakterye gnilne, a także inne istoty, zwłaszcza grzybki, napowrót w ciała mineralne, w kwas węglany, uchodzący jako gaz w powietrze i w sole mineralne, pozostające jako popiół po zgniciu ciała w ziemi. Tak więc zamieniają te istoty wszystkie substancje organiczne w te ciała mineralne, z których rośliny zielone, jak powiedzieliśmy wyżej, zdolne są na nowo wytworzyć cukier, krochmal, białko i inne substancje, podtrzymujące życie roślin i zwierząt. Tym sposobem, dzięki śmierci jednych istot, dzięki zwłaszcza tej działalności bakterij, sprowadzających gnicie ciał roślinnych i zwierzęcych po śmierci, może powstać na ziemi nowe życie.

*

*

*

Czem jest to życie? Dlaczego zaródź ma te dziwne własności, jakich nie widzimy w żadnych innych ciałach, dlaczego ona jedna zdolna jest odżywiać się, oddychać, rosnać, rozmnażać się, dlaczego ona tylko objawia ruch samodzielny i wrażliwość na podniety zewnętrzne — to właśnie dotąd nauka, w małej nader częstce, zdołała zbadać zaledwie, — to stanowi dopiero przedmiot usilnych poszukiwań badaczy. Pomimo, iż pytanie — czem jest życie — zajmuje umysł ludzki od najdawniejszych czasów, nie zostało ono jednak do-

tychczas jeszcze rozstrzygnięte. Sprawę tę pokrywa wciąż mgła tajemniczości.

Nauka, która oświeciła już tyle pozornie tajemniczych i niezrozumiałych zjawisk, nie poskąpi nam prawdopodobnie i w tej sprawie ożywczego światła, wskazującego drogi, wiodące do prawdy. Im szerzej rozlewa się to światło wiedzy, im dalsze zatacza kręgi, tem wyżej podnosi ducha naszego, łagodząc obyczaje, uśmierzając nienawiści, uszlachetniając dążenia, wzbogacając umysły, wzmacniając siły wytwórcze i wzmagając przez to sumę moralnego i materyalnego dobra ludzkości. Ufajmy wiedzy i starajmy się przyczynić do jej zwycięstwa.

M. Heilpern.



NA WAKACYACH.

Komedyjka w I-m akcie.

OSOBY:

P. Turzycki. P.

Lucynka P.

Lola P.

Zdzisław P.

Julek P.

jego dzieci.

Stanisław Wojnowski, kre- P.
wny p. Turzyckiego.

P. Prawdomowska. P.

Łazańska — klucznica. P.

Piotruś. P.

Scena przedstawia werandę domu wiejskiego. Dziewczynki zajęte robótką—
jeden z chłopców czyta, drugi rysuje.

SCENA I.

Zdzisław, Julek, Lucynka, Lola.

Zdzisław (*podnosząc oczy z nad książki*). Jak się nazywa nasza przyszła opiekunka?

Lola. P. Julia Rządnicka. Ale dlaczegoż z takim akcentem wymawiasz opiekunka?

Zdzisław. Z akcentem... z akcentem... trzeba ci wiedzieć, a właściwie powinnaś wiedzieć, że mowa bez akcentów jest tak mdła... jak kaszka na mleku, którą nas Łazańska raczy od czasu do czasu.

Lola. To niewiele objaśnia. Ale ja dobrze rozumiem, o co ci chodzi,—chcesz? to ci powiem.

Zdzisław. Widocznie i ty to samo myślisz, a więc słuchamy.

Lola. Korci cię, że Ojczulek mało ma do nas zaufania.

Wszyscy. O tak... tak!

Lola. A jednak... zasługujemy na nie chyba... Zdzisław i Julek obaj dostali promocye, jeden do V-tej, drugi do III-ciej klasy, ja przechodzę z pochwałą do IV-tej, a Lucynka z nagrodą do VI-tej...

Julek. Że też wy zawsze musicie wystąpić ze swemi nagrodami i pochwałami. Kto się sam chwali, tego piorun pali.

Zdzisław. Nie macie się czem tak bardzo szczyścić, kochaneczki! Gdybyście były w naszym gimnazyum, inaczej śpiewałybyście... U was na pensyi nagród i pochwał jak kasy, możnaby przesiać przez grube sito i jeszczeby za dużo zostało.

Lola. O, już proszę cię, czy nie zazdrość przez ciebie przemawia?

Lucynka (*biorąc ją za rękę*). Daj pokój, Lolu, nie jesteśmy przecież dziećmi, żeby się spierać o byle głupstwo. Przyznaję, że wam trudniej może niż nam pozyskać odznaczenie... jestem jednak pewna, że wszyscy jednakowo staramy się zasłużyć na zadowolenie Ojczulka, i nie robimy mu wstydu naszym postępowaniem. Więc...

Zdzisław. Więc... Nie dokończyłaś zaczętej myśli.

Lucynka. Więc Ojczulek mógłby zaufać nam i nie sprowadzać żadnych opiekunek wakacyjnych... nie jesteśmy przecież dziećmi (*wszyscy przytakują*).

Lola. Ja doprawdy nie spodziewałam się tego po ojczulku.

Lucynka. Łazańska doskonale gospodarstwo prowadzi.

Lola. Mybyśmy chętnie dopomagały jej w utrzymaniu porządku domowego.

Julek. Nienawidzę babskiej opieki (*przedrześniając*): „Nie siadaj na tego konia, bo cię zrzuci!“ „Nie pij wody, boś zgrzany! Nie możesz się kąpać teraz; za godzinę!“ I tak przez cały dzień! Choćbyś swoją cierpliwość jak taśmę gumelastyczną wydłużył do możliwych granic,—w końcu musi pęknąć.

Zdzisław. Gotowa jeszcze wtrącać mi się do moich doświadczeń. Ale nie pozwolę na to!

Lucynka. Ojciec zapowiedział nam, że powinniśmy być posłuszni, gdyż p. Rządnicka tylko rozsądnych rzeczy od nas wymagać będzie....

Julek. Tylko że podług mnie babski rozsądek...

Lola (*z żywością*). No proszę, proszę, ostrożnie, bo możesz niechcący głupstwo powiedzieć.

Julek. Głupstwo, głupstwo! Pytanie jeszcze, co jest głupstwem. Ale po co nam ta opiekunka?

Wszyscy. Ach tak! tak!

Julek. Moglibyśmy się bez niej obejść doskonale.

Zdzisław. Ach Boże! Gdybyż to można samemu od siebie zależyć! Nie lękałbym się wcale, sam za czyny swoje odpowiadać! Już tak mi ta niewola zbrzydła!! (*z rosnącym zapalem*): Czujesz w sobie coś, co cię pcha naprzód, daleko, — a tu krępują cię jak dziecko w powijakach; zdaje ci się, że ci skrzydła... ten tego... jak u ptaka... do lotu..., a tu jesteś jak w sieci... Uf! co za życie, co za życie!

Lucynka. Ciekawa jestem, po co poeci wysławiają tak młodość, tyle jej znaczenia przypisują, kiedy w praktyce starsi wszystkiego ją pozbawiają... (*z patosem*)

„Młodości! Ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przenikaj z końca do końca!”

Zdzisław. O mistrzu Adamie! Dlaczegoż duch twój nie ożywia naszych przełożonych!

Lola. Nie jestem tak poetyczną jak wy, istotą, ale w tem zupełnie się z wami zgadzam, że niewoli nie cierpię, i dlatego pensya już tu mi stoi (*pokazuje na gardło*).

Julek. O cóż ci chodzi, nie jesteś przecie w tej chwili na pensyi.

Lola. Ale wakacje się skończą i trzeba będzie znów wracać na te same rozkosze...

Zdzisław. I to mówi uczennica, która dostała pochwałę za wzorowe sprawowanie! Gdyby cię tak twoje zwierzchniczki słyszały!

Lucynka. Co mnie najbardziej niecierpliwi, to traktowanie jak dzieci osób... prawie dorosłych (*prostując się*), które przecież własne zdanie o wszystkim mieć mogą. Wyobrażcie sobie, że czytać można to tylko, co przejdzie przez cenzurę przełożonej... Więc wolno nam czytać, byle nie Słowackiego, tego poetę z rozczochranymi włosami, byle nie Wiktora Hugo, tego genialnego narwańca, byle nie Konopnicką, tę, niezadowoloną z wielu rzeczy na świecie, filozofkę, byle nie Sienkiewicza, byle nie Orzeszkową... słowem, byle nic takiego, co zając, wzruszyć, zelektryzować może...

Lola. Kończy się wreszcie rok tej męki, liczy się dni, godziny do wakacyi...

Lucynka. I doznaje się na wstępie niemiłego zawodu. Żegnajcie marzenia o swobodzie! Dostajemy opiekunkę, która ciągle strofowanie będzie zapewne za najpierwszy swój obowiązek uważała. Gdyby nie niespodziane zasłabnięcie siostry, miałybyśmy już ją od tygodnia...

Julek. Na karku, — wszak to chciałaś powiedzieć, siostrzyczko?

Lucynka (*krzywiąc się*). Wiesz, że nie znoszę trywialnych wyrażen.

Julek. Wiem, wiem. Mam siostrę poetkę, romantyczną, rozmarzoną jak płaczącą wierzbę... przepadającą za księżycem i... suflami z jabłek!

Lucynka. Żartuj sobie! (*zrezygnacyj*): Przywykłam już do tego, że mi własne rodzeństwo nawet dokucza... Na pociechę przywiozłam sobie zapas cudownych książek. Czy tylko będę je mogła przeczytać?

SCENA II.

Ciż sami i Łazańska (w kaftanie, dużym fartuchu, klucze u pasa, czepiec ze szlarkami).

Wszyscy. Aaa! Łazańsia? Jak się Łazańsia ma?

Łazańska. Mam się... jak groch przy drodze, co go wszyscy skubią. Chryste Panie! Że też to panu wypadło wyjechać, nikogo w domu! Broń Boże jakiego wypadku...

Julek. Co?.. Nikogo?! Co też Łazańsia wygaduje? A my? To nikt?

Łazańska. Eee! Takich panów jak wy — para za trzy grosze!

Wszyscy. Co? co? co?!

Lola. A to komplement!

Lucynka. Za kogo nas Łazańsia ma?

Łazańska. Mam was za pańskie dzieci, które na rękę wypiastowałam. Wiecie, robaczki, że stara Łazańska kocha was jakby własne...

Wszyscy. Wiemy! Wiemy!

Łazańska. Ale, prawdę mówiąc, was się tu nikt nie boi. Co innego jak pan się odezwie... Pańska prośba — jakby groźba...

Zdzisław. Łazański się zdaje, że czas stoi na miejscu, (*stając obok niej*) proszę spojrzeć! ładne mi dzieciątko ze mnie!

Lola. Tak, tak, czas leci, żaden ptak nie dogoni, a Łazański wciąż się zdaje, żeśmy małe i głupiutkie.

Łazańska. Broń Chryste Panie! Wiem, że się w książkach uczycie, i to takich mądrych rzeczy, że nawet mi głowy nie staje, żeby nazwania spamiętać... no, ale to inna rzecz w szkole się uczyć, a inna w domu zarządzić, żeby to wszystko było dobrze i składnie. Zresztą ładu niewiele, gdzie panów wiele. Już to jak pan w domu, człowiek spokojniejszy... a tu, nie dopuść Panie czego złego! ludzie takie straszne historie opowiadają...

Wszyscy. Co takiego? Niech nam Łazańsia powie?

Łazańska (*tajemniczo*). Mówią że ten zbój... Pawlak... no, wiecie przecież, robaczki?... ten, co go to nie mogli ująć...

Wszyscy. Wiemy, wiemy.

Julek. No, więc cóż ten Pawlak?

Łazańska. Powiadają, że on wcale nie jest w Ameryce, tylko że zebrał sobie bandę takich samych łotrów i grabi po nocach, napada na dwory...

Dziewczynki (*przerażone*). O Boże! ratuj nas!

Zdzisław. Że też wy zaraz wszystkiemu wierzycie i lękacie się, jakby było czego.

Łazańska. O, co też to panicz mówi! Jakby było czego? Nie daj Panie w złą godzinę wymówić, taki zbój nic nie pyta, życia nie daruje, nietylko że pieniądze odbierze!

Zdzisław. Eeee, przesadza Łazańska. Zresztą jestem przecież w domu, więc nie powinnyście się lękać... jestem mężczyzną i w razie potrzeby obronić was potrafię!

Lucynka i Lola. Oooo!

Zdzisław (*obrażony*). Co za oooo! (*przedrżesniając*): oooo! Wiedźcie, że nie lękam się niczego, (*ogłędając się, czy kto nie przeczy*), tak, niczego! a nawet... pragnę jakiego napadu...

Łazańska (*chwytając się oburącz za głowę*). O dla Boga! ratuj Panie nas grzesznych! Słyszycie! Co ten sowi. zdrzał plecie? on pragnie napadu.

Zdzisław. Aby dowieść, że was ocalić potrafię! Czuję w sobie nieustraszone męstwo i śmiałość...

SCENA III.

Ciż sami, p. Prawdomowska (ubrana po staroświecku, duży kapelusz, kolorowy parasol, torba na rękę; wszedłszy niepostrzeżenie, przysłuchuje się rozmowie).

P. Prawdomowska. Czy także roztropność i rozwagę? Wierzą mi, kawalerze, że bez tego jest się tylko junakiem, nie

prawdziwie odważnym, a junak łatwo się może skompromitować przy sposobności.

Zdzisław (*na stronie*). No proszę! Kawalerze! plus de poufance, que de znajomance — i nauka moralna na wstępie!

P. Prawd. Czy zastałam pana Turzyckiego.

Lucyna (*wstając*). Ojca niema w domu. Otrzymał telegram, wzywający go do miasta gubernialnego; oczekujemy go najdalej jutro, tymczasem, czem pani służyć możemy?

P. Prawd. Uf! Jakżem się zmęczyła. Pozwólcie, że odpocznę.

Lola. Niech pani zechce usiąść (*podsuwa jej krzesło*).

P. Prawd. Zostawiłam mój wózek na drodze, w cieniu, wolałam iść pieszo, aby dobrze przyjrzeć się wszystkiemu... Jestem stara ciekawska... lubię wszystko dokładnie widzieć.

Julek (*na stronie*). To niekoniecznie potrzebne.

P. Prawd. Za stodołą wyłajałam parobka, że źle orze... Nie zajmuje pługiem głęboko, jak się należy, tylko skrobie byle zbyć — po wierzchu. Gdy są w domu tacy młodzi kawalerowie, to powinni znać się na każdej gospodarskiej robocie, zajrzeć wszędzie, dopilnować...

Zdzisław (*na stronie*). A to baba wścibska! (*głośno*): Pani lubi widocznie interesować się bliźnimi...

P. Prawd. I uważam to poniekąd za swój obowiązek, mój młody kawalerze... Przechodząc przez ogród, zauważyłam, że zielsko wybujało i zagłusza kwiatki; panienki nie powinny do tego dopuścić.

Lola (*na stronie*). Dostało się i nam... Niewiadomo skąd bura na ciebie spadnie, ale spadnie. To los!!

Lucynka. Szanowna pani musi mieć dużo wolnego czasu do rozporządzenia, skoro na wszelkie szczegóły zwraca tak baczne oko...

P. Prawd. Istotnie, moja panienko, na czasie mi nie zbywa, tego powiedzieć nie mogę, ale nie mogę też przyznać, abym czas marnowała. Patrzę, aby widzieć; to, co widzę notuję w pa-

mięci, i według tego reguluję moje postępowanie... Uff! jakie gorąco... Dobrze wam tu siedzieć w chłodzie, a ja stara trzęsłam się dzisiaj 3 mile na moim wózku... Bądźcie gościnne, moje panienki i poczęstujcie mię szklanką świeżej wody...

(Lola dzwoni. Łazańska wtyka głowę przezedrzwi.)

SCENA IV.

Ciż sami. Łazańska.

Łazańska. A czego tam chcecie? — wszyscy przy ro-bocie.

Lola. Niech Łazańska poda pani szklankę zimnej wody.

Lucynka. I soku... (*na stronie*). Wypada być gościn-ną w każdym razie...

P. Prawd. Dziękuję... Milej by mi zapewne było z wła-snych rączek panienek przyjąć szklankę wody..., ale smako-wać mi też będzie, choć ją poda Łazańska. To jakaś poczci-wa kobieta być musi. (*Wchodzi Łazańska z tacą i nalewa soku do szklanki*).

P. Prawd. Oho! widzę, że wam się sok zgaleretował! To nie dobrze!! widocznie przesmażony.

Łazańska (*dygając i prostując się*). Z przeprosze-niem Wielmożnej Pani Dobrodziki, — mam zaszczyt reko-mendować się (*dyga*)... Pulcherya z Pierożyńskich Łazańska. Od takiego berbecia służywałam po dworach, a że byłam zaw-sze pragnąca przyuczyć się, tom się pilnie przypatrywała, jak się co robi... korzystałam też i od kucharzy i od pań, i z no-wych książek, i ze starych przepisów... służyłam za szafarkę u pp. Michalewskich, u pani sędziny Troczewskiej, u hrabiny Pędzikowskiej, u księdza dziekana z Poddębna, — a jużto nie chwałac się,—w całej okolicy mówiono: niema jak soki i kon-fitury Łazańskiej... Sama pani Ćwierciakiewiczowa, ile razy przyjechała do naszych państwa, to zawsze do mnie przy-chodziła wedle pogadanki i nieraz mówiła, — jak pragnę

zbawienia, tak mówiła: „Gdyby było więcej takich, jak ja i ty, moja Łazańsiu, toby inaczej było na świecie!“ Niektóre sekrety gospodarskie, to nawet przepisała odemnie i powiedziała, że je wydrukuje w swoim kalendarzu, — niech nie oglądam jasności niebieskiej, jeśli kłamię!...

P. Prawd. Ależ wierzę ci, moja pani Łazańska, nie gniewaj się, sok zgalaretowany, — to prawda, ale to nie przeszkadza, aby był wyborny w smaku.

Łazańska (*dygając*). Do usług Pani Dobrodziki, — daj Boże, aby wszystkie soki tylko takie były! (*Wychodzi*).

P. Prawd. Podoba mi się ta wasza Łazańska, — widać zaraz, że pracowita i doświadczona kobieta, a że swojej sławy broni — zganić jej tego nie można. Wracając do poprzedniej rozmowy, wspomniałam, że nie mam na sumieniu zmarnowanego czasu — i wy zapewne moi młodzi państwo, tak samo jak ja, macie to zawsze w pamięci, że czas i woda nie wróci.

Julek. Mamy właśnie wakacje, więc należy nam się wypoczynek po trudach roku szkolnego.

Zdzisław. Zbieramy zapas zdrowia i sił do dalszej pracy.

P. Prawd. Owszem, — to czas bynajmniej nie stracony.

Zdzisław (*na stronie*). Baba wścibska, trzeba jej też nablagować (*głośno*): Korzystając z chwil wypoczynku, układamy sobie plany... na przyszłość.

P. Prawd. Ależ to bardzo piękne, — tylko pochwalić można. Wiele zyskuje, kto myśli zawczasu. I jakież są te plany, jeśli wolno wiedzieć?

Zdzisław. Nie chciałbym za nic, aby życie moje poszło zwykłą, utartą koleją... Lękam się i niecierpię pospolitości... Będę dzielnym marynarzem, — a może sławnym podróżnikiem, będę zwiedzał dalekie kraje, narażał się na niebezpieczeństwa... będę ich szukał... walczył z dzikimi zwierzętami... będę wdrapywał się na najwyższe szczyty... spuszczał na dno niezgłębionych przepaści...

Lola (*podbiegając*). Zdzisiu, co za myśli... ja... lękam się o ciebie.

Zdzisław (*półgłosem*). Ależ nie lękaj się... to naumyślnie...

P. Prawd. Aż mrowie przechodzi, słuchając tego... Piękna to rzecz — odwaga, ale czy nie pożyteczniej byłoby pozostać w kraju, choć niema w nim ani niebotycznych szczytów, ani niezgłębianych przepaści, pracować na miejscu, u siebie, dla swoich?

Zdzisław. To zbyt nudne, proszę pani. Miałbym pleśnieć na wsi — siał, żąć, lub kosić i martwić się, że albo susza pali, albo deszcz moczy zanadto? Dziękuję! Mogę się zrzec tych rozkoszy, nie wyłączając sąsiedzkiego winta... Życie wtedy dopiero jest przyjemne, gdy obfituje w silne wrażenia... Już jeżeli grać, — to albo wszystko od razu stracić, albo wygrać miliony... — Albo wyścigi... co to za cudowna rzecz być właścicielem konia, który pierwszy dobiega do mety wśród oklasków zachwyconego tłumu...

Julek (*półgłosem*). Zapędzasz się, braciszku!

Zdzisław (*również półgłosem*). To naumyślnie.

Julek. Aha! rozumiem (*głośno*). O, ja także nienawidzę życia jednostajnego na wsi... chciałbym mieszkać w mieście, chodzić codziennie do teatru, bywać często w cukierni, ubierać się modnie... i zadawać szyku...

P. Prawd. Ha! Radziłabym tylko pamiętać, co powiedział nasz Krasicki: „Gdy się czas zmieni, — na to co w wiosnie pragniesz, zapłaczesz w jesieni“ (*zwracając się do Loli*). A panienka, — czy także marzy o tem, jak to będzie?

Lola. Naturalnie. Chciałabym wylądnieć (*oszczypując nos*), z nosa szczególnie nie jestem zadowoloną i nie tracę nadziei, że przybierze z czasem estetyczniejszy kształt... chciałabym także stracić piegi, nosić modne i eleganckie suknie, mieć zgrabną ciemnozieloną amazonkę, konia do wierzchu, czystej krwi araba... no—i wszystkim się podobać...

P. Prawd. Tylko tyle!

Lola. Wszak niewiele żądam?

P. Prawd. To zależy. Na lalkę to wiele, na kobietę— za mało.

Lucynka. Ja chciałabym mieć dużo, dużo pięknych książek, — czytać wszystkie, bez żadnych ograniczeń, — chciałabym także podróżować, zwiedzać piękne miejscowości, a szczególnie takie, które wślawiły się pobylem znakomitych ludzi... Marzeniem mojem być w Wejmarze, gdzie żyli Schiller i Göthe, widzieć Genewę, gdzie przebywał Słowacki... i chciałabym także zostać sama sławną autorką..

P. Prawd. Niema w tem nic złego... owszem... tylko, że to czasem wyteżając wzrok daleko, nie widzimy tego, co blisko... — tamtego nie osiągniemy, a to się znów zmarnuje bez pożytku... Wierzaj mi panienko, że to często tak bywa... stara jestem i niejedno widziałam na świecie...

Julek. Przedewszystkiem w najbliższej przyszłości nader byłoby pożądanem uwolnić się od nieproszonych uwag i przestróg... Każdy ma swój rozum, no i ambycję, i sam jest interesowany w tem, żeby dobrze postępować, bez względu na to, że każdy, kto w Boga wierzy, uważa za obowiązek wtrącić swoje trzy grosze... (*śmiech*).

P. Prawd. W mój to ogród rzucony ten kamień... Rozumiem. Ha! coż robić, — niedarmo jest przysłowie, że prawda w oczy kole... Ale konik mój już musiał wypocząć, widzę nawet, że Antek podjeżdża, — trzeba spieszyć dalej. Do widzenia, — życzę spełnienia zamiarów... nie powiem, żeby wszystkich... Proszę pamiętać, że jakie kto zboże do młyna zawiezie, taką też mąkę do domu przywiezie. Do widzenia!

Dzieci. Do widzenia pani, szczęśliwej drogi.

SCENA V.

Ciż sami i Łazańska.

Łazańska. Wiecie, robaczki, dowiedziałam się, kto to jest ta imość. Wybiegłam wypytać chłopaka, co ją przy-

wiół. To pani Prawdomowska z Kozłówki, o 3 mile stąd, parafia do Smogorzewa. Okrutna dziwaczka, bogata!... siedzi na pieniądzech, a kutwa, aż strach! Ni to sukni porządnej, ni powozu, jeździ biedką, jak nasz pachciarz...

Julek. Aha! słyszeliśmy nieraz o niej.

Lucynka. Ale niektórzy mówią, że ona wcale taka skąpa nie jest, robi nawet dużo dobrego, tylko zawsze w dziwaczny sposób.

Łazańska. Niech tam ona sobie będzie i dobroczynna, o to się nie myślę ugryzać, tylko na sokach, to się nie zna, — to jej w oczy powiem! Zgalaretowany! — no proszę!... Co to ja miałam powiedzieć?... Aha! kramarz przyszedł, rozłożył swój tłumok w czeladnej, może wam potrzeba coś kupić?

Wszyscy. Idziemy, idziemy!

SCENA VI.

Pan Wojnowski, Lola i Lucynka.

P. Wojnowski (*wchodzi wolno, oglądając się na wszystkie strony*). Wszystko tak jak było... Zdawało mi się, że na obczyźnie stwardniał na kamień, tymczasem coś dziwnego się ze mną dzieje, na myśl, że jestem tutaj, pod tym dachem, który był dla mnie prawie rodzinnym. Poczciwa ciotka przygarnęła mnie po śmierci rodziców i kochała prawie tak jak swego jedynaka... Jak on teraz wygląda? Czybym go poznał? Wiem, że go niema w domu, ma wrócić niezadługo, ale chcę mu zrobić niespodziankę, nie przyznam się, kim jestem, — tymczasem muszę poznać jego dzieci... A otóż i one.

(Dziewczęta wchodzi, zdziwione obecnością nieznajomego, kłaniają mu się zdaleka).

P. Wojnowski. Zapewne córki pana Turzyckiego?

Lucynka. Tak.

P. Wojn. Czy której z pań na imię Lucyna?

Lucynka. To mnie (*zaciekawiona*); ale skąd pan zna moje imię?

P. Wojn. Mam z natury dar odgadywania (*na stronie*): to imię ich babki.

Lola. A moje imię, czy pan zgadł także?

P. Wojn. Zofia.

Lola. Nie, Aleksandra.

P. Wojn. Zdarza mi się niekiedy omylić.

Lola. Niech mię pan nauczyc, po czem to można poznać?

P. Wojn. I owszem, — tylko że to tak odrazu wytłumaczyć się nie da, trzeba do tego pewnej kombinacji i wprawy, a każda wprawa wymaga czasu.

SCENA VII.

Ciż sami, Zdzisław i Julek.

Julek. Kto to? Znów jakiś nieznajomy? Dziś jest dzień od niespodziewanych wizyt.

Zdzisław. Siostrzyczki, zechciejcie nas przedstawić panu...

Lucynka. Ależ my właściwie nie wiemy, z kim mamy przyjemność...

P. Wojn. Jakiż ze mnie dystrakt! — powinienem był zacząć od tego. Jestem... Maks Wolf; zwiedzając okolicę, nie mogłem oprzeć się chęci obejrzenia zblizka tutejszego dworu...

Zdzisław. Bardzo nam przyjemnie — jesteśmy Turzyccy, synowie właściciela, nieobecnego w tej chwili... Czem panu służyć możemy?

P. Wojn. Właściwie miejscowość ta interesuje mnie ze względu... na jej malowniczość...

Julek (*na stronie*). Jakiś artysta.

Zdzisław. Pan zbiera zapewne studia.

P. Wojn. Tak, tak, istotnie,—zbieram studia... Dworek państwa należy do najbardziej typowych w swoim rodzaju.

Lola. A czy ma pan z sobą przyrządy do studyów?

P. Wojn. (*zaambarasowany*). Przyrządy? aha! przyrządy! W tej chwili nie mam ich pod ręką... Jest jednak zawsze przyrząd naturalny... oko,—na siatkówce, jak na kliszy fotograficznej, odbijają się obrazy przedmiotów, które już później łatwo jest przenieść na papier lub płótno z pamięci. Jeśli więc damy (*z grzecznym ukłonem*) zechcą być łaskawe na swego sługę, to mu pokażą i wewnątrz tego domu, i oprowadzą po ogrodzie...

Lucynka. I owszem, prosimy bardzo, niech pan zechce wejść... (*wchodzi*).

Lucynka (*odwracając się odedrzwi*). Jakiż on grzeczny! i jak ładnie mówi!...

SCENA VIII.

(Łażańska wtyka głowę i nie widząc nikogo, postępuje na środek sceny).

Łażańska. Ratuj nas Ś-ty Floryanie! Patronie od niebezpiecznych wypadków! Co to będzie! co to będzie! Pietrek, co pasie gęsi za stodołą, przyleciał dać znać, że jakiś nieznajomy wciąż obchodzi dwór naokoło i przypatruje się bystro. Już i tak śmiałość wielka, a tu masz tobie! w biały dzień przychodzi do dworu, rozgląda się jak w tyjatrze, a te dzieci oprowadzają go jeszcze po pokojach, pokazują wszystkie zakątki... Dzieci, ot zwyczajnie dzieci! zawsze to jeszcze, z przeproszeniem, pstro w głowie, a tu jak na złość pana w domu niema! O biedna moja głowa! Co to będzie! Co to będzie! (*szalamuje ręce i stoi parę chwil ze spuszczoną głową*).

SCENA IX.

Łażańska, Zdzisław.

Zdzisław. A dobrze żem się wyrwał! Niech tam siostry robią honory domu, zdaje mi się, że im to nawet sprawia

przyjemność, — a tam pewnie fornale swoim koniom poddali owśa, a mego kasztanka zostawili na sianie... Podług ich zdania, to darmożjad i lepszego pożywienia nie potrzebuje... zawsze go krzywdzą, ale już ja ich dopilnuję... (*Wybiega, — Łazańska zatrzymuje go*).

Łazańska. Paniczu!

Zdzisław. Co takiego?

Łazańska. Czy panicz przypatrzył się temu nieznanemu gościowi?

Zdzisław. A czemu nie? przypatrzyłem się.

Łazańska. No i co?

Zdzisław. No i nic. Podobny do ludzi, — znaków szczególnych żadnych (*chce wybiedz, Łazańska wstrzymuje go*).

Łazańska. Paniczowi zawsze żarty w głowie... Trzeba go mieć na oku.

Zdzisław. Kasztanka? Ja sam wiem, że trzeba, — więc muszę się właśnie przekonać... (*chce znów wybiedz, Łazańska wstrzymuje go*). Cóż znów u licha, czego Łazańska chce (*z gniewem*), niech się wreszcie dowiem...

Łazańska (*niecierpliwie*). Czego ja chcę? chcę spokoju, chcę bezpieczeństwa, chcę ocalenia... ratunku...

Zdzisław. A to znowu co za komedia? ocalenia? ratunku? ależ od czego?

Łazańska. Od wszystkiego, — od napadu, od rabunku, od pożaru, od morderstwa!...

Zdzisław. Niech mię kury zdziobią, jeśli cokolwiek rozumiem!

Łazańska. Przypatrzył się panicz temu... nieznanemu?

Zdzisław. Mówiłem już, że przypatrzyłem... więc co?

Łazańska (*stając przed nim ze skrzyżowanemi rękami*). Do kogo on podobny?

Zdzisław. Do kogo? a no do siebie, a może do swego ojca, albo do matki, do ciotki, do babki, do ciotecznego brata, do przyrodniego stryja, czy ja wiem wreszcie?

Łazańska. A ja paniczowi powiem, że ja mam jego fotografię, podobniuteńki jak dwie krople wody, nos tylko niby inny i czupryna nie taka zawadyacka, ale wiadomo przecież, że tacy ludzie zmieniają twarz jak im potrzeba...

Zdzisław. A to bardzo wygodnie mieć twarz na zmiany. Któż to taki?

Łazańska. W tem sęk, to ptaszek nie lada.

Zdzisław. Więc któż to jest, niechże się dowiem?

Łazańska (*przechylając się i zasłaniając usta ręką, mówi głośno do ucha*): To... Pawlak...

Zdzisław. Cha, cha, cha, cha! Przez imaginację pojechał na koronację. Co też Łazańsi do głowy strzeliło.

Łazańska. Strzeliło—nie strzeliło, tylko poznałam z fotografii.

Zdzisław. Gdzież ona jest?

Łazańska. W kufierku.

Zdzisław. No, to proszę pokazać.

Łazańska. Ba! kiedy mi się przez te termedye kluczyk gdzieś zatrzasnął...

Zdzisław. Skądże Łazańsia doszła do tej fotografii?

Łazańska. Dostałam od pisarza gminnego... Przysłali z urzędu, a że ja się okrutnie boję tego zbója, więc pan pisarz naumyślnie jedną dla mnie schował i dał mi przed kościołem, mówiąc: Teraz będzie pani Łazańska mogła odrazu tego zbója poznać, to zawsze bezpieczniej na wszelki przypadek...

Zdzisław. Czyżby to było możebne?

Łazańska. A ja powiadam paniczowi, że ot tu przyszedł kąty wypatrzyć, aby po nocy z bandą tem łatwiej do wszystkiego trafić...

Zdzisław. Kto go wie... mówił tak jakoś niepewno, jakby się wahał, przypatrywał się z taką uwagą, prosił, żeby go po pokojach i po ogrodzie oprowadzić...

Łazańska. Chryste Panie! Ja tu gadam, a tam śpizarnia otwarta, jeszcze się kot zakradnie! (*wybiega*).

SCENA X.

Zdzisław, potem Lucynka.

Zdzisław (*chodzi zamyślony*). Ostatecznie, kto wie? Łazańska miewa wprawdzie przywidzenia, no, ale ta fotografia..., muszę na wszystko dać baczenie, obmyśleć naprzód... Nadeszła sposobność okazania, żem istotnie odważny... Napoleon Wielki nigdy nie tracił zimnej krwi, w tem sekret jego powodzenia... Ale kasztanka zostawić bez siana, na to nie pozwolę (*wybiega*).

(Lucynka wchodzi zamyślona).

Lucynka. Nie... chyba się nie mylę. Znam się trochę na fizyonomiach, nieraz z twarzy człowieka staram się odgadnąć, kim on jest i często... no, często jak często, ale czasami, czasami udaje mi się. Wyraz niepospolity, czoło myślące, oczy głębokie, spojrzenie badawcze, a odezwie się nieraz tak, że odrazu poznasz, że to nie ot! taki sobie zwyczajny, tuzinkowy człowiek... Ach Boże! jeśli to prawda, dzień dzisiejszy byłby chyba najpiękniejszym w mojem życiu.

Zdzisław (*wbiegając*). A co? zgadłem! nie dali obroku kasztankowi! O jacy to ludzie! (*chce wybiedz, Lucynka go wstrzymuje*).

Lucynka. Zdzisiu! Czy przypatrzyłeś się dobrze naszemu gościowi?

Zdzisław. Więc i ona?.. Czyżbyś i ty zauważyła w nim coś niezwykłego?

Lucynka. O tak! To uderza na pierwsze spojrzenie.

Zdzisław. Byłoby to prawdą?.. Istotnie nos jego ma charakter trochę niby... awanturniczny.

Lucynka. Tego nie powiem. Ale to czoło, naznaczone piętnem geniuszu...

Zdzisław. Złodziejskiego... To mu wcale zaszczytu nie przynosi.

Lucynka. Co też ty mówisz?!

Zdzisław. W oczach ma coś takiego... świdrującego...

Lucynka. Powiedz raczej... przenikającego duszę... do głębi.

Zdzisław. Naturalnie, do tego fachu trzeba nie małej przenikliwości.

Lucynka. O tak, trzeba umieć czytać w myślach, odkrywać najskrytsze poruszenia serca...

Zdzisław. Zapewne, że trzeba mieć talent do wynajdywania najtajniejszych skrytek.

Lucynka. W duszach ludzkich.

Zdzisław. W duszach? Eee... skąd znowu? Cóż tam można ukraść. Zbyt jesteś poetyczna, panno siostró. Ale otóż i nadchodzi.

SCENA XI.

Ciż sami, pan Wojnowski, Lola, Julek.

Zdzisław (*do Lucynki*). Staraj się go zająć rozmową. Ja muszę odwołać na stronę Julka, z którym mam do pomówienia.

Lucynka (*podbiegając do p. Wojnowskiego*). Niech pan raczy spocząć. Jakże się panu podoba nasz ogród?

(Zdzisław stojąc za p. Wojnowskim daje znak Julkowi).

P. Wojnowski. Jestem prawdziwie zachwycony.

Lucynka. Jak to dobrze, że się tak panu u nas podoba.

P. Wojn. Siedziba państwa jest miła i pełna dla mnie uroku; o ileż więcej zyskuje, gdy na jej progu wita staropolska gościnność.

Lucynka (*wstając*). Ależ doprawdy, panie, my nie zasługujemy na tyle... uznania.

† (Z jednej strony p. Wojn. z dziewczynkami, z drugiej Zdzis i Julek).

Zdzisław. Wiesz?

Julek. Wiem.

Zdzisław. Ale co?

Julek. Łazańska mi mówiła.

Zdzisław. Wierzysz?

Julek. Kto go wie? Powiada, że ma jego fotografię... Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Zdzisław. Masz słuszność. Baczość i przytomność. Zaczekaj! (*siada przy biurku i pisze*).

P. Wojn. Choć może być, że przez to stracę w waszych oczach, przyznać się jednak muszę, że nie jestem wielkim zwolennikiem powieści. Jest to zresztą naturalne... W waszym wieku świat i życie zna się przeważnie z książek, każda otwiera nieznaną jakąś krainę, wabiącą czarem nowości. Człowiek dojrział, to jak ten żeglarz, co już jest na pełnym morzu; on całą uwagę wyteżga na to, żeby swoją łodzią dobrze sterować, niebezpieczeństwa omijać, przeciwności zwalczać, no! i do celu dopłynąć... Losy bohaterów książkowych mniej już mają dla niego powabu.

Lucynka (*na stronie*). Ach jak on ślicznie mówi! i jak zawzięcie broni swego incognito, ale ja go odgadłam! (*głośno*). Co innego czytać o bohaterach, co innego tworzyć ich same-mu. Tworzenie musi być najwyższą rozkoszą, która tylko wybrańców jest udziałem.

P. Wojn. (*na stronie*). Ależ to egzaltowana główka. Zdaje mi się, że ma jakieś złudzenia co do mojej osoby (*zwraca się, aby jej odpowiedzieć*).

Zdzisław. Skończyłem (*oddając list Julkowi*). Biegnij za stodołę, Piotrusz pasie tam gęsi. Niech biegnie czempredziej do wójta i wręczy mu ten list (*Julek wybiega*). A niech się spieszy, bo to bardzo ważne, powiedz mu to. A teraz trzeba zając jegomościa i nie pozwolić mu umknąć. Będzie to przysługa dla całej okolicy, jeśli tego łotra oddam w ręce sprawiedliwości (*siada przy stoliku i czyta gazetę*).

P. Wojn. No, odpocząłem, napatrzyłem miłych oku i sercu widoków, narozmawiałem; wypada podziękować młodym i gościnnym gospodarzom i ruszać w dalszą drogę.

Lucynka. Tak prędko? Wiem, że się pan z nami nudzi..

P. Wojn. Bynajmniej, szczerze mówię, czas zeszedł mi bardzo mile, ale i najprzyjemniejsze rzeczy muszę mieć swój koniec.

Zdzisław. Ależ nie ma zapewne nic pilnego... Teraz gorąco, parno, duszno... za godzinkę ochłodzi się...

P. Wojn. W wędrówkach moich po świecie przywykłem do większego gorąca, dzisiejsze wydaje mi się wcale znośnem (*sięga po kapelusz*).

Zdzisław. Ale niechże pan się nie spieszy... (*na stronie*). Muszę go zatrzymać... ale jak, — jak na złość brak mi tematu do rozmowy. Co ja mu powiem? Aha! jest (*głośno*). Niezmiernie ciekawe są ostatnie wiadomości w gazecie. Czy pan nie ciekawy?

P. Wojn. I owszem.

Zdzisław. Zatarg o Koreę... (*półgłosem*). Gdzie ta Korea? Wszystko mi się w głowie poplątało! (*głośno*). Nieporozumienie między Chinami i Japonią przybiera poważne rozmiary.

P. Wojn. Oooo! no proszę!

Zdzisław. Stany Zjednoczone wysłały okręty dla obserwacyi.

P. Wojn. Ha, — gdzie dwóch się kłóci, trzeci korzysta.

Zdzisław. Za którą z wojujących stron trzyma pan? Za Chinami czy też Japonią?

P. Wojn. Żaden z tych krajów nie wchodzi w sferę moich interesów, nie mogę się zdecydować tak odrazu...

Lucynka. Ja jestem za Japonią, bo to kraj postępowy, a Chiny są zacofane.

Lola. A ja nie znam się nic a nic na polityce. Wiem tylko, że jest uczesanie à la Mikado, a kiwający się chińczycy w oknach wystawowych ogromnie mię śmieszą.

Lucynka. Och! ty trzpiocie! Co pan o nas pomyśli?

P. Wojn. Z pewnością nic złego... Ja raczej mógłbym się obawiać, czy nie dokuczyłem mojem natręctwem, więc...

Zdzisław. Ależ niech pan się nie spieszy... Warto przeczytać o koncercie w Ciechocinku... To bardzo interesujące... niech pan posłucha (*czyta*): „Sala szczelnie zapełniona rozbrzmiewała oklaskami. Entuzjazm ogarnął najzimniejszych, estradę

zasypano literalnie kwiatami, tłumy odprowadziły mistrza do jego mieszkania“.

Lucynka. Żałuję, że mnie tam nie było. Czyż jest coś godniejszego zazdrości, jak być wielkim artystą? chyba być sławnym autorem, panować nad umysłami i sercami czytelników.

Zdzisław (*półgłosem*). Już Lucynka dosiadła swego konika... (*głośno*). Co do mnie, wolałbym być sławnym uczyonym lub podróżnikiem.

P. Wojn. Entuzjazm właściwy jest młodemu wiekowi. Młodość marzy chętnie o czynach wielkich i sławnych.

Zdzisław. No, no! i ten zaczyna się egzaltować... A to dobre sobie...

SCENA XII.

Ciż sami i Julek (wpada zadyszany i mówi coś do ucha Zdzisławowi).

Zdzisław (*półgłosem*). Za pół godziny powinni już tu być. Pilnujmy, żeby nam ptaszek nie umknął.

Julek. Rozumiem (*bierze krzesło i siada z drugiej strony Wojnowskiego*).

P. Wojn (*wstając*). Komu w drogę, temu czas. Dziękuję serdecznie za gościnność i do widzenia tymczasem.

Julek (*do Zdzisława*). Tymczasem, słyszysz? (*głośno*): Niech pan jeszcze nie odchodzi, jeszcze wczesnie.

Zdzisław (*sadzając przemocą Wojnowskiego*). Niech pan nie pozbawia nas swego towarzystwa.

Lucynka. Natrętni jesteście. Przyjemnie by nam było mieć pana jak najdłużej w domu, ale krępować go nie możemy. (*Wojnowski znów wstaje, Zdzisław i Julek sadzają go*).

Zdzisław. Przykro nam niezmiernie, ale...

Julek. Niezmiernie nam przykro, ale w interesie osobistym szanownego pana...

P. Wojn. (*przypatrując im się ze zdziwieniem*). Co to znowu! Oni mnie wyraźnie nie chcą puścić! Zatrzymują mnie przemocą. Coś tam fermentuje w tych młodych głowach... Sytuacja zaczyna być ciekawą, więc zrobmy im tę przyjemność i zostańmy (*siada i kładzie kapelusz na stole*).

SCENA XIII.

Ciż sami. Piotruś.

Piotruś (*wpadając z płaczem*). Olaboga! olaboga! a to ci dopiru bida się stała! Co ja teraz pocnę!

Lucynka i Lola (*podbiegając ku niemu*). Co ci się stało?

Piotruś. Gęsi, gęsi!

Lola. Co się im stało?

Piotruś. Weszły w szkodę i gospodarz je zajął.

Lucynka. Czemużeś nie pilnował?

Piotruś. Ale ba! kiedy panic Julek kazali mi duchem lecieć z pisaniem do wójta.

Julek. Skaranie boskie! Czego on się tak drze? (*daje znaki aby ciszej mówił*).

Piotruś. Adyć pan wójt kazali powiedzieć, co u nich tera zwózka i nimają casu, co później o tem pomedytują, i co się panicom pewnie cosik uwidziało i po próżnicy niepokój robią.

Julek (*z niecierpliwością*). Ależ cicho że bądź.

Piotruś. Cicho, a tu dziedzic strasznie się gniewać będą, niech panic pójdzie do gospodarza, żeby mi gęsi wypuścił.

Julek. No, no, zobaczymy później trochę.

Piotruś. Ale, ale, zabacyłem, a tu jakiś jechał drogą i kazał to pisanie oddać.

Lola. To pewnie list do ojca.

Lucynka (*czytając adres*). Nie, to do Zdzisława.

Zdzisław. Co, do mnie? Od kogo? Dawaj! (*chwytając list i rozrywa szybko kopertę*). Zenon Domżański! wyraźnie podpisane!

Lola. Któż to taki?

Lucynka. Nie wiesz? Nauczyciel fizyki, człowiek i dzo uczony i zamiłowany w swym przedmiocie, Zdzisław magał mu zawsze w doświadczeniach.

Lola. Aha! już wiem!

Zdzisław. Kochany pan Zenon, to zaszczyt list od go odebrać! Ale co też on może do mnie pisać...?

Lola. Czytaj! jestem niezmiernie ciekawa!

Lucynka. I ja również.

Julek. Czytaj prędzej!

Zdzisław (*zaczyna głośno i z tryumfującą miną, w miarę czytania, zmienia ton i wyraz twarzy*). Kochany Zdzisławie! Nie wiesz zapewne, że spędzam lato w niedalekiem od ciebie sąsiedztwie, w domu pani Prawdomówskiej...

Wszyscy. Pani Prawdomówskiej?!

Zdzisław. Nie przerywajcie!.. w domu pani Prawdomówskiej, matki mego przedwcześnie zmarłego przyjaciela z lat szkolnych. Nazywają ją powszechnie dziwaczką, w gruncie jest to kobieta wyższego umysłu i najszlachetniejszego serca.

Lucynka. No! że też ja tego po niej odrazu nie poznałam...

Julek. To istotnie dziwne, żeś **ty** nie poznała!

Lola. Ależ dajcie pokój!

Zdzisław. Proszę bardzo nie przerywać!—I najszlachetniejszego serca... Zamiast zasklepić się w egoistycznym żalu po śmierci jedynaka, przyjęła za swoją — wielką rodzinę społeczną, a szczególną opieką otacza zdolną i inteligentną młodzież; raz przez pamięć na ukochanego syna, powtóre, że widzi w niej plenny posiew przyszłości... Opowiadałem jej wiele o tobie: zainteresowałaś ją zamiłowaniem do badań przyrodniczych, zapałem, jaki budzą w tobie odkrycia, dotyczące się elektryczności—wreszcie gorącą żądzą kształcenia się w tym kierunku. Wiedząc, że ojciec twój nie posiada na to środków, powzięła zamiar przeznaczenia sporego funduszu na uła-

twienie Ci wyjazdu do szkoły specjalnej za granicą, a następnie podróży za ocean dla dalszych studyów pod kierunkiem słynnego Edisona... (*przerywa czytanie z oznakami niesmiernej radości*). Ależ to ideał kobiety!

Lucynka. Wiecie, że ja się trochę domyślałam...

Julek. Masz tobie! Tylko coś mówiła zupełnie co innego!

Lola. Dajcie pokój! Czytaj dalej!

Zdzisław. ...Sławnego Edisona. Lotna jej, pomimo wieku, wyobraźnia, nasuwała już jej na oczy obraz podobnej, jak mistrza amerykańskiego, na gruncie naszym pracowni, z której — kto wie? rozchodziłyby się także zczasem pożyteczne wynalazki, szerząc dobrobyt i przynosząc nam sławę u obcych. W tym celu chciała Cię osobiście poznać, zanim by krok stanowczy zrobiła (*zmieniając stopniowo ton*). Na nieszczęście, wróciła z wycieczki zniechęcona, rozczarowana... Powiada, że z tej mąki chleba nie będzie, że tam w głowach przewrócone, pełno zarozumiałstwa i próżności, że jej Jurek był inny.. (*doczytuje resztę po cichu, rzuca list i siada przy stole, kryjąc twarz w dłonie. Lola podnosi list i czyta do końca głośno*).

Lola. „Zmartwiłem się tem bardzo. Co się stało? Wiem, że ojca twego w domu nie zastała, a szkoda, bo możeby sprawa ta inny wzięta była obrót. Domyślam się jakiejś winy z twej strony, mój chłopcze, i przykro mi to niezmiernie. Mogłbyś o tem wszystkim nie wiedzieć, ale wolę żebyś się dowiedział: prawda, choć gorzka jak piołun na razie, uzdrawiający bywa niekiedy lekiem... Obrachuj się z sobą, rachunek taki na przyszłość bardzo przydać ci się może. W każdym razie zechciej wierzyć, że jedynie szczerza życzliwość kieruje piórem twego starego przyjaciela, Zenona Domżałskiego.

Lucynka. Ot niespodzianka!

Lola. Obraziła się widocznie.

Zdzisław. Głupio się zrobiło!

Julek. I bardzo.

Lucynka. Ojciec się zmartwi.

Lola. A dla Zdzisława! to strata niepowetowana.

Lucynka. Po co było jakieś niemądre żarty urząca Zdzisław. A tyś niby do tego nie należała?

Julek. Niewiniątko!

Lola. Biedny Zdzisław! ale ojciec, ojciec będzie się wał i słusznie.

Lucynka. Co tu poradzić?

Zdzisław. Tak, co poradzić?

Julek. A tośmy się wplątali!

Lola. Wiecie co? napiszmy do tej pani, przepraszając ją, bo przecież nie sam Zdzisław, ale wszyscy zawiniliśmy potrosze.

Lucynka. Tak, poradzmy się pana... Wolfa, on nam powie jak napisać.

Julek (*oglądając się*). Gdzież on jest?

Zdzisław. Gdzie? Co to? niema go?

Lucynka. O Boże! nie pożegnał się nawet z nami!

Lola (*wyglądając przez okno*). Ot, idzie tam drogą, już zniknął na zakręcie.

Zdzisław. Masz tobie! tego tylko brakowało! (*do Julka*). Czemużeś go nie pilnował?

Julek. Tak samo jak ty.

Zdzisław (*biegając i targając się za włosy*). O Boże, Boże! Co to będzie! Co będzie!?

Lucynka. Czegoż tak desperujesz? i mnie przykro, ale przemocą zatrzymać go nie możemy.

Julek. Ale bo też ty nic nie wiesz, kto to jest i co nam grozi!

Lucynka. O braciszku! nie jestem tak niedomyślna, od pierwszego niemal spojrzenia odgadłam, że to człowiek niezwykły.

Julek. Niezwykły? no, zapewne.

Lucynka. Nazwisko przybrane nie wprowadziło mię w błąd... Przeczucie mi mówi, że się nie omyliła, żeśmy mieli zaszczyt przyjmować...

Zdzisław. Zaszczyt? przyjmować? ależ kogo?

Lucynka. Sienkiewicza!

Zdzisław i Julek. Cha! cha! cha!

Lucynka. Czegoż się śmiejecie?

Zdzisław. Z twojej egzaltacyi. Wiedz, że ów nieznajomy, któregoś sobie tak poetycznie wyobraziła, to jest...

Lucynka. Kto taki!

Zdzisław. Pawlak, — czegoż się patrzysz z takim zdumieniem? Pawlak, naczelnik bandy złodziejskiej.

Lucynka. Co też ty mówisz? Na jakiej zasadzie?

Zdzisław. Na zasadzie podobieństwa z fotografią, która urzędową drogą rozesłaną została do wszystkich gmin. Wypatrzył wszystkie kąty—i kto wie? może tej nocy...

Lucynka i Lola. O Boże! zlituj się nad nami...

Zdzisław. Zrobiłem co mogłem, zawiadomiłem natychmiast wójta gminy, tymczasem ten safandula, pozwolił umknąć łotrowi.

Julek. Wszystko się dziś na nas spiknęło!

Lola. Właśnie kiedyśmy sami, bez nikogo starszego w domu.

Lucynka. Jak też ojczulek mógł nas tak zostawić!?

Zdzisław. Albo ta pani Rządnicka; już od dwóch tygodni miała tu być, a kiedy najpotrzebniejsza, to jej właśnie niema.

Lola. Sza! słyhać turkot (*wszyscy spieszą do okna*), tuman kurzu,—bułany; to ojczulek wraca...

Lucynka. Nie sam, jakaś pani obok niego i pan na przedzie,—co to? ten sam!

SCENA XIV.

Ciż sami. Pp. Turzycki, Wojnowski, pani Rządnicka.

P. Turzycki. Jak się macie dzieci? Nie oczekiwaliście mnie tak prędko? Niespodzianie szybko załatwiłem interesa i mogłem zabrać bezzwłocznie p. Rządnicką, która przyjechała południowym pociągiem. Przedstawiam pani jej pupilów,

mam nadzieję, że postarają się zasłużyć na zadowolenie pań. Ale jest jeszcze jedna i najmiłsza dla was niespodzianka. Zgdnijcie, kogo wam przywiozłem? (*biorąc za rękę p. Wojnowskiego*): to wuj Stanisław, którego znałyście dotąd tylko z mego opowiadania, bo od lat kilkunastu przebywał stale za granicą. Uściskajcież wujka Stasia!—Ale co to? jesteście zmieszani... spoglądacie na siebie... co to ma znaczyć?

P. Wojnowski. Kochany Adamie! Nie zdążyłem ci wszystkiego powiedzieć... Dowiedziawszy się na stacyi żeś wyjechał, zostawiłem bagaż i puściłem się pieszo witać, dawno niewidziane, a drogie sercu, strony. Znasz moją żyłkę do włóczęgi... Nie spostrzegłszy się prawie, zawędrowałem aż pod sam dwór... Wtedy przyszła mi szalona ochota wejść do tego domu i poznać twoją rodzinę, ale... że chciałem ci zrobić niespodziankę i inne jeszcze miałem ku temu powody, więc przedstawiłem się pod przybranem nazwiskiem... Wybacz mi to nie powinienem był tego robić...

P. Turzycki. Musiało tu coś zajść z tego powodu.

Julek. Kochany ojczulku! Łazańska tak nam zakręciła w głowie, żeśmy zgłupieli...

P. Turzycki. I co?

Julek. I uwierzyliśmy.

P. Turzycki. W co?

Julek. Że to nie jest jakiś Maks Wolf, tylko...

P. Turzycki. Tylko kto?

Julek. Pawlak.

P. Wojn. Cha, cha, cha, cha! Wiem, wiem, czytałem o nim, ale takiego obrotu rzeczy nie przewidywałem...

Wszyscy. Przebacz! przebacz nam wuju! (*ściskają go*).

P. Turzycki. Jakim sposobem tak dziwaczna myśl mogła wam zajechać do głowy?

Lola. To Łazańska!

Julek. Tak, wszystkiemu winna Łazańska!

P. Turzycki. Wybacz Stachu tym roztrzępańcom. Muszę cię objaśnić, że Łazańska, to stara nasza klucznica, dobra

i poczciwa z kośćcami kobieta, ale ma świeka w głowie na punkcie strachów, upiórów, złodziei, rozbójników. Lecz znając ją, jak mogliście uwierzyć?

Julek. Ba, kiedy nas zapewniła, że poznała z fotografii, którą rozesłano z urzędu do wszystkich gmin i którą ma u siebie. Ale otóż i ona.

SCENA XV.

Ciż sami. Łazańska.

P. Turzycki (*do Łazańskiej*). Gdzież ta fotografia? Radbym ją widzieć.

Łazańska (*sakłopotana*). Przepraszam pokornie Wielmożnego Dziedzica, koń ma cztery nogi a potyka się, zdarzy się i grzesznemu człowiekowi omylić.

P. Turzycki. No dobrze, dobrze, już wiem, ale ta fotografia?

Łazańska. Człowiek do śmierci rozumu się uczy i głupi umiera (*wyjmując fotografię z kieszeni*). Oto jest, rychtyg kluczyk znalazł się cudownym sposobem w kieszeni.

(P. Turzycki bierze fotografię, wszyscy nachylają się aby ją zobaczyć).

P. Wojn. Cha, cha, cha, cha! Ależ to Sarasate! sławny skrzypek...

Zdzisław. A tośmy się zasypali!..

P. Wojn. Ależ ty, Lucynko, nie brałaś mnie chyba za rzezimieszka?

Lucynka. Ja? nie... ale nie pytaj mię wuju, wiedz tylko, że masz siostrzenicę z bardzo egzaltowaną głową...

Lola. Ojczulku, to jeszcze nie wszystko, lękam się, czyśmy jeszcze czegoś gorszego nie popełnili... Była tu dziś pani Prawdomowska.

P. Turzycki (*żywo*). Była? I cóż mówiła?..

Lola. Obraziła się widocznie na nas, bo oto list, któryśmy przed przyjazdem ojczulka odebrali.

P. Turzycki (*czyta — na twarzy malują się kolejn zdumienie, potem radość, niepokój, przy końcu chmu, nieje i marszczy brwi*). Co to się znaczy? Co się stało? Wiodocznie z bardzo złej strony przedstawiliście się p. Prawdomówskiej... Zdzisławie, o ciebie głównie chodzi, wytłómacz mi, co się stało... (*widząc że Zdzisław stoi przybity i zasłania twarz rękami, zwraca się do innych*). No mówcież przecie! Cóż to! milczenie? Czyście nagle mowę stracili? Lucynko, jesteś najstarsza, żądam od ciebie wyjaśnienia sprawy!

Lucynka. Ojczy, przebacz nam! Zbłądziliśmy bardzo. Pani Prawdomowska powiedziała nam kilka nauczek moralnych... byliśmy tem bardzo urażeni,—pojmuję ojculek... osoba obca,—potem w ciągu rozmowy... jakby to powiedzieć... ciągnęła nas za język... rozpytywała, jakie też mamy projekty na przyszłość... przecież to do niej nie należało... więc pozwoliliśmy sobie pożartować...

P. Turzycki. Pożartować, Lucynko? Nie rozumiesz chyba co mówisz. Więc doszło aż do tego, żeście w domu waszego ojca ośmielili się ubliżyć kobiecie, która mogłaby być waszą babką i którą wszyscy za jej rozum i zacność szanują! Niedobre dzieci! Nie mogliście większej zrobić mi przykrości. Nie dodaję, że zawód jaki spotkał Zdzisława, jest dla mnie ciężkim i bolesnym ciosem... (*Ogólne milczenie. Dzieci stoją ze spuszczonei głowami*).

P. Rządnicka. Zdaje mi się, że to się da zczasem naprawić. P. Prawdomowska zaszczycy mię swoją przyjaźnią i zaufaniem. Całe życie była ona surową dla siebie, więc wymaga i od drugich... mówienie prawdy, młodym zwłaszcza, uważa za obowiązek starej, doświadczonej kobiety. Lecz serce jej pełne dobroci... Nie wątpię, że zmieni swoje zdanie, gdy zobaczy poprawę.

Wszystkie dzieci. O, niech pani będzie tak dobrą, wytłómaczy, przeprosi ją za nas!

P. Turzycki. I ja szczerze wdzięczny będę, jeśli pani im dopomoże zatrzeć to złe wrażenie. Właściwie jednak

to od was, moje dzieci, zależy. Odrazu zrobić się to nie da, trzeba dłuższego czasu i czynów, nie słów. Żal mi cię, biedny Zdzisławie, ale musisz się wyrzec nadziei świetnej przyszłości... Poprawa wasza nie byłaby poprawą, gdyby pobudką jej miał być interes osobisty. Oj! dzieci, dzieci! A pewne to siebie, a zarozumiałe, a gotowe świat reformować,—tymczasem jeden dzień samodzielnego życia wystarczył, aby zebrać obfite żniwo błędów i niedorzeczności...

P. Wojnowski. Przebacz im Adamie. Jestem pewien, że dzień dzisiejszy wzbogaci je doświadczeniem, a to jest wprawdzie przykrą i ciężką, ale najlepszą szkołą życia... Nie mówmy już o tem co zaszło., dziś wyjątkowo było w twym domowym państwie bezkrólewie, a bezkrólewia zwykle podlegają różnego rodzaju zawichrzeniom.

E. Bobowska.



SPIS RZECZY.

	<i>str.</i>
Stary rybak, — wiersz Kazimierza Glińskiego (z rysunkiem) D . . .	1
Skarby pani Skarbnikowej. (Z życia poetki XVIII wieku), — Z. Morawskiej	4
Zagadka o ciepłe i pracy istot żyjących, — przez Stanisława Kramsztyka	22
Taka sobie bajka, F Jadwigi Chrząszczewskiej (z rysunkiem) I . . .	35
O trenach Jana Kochanowskiego, — przez Walerego Gostomskiego (z portretem)	44
Wycieczka na Zelandyę, — przez Jadwigę Warnka (z 2 rysunkami)	58
Zapóźno, — przez Cecylię Niewiadomską	84
Dziedzina wiecznych śniegów i lodów, — przez Wacława Nałkowskiego	105
Co ja kocham? Monolog Zosi, — przez Maryę Konopnicką	120
Ostatni strzał. Humoreska Jordana	127
Z Warszawy do Konstantynopola. Fantazya z przyszłości, — przez Wł. Umińskiego (z 2 rysunkami)	138
Podanie o królewiczu Indyjskim, — przez Jana Karłowicza	163
Bez, — przez V. Cairo	172
Owady i człowiek, — przez Mieczysława Brzezińskiego (z 2 rysunkami)	184
Sen rzeźbiarza, — przez Teresę Jadwigę	199
Salve! — przez Tomasza A.	207
Z dziejów mniemanych cudów i czarów, — przez M. Heilperna (z tablicą litograf.)	216
Na wakacjach. Komedycja w 1 akcie, — przez E. Bobowską . . .	235



Biblioteka WSP Kielce



0145743